

A dark, atmospheric photograph of a hospital hallway. The walls are a mottled green and yellow, with a large, weathered skull mounted on the wall in the upper left. The hallway is dimly lit, with a bright light source at the end of the corridor. Medical equipment, including a gurney and a cart, is visible in the foreground.

KAMILLA...
ÖRESVÄRD
UŚPIONE WSPOMNIENIA

PRZEKŁAD MARTA DYBULA ÖSTHOLM





KAMILLA ORES VÄRD

UŠPIONE WSPOMNIENIA

PRZEKŁAD MARTA DYBULA ÖSTHOLM



Tytuł oryginału: *Minnesbäraren*

Przekład z języka szwedzkiego: Marta Dybula Östholm

Copyright © Kamilla Oresvärd, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S,
Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Mette Breth

Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz

Korekta: Joanna Kłós

ISBN 978-91-8054-508-2

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Rozdział 1

Mężczyzna siedzi pochylony nad grobem, koszulka klei mu się do pleców, otacza go unoszący się w powietrzu, ledwie wyczuwalny zapach róż. Wpatruje się w czarny granit, czuje go pod palcami, twardy i ogrzany przez słońce, które pali go w kark. Delikatna bryza szeleści w koronach drzew i przenosi dźwięki miasta w ciszę cmentarza. Mężczyzna zamyka oczy.

Zaczyna sobie cicho nucić:

*Stars shining bright above you.
Night breezes seem to whisper I love you,
birds singing in the sycamore trees,
dream a little dream of me.*

Otwiera oczy. Przebiera palcami na poślaczanych żłobieniach w kamieniu. Przy dacie śmierci się zatrzymuje. Głowa zaczyna mu się kiwać do przodu i do tyłu, dłoń powoli zaciska się wokół brzegu pomnika, z ust płyną kolejne strofy:

*Say nighty-night and kiss me,
just hold me tight and tell me you'll miss me.*

Zamyka oczy. Uderzenia serca przyspieszają wraz z adrenaliną wpompowywaną do krwi. Bierze głęboki oddech, otwiera oczy i patrzy w przód ponad krawędzią grobu na ukwiecone nagrobki, wygrabione ścieżki i pomniki wzniesione zmarłym.

*While I'm alone and blue as I can be.
Dream a little dream of me.*

W tym samym momencie, w którym wybrzmiewają ostatnie słowa, waha się. Czarne ściśle zasznutowane glany z chrzęstem zatapiają się w żwirek pod nim. Podrywa się. I biegnie. Kamyki odskakują spod butów i uderzają za nim w ziemię niczym burzowy grad. Dudni mu w piersiach. Płuca z sykiem nabierają powietrza,

a z każdym zostawianym za sobą metrem czuje coraz głośniejsze pulsowanie w głowie.

Orientują się, kiedy dociera do grobu von Rosena, słyszy ich głosy. Zaskoczone. Dalekie. A potem gniewne.

– Halo! Stop! Stój, kurwa!

Nie odwraca się. Jego przewaga jest krucha i łatwo można mu ją odebrać. Jest już blisko. Koniec cmentarza. Czerwony mur. Brama. Czarna, wysoka i stabilna. Przedostanie się przez nią. Potem na zewnątrz. Na wolność.

Przed oczami miga mu jakiś obraz. Blond włosy, złoto splamione krwią. Mocno mruga, nie zwalniając tempa. Podnosi rękę i wymierza sobie siarczasty policzek. Nie teraz, myśli. Kiedykolwiek, ale nie teraz.

Minął bramę. Wybiega na ulicę. Podeszwy uderzają o asfalt. Krew tętni. Płuca krzyczą. Oczy łzawią, a wolność jest w zasięgu ręki. Może jej dotknąć, poczuć ją, posmakować jej, kiedy coś twardego uderza w niego z tak dużą siłą, że odrzuca go szerokim łukiem ponad szarym asfaltem.

Rozdział 2

Małżeństwo z Daltorpsgatan 6 w dzielnicy Göteborga Örgryte znalazło w ziemiance szkielet. Gdy przyjmowano zgłoszenia o znalezionych kościach, najczęściej okazywało się, że to szczątki zwierząt, a nie ludzi. Tym razem jednak zarówno kobieta, jak i mężczyzna byli lekarzami, a zatem z anatomią człowieka powinni być dobrze obeznani, operator w wojewódzkim centrum powiadamiania ratunkowego uznał więc, że wiedzieli, o czym mówią, i natychmiast wysłał radiowóz.

Jako pierwsi dotarli na miejsce Lena Holm i Hampus Källgren, policjanci z patrolu porządkowego. Zaparkowali przed białą furtką, przeszli przez wysypaną kamyczkami ścieżkę, minęli drewniany dom w kolorze khaki i weszli do ziemianki na tyłach ogrodu. Rzeczywiście znaleźli tam kości wyglądające na ludzkie. W każdym razie na tyle, na ile mogli dojrzeć, bo większość była pogrzebana pod kupą ziemi i kamieni.

To wszystko wie już komisarz kryminalna Stina Seger, idąc chodnikiem przez ogród, o krok przed kolegą po fachu Davidem Sandbergiem-Salibą. Wzdycha od gorąca i wkłada do ust gumę do żucia. Niebo nad nią jest niebieskie, a słońce przypieka, ale nasilający się ból głowy, duchota i zbierające się w oddali szaroczarne chmury zwiastują, że w ich stronę nadciąga burza.

– Co wiemy? – pyta krótko i przyspiesza kroku, żeby stanąć w cieniu pod drzewem.

– W ziemiance leży szkielet – mówi Hampus Källgren i unosi czapkę. Złota odznaka policyjna połyskuje, kiedy mężczyzna przeciera przedramieniem pryszczate czoło, żeby zetrzeć pot. – To... – zaczyna, ale przerywa mu Lena Holm.

– Technicy już działają – relacjonuje policjantka, robi krok do przodu, wbija solidne buty w trawę i dobrze wyćwiczonym gestem wsuwa kciuki za ciężki pas.

– Co prawda w środku było bardzo ciemno – dodaje Hampus, zerka na partnerkę i wkłada z powrotem czapkę na głowę porośniętą rudymi kędziorami – ale widzieliśmy trupa i główkę.

– Trupią główkę. – Lena patrzy na niego krzywo i unosi brwi. – Ej, chwileczkę, co? Co ty myślisz, że co to jest? Film o piratach czy jak? *Piraci z Karaibów*? – Śmieje się szorstko, odwraca do Stiny i Davida i przewraca oczami. – Domyślam się, że chodziło o czaszkę.

– Tak, dobrze. – Rozgrzana twarz Hampusa jeszcze bardziej pąsowieje. – Oczywiście, że chodziło mi o czaszkę – mówi cicho i spuszcza wzrok.

Stina obserwuje Lenę Holm i jej wykrzywiający usta uśmiech. Potem rzuca spojrzenie Hampusowi. Młody policjant wyciągnął pechowy los na loterii partnerów. Z Leną Holm nie pracuje się łatwo. Dyskutowano na temat przeniesienia jej do służby za biurkiem, ale ona zawzięcie się temu sprzeciwia, a ponieważ ma wsparcie związku zawodowego, kierownictwo nie może nic z tym zrobić. Mówi, że najlepiej się czuje w terenie z ludźmi, a każdy, kto to słyszy, kręci głową, ponieważ nawet przy ogromnych pokładach dobrej woli nie można jej nazwać utalentowaną towarzysko. Hampus miał doświadczyć tego samego co Stina jako młoda policyjna asystentka. Nie zapomniała o tych latach. Nie jest osobą o krótkiej pamięci. Ani taką, która puszcza płazem. Szybko przeżuwa gumę i odwraca się do Davida.

– Nie ma sensu chodzić po domach, zanim nie dowiemy się czegoś więcej.

– Też tak sądzę – zgadza się Stina. Wkłada ręce do kieszeni. – Poczekamy na wstępne ustalenia techników. – Kiwa głową i odwraca się do Hampusa i Leny. – A wy dwoje dopilnujcie, żeby nikt ciekawski nie przeszedł przez taśmę. Stoi tam kilku chłopaczków, patrzą przez płot, a z trzema radiowozami na ulicy nie powinno minąć dużo czasu, zanim zjawią się tu media. Nikt nie może się tu dostać i nie chcę jutro w gazecie widzieć ani jednego zdjęcia miejsca zdarzenia. Hampus, ty weźmiesz całą długość płotu z przodu. A ty, Lena, możesz pilnować kosza na śmieci, żeby nikomu nie przyszło do głowy w nim grzebać. – Uśmiecha się do Leny. – Jako osoba doświadczona wiesz, że nie ma granic, których nie przekroczyłyby media, jeśli już zaczną węszyć. Mogą nawet przetrząsnąć kubeł.

Lena otwiera usta, patrzy na Hampusa, a potem je zamyka. Rzuca Stinie krótkie spojrzenie i odprowadza kolegę idącego trawnikiem. W połowie drogi zatrzymuje się i odwraca. Wbija wzrok w Stinę i ponownie otwiera usta.

No dawaj – myśli Stina i gapi się na nią. – Tylko odpysknij. Przygotowuje się, kiedy słyszy cichy śmiech Davida i lekkie szturchnięcie w rękę, które powoduje, że

robi krok w bok.

– To było trochę wredne.

– Tak sądzisz? – pyta, patrzy w górę i spotyka swoje odbicie w pilotkach Davida.

– Powiedziałem: trochę.

Stina ponownie patrzy w stronę Leny. Stając przy kontenerze, Lena wzbiła w powietrze rój wielkich połyskujących na zielonkawo much, które teraz ze złością bzyczą jej nad głową. Pilnowanie śmierdzącego pojemnika w tym skwarze nie było do końca zgodne z jej wizją dzisiejszego dnia pracy. Stina znów odwraca się do Davida.

– Czasami człowiek dostaje to, na co zasłużył.

– To prawda – zgadza się David i patrzy w górę na dom. – Wiesz co, zrobię rundkę.

– Dobrze – odpowiada mu Stina.

David idzie za dom. Stina odprowadza go spojrzeniem, widzi, jak mężczyzna znika wśród policjantów i techników i jak sprawnie wtapia się w towarzystwo kilkoma słowami, które wywołują głośny śmiech. Ona odwraca się i podchodzi parę kroków. Podnosi wzrok i się rozgląda. Jasny drewniany dom z białymi listwami wokół okien miał wysoką podmurówkę. Ceglastoczerwona blacha dachówkowa wygląda na nowo położoną. Wszystko jest schludne i pedantyczne. Meble ogrodowe białe i świeżo wyszorowane. Rabatki wypielone do perfekcji. Nie ma tu zbędnych rzeczy, a z braku zabawek, rowerów i płam po oleju do skuterów na podjeździe Stina wnioskuje, że w tym gospodarstwie domowym nie mieszkają dzieci.

Jedyną rzeczą, która zakłóca porządek, jest biało-czerwona minikoparka stojąca z tyłu ogrodu z łychą wbitą w ziemię.

Rozdział 3

Mężczyzna jest jakby poza ciałem, kiedy uderzenie twardego metalu trafia miękką tkanekę i wyrzuca go na wycieczkę w powietrzu ponad ścieżką rowerową. Widzi każdy szczegół otoczenia, jakby patrzył oczami kogoś innego. Czerwony drewniany domek z okrągłymi lukarnami potrzebuje odmalowania, w kurzu na czarnym aucie ktoś narysował serce, a drabina oparta o pień drzewa jest zepsuta. Jako ostatnie zauważa, że znak informujący o uliczce jednokierunkowej jest nieco wykrzywiony w lewą stronę, a strzałki na ścieżkach dla pieszych i rowerów są świeżo pomalowane. Potem uderza o asfalt tak mocno, że odbija się w bok, walczy o haust powietrza, zatrzymuje się na plecach i ciężko dyszy, łapiąc oddech.

Udaje mu się przetoczyć na bok, z wysiłkiem wtłacza powietrze w ściśnięte płuca ze wzrokiem utkwionym w resztkach gumy do żucia wdeptanej w asfalt. Leży tam, kiedy powoli powraca mu zdolność zaczerpnięcia pełną piersią powietrza przesyconego brudem i spalinami. Teraz może usiąść. Klucie w nodze każe mu spojrzeć w dół. Nogawka rozerwała się wzdłuż, a jasny materiał zabarwił się na czerwono tuż pod kolanem. Rana nie wygląda na głęboką i mężczyzna próbuje poruszyć nogami. Z prawą idzie dobrze. Ale z lewą coś jest nie tak. Coś jest nie w porządku. Odmawia posłuszeństwa.

Rozgląda się wokół siebie. Kilka metrów przed nim stoi samochód z przyciemnionymi szybami. Słyszy „klik”, po czym drzwi się otwierają od strony kierowcy, który następnie stawia na ulicy czarny dobrze wypolerowany but. Odwraca głowę. Słyszy głosy. Są teraz bliżej.

Kierowca wysiadł i stoi, patrzy na niego, trzymając rękę na drzwiach auta. Ciemnoszary garnitur, biała koszula i czerwony krawat. Strach i zniesmaczenie na twarzy. I coś jeszcze. Czy to zaskoczenie? Możliwe, że szok. Mężczyzna nie jest pewien. Trudno wyczytać uczucia z ludzkich twarzy.

Znów te głosy. Zdenerwowane. Groźne. Teraz bliżej.

Podnosi się i przygotowuje do biegu, kiedy ugina się pod nim noga, tak niespodziewanie, że prawie się przewraca. Udaje mu się utrzymać równowagę

i zerka w dół. Jest źle. Ale nie ma czasu. Musi uciekać. Pochyla się. Wykręca stopę. Utyka w stronę samochodu, powłócząc nogą i z głosami mężczyzn dzwoniącymi mu w uszach.

Człowiek w garniturze otwiera usta, robi w jego stronę kilka kroków i wyciąga pomocną dłoń. Wyraz twarzy kierowcy się zmienia, kiedy poszkodowany odrzuca wyciągniętą w jego kierunku rękę i odpycha go tak mocno, że mężczyzna przewraca się na ulicę.

Wdrapuje się do auta. Chwyta za skórzaną kierownicę, ściska ją mocno i patrzy na kokpit, a potem wbija wzrok w gałkę zmiany biegów. Jak to się robi? Minęło tyle czasu, od kiedy siedział za kółkiem. Wszystko jest inaczej.

Przenosi wzrok na czarną bramę i bierze głęboki oddech. Mężczyźni. Przeciskają się przez bramę i zbliżają nieubłaganie.

Pulsujący dźwięk przyprawia go o dreszcz. Coś uporczywie pika i mężczyzna przyciska guziki, żeby to uciszyć. Chwyta kierownicę i mocno nią potrząsa. Czego chce auto? Nie wie. Potem rozumie. Dźwięk. To musi znaczyć, że silnik jest włączony, ale pracuje tak cicho, że go nie słychać. Szarpie za gałkę zmiany biegów i wciska pedał gazu. W momencie coś strzela mu w karku i tył głowy uderza o zagłówek. Czerwony mur nagle w szalonym tempie zbliża się w jego stronę i w ostatniej chwili, nim się w niego wbije, udaje mu się sparować kierownicą i wyjechać na drogę. Mijając mężczyzn, widzi kątem oka ich białe twarze i wrzeszczące usta. Oddycha z ulgą. Udało mu się.

Rozdział 4

Dan Kowalski wychodzi w kucki na mocne słońce. Zatrzymuje się, prostuje plecy i przez chwilę pozwala oczom się przyzwyczaić. Potem patrzy na swoją omegę speedmaster, ekstrawagancję z błyszczącej stali z czarną tarczą, którą podarował sobie dwa lata temu na pięćdziesiąte urodziny. Nigdy nie zapłacił więcej za żaden inny zbytek, ale zegarek okazał się wart zawrotnej sumy ponad trzydziestu trzech tysięcy koron. Zawsze perfekcyjnie pokazuje czas. Teraz jest czternasta dwadzieścia trzy.

Kątem oka Dan widzi zasuwaną w jego stronę długimi, pewnymi krokami Stinę Seger, która jednocześnie wachluje się marynarką. Wzdycha. Wie, co teraz będzie. Dostali godzinę i trzynaście minut.

– Cześć, Dan! – woła Stina. – Co znalazłeś?

I oto padło. Pytanie obowiązkowe. Ma go tak serdecznie dosyć. Dlaczego nie mogą się nauczyć, że praca, którą wykonują on i jego zespół techników, wymaga precyzji i każdy najmniejszy błąd lub nawet cień niedbalstwa może zagrozić całemu śledztwu? Krążą nad nim jak jastrzębie, żądając informacji, najczęściej szybciej, niż to możliwe. Za każdym razem czuje się zmuszony je przekazać. Niechętnie, bo bardzo dobrze wie, że jeśli coś pójdzie nie tak, winę szybko zrzucą na niego.

Dan naprawdę kocha swoją pracę. Naprawdę. W ostatnich latach pasja jakby ustępowała proporcjonalnie do tego, jak tempo pracy przy dochodzeniach przyspiesza. Nie ma tego zrozumienia dla skrupulatności i czasu na analizy, co kiedyś. Nowa technika ma robić robotę. Wszystko ma trwać tyle co pstryknięcie palcami i przełożeni oraz koledzy z pracy nie uzmysławiają sobie, że potrzeba o wiele więcej niż tylko techniki. To rzemiosło, które niewielu opanowuje.

Poza tym przeszkadza mu, że niedługo co drugi człowiek po obejrzeniu paru odcinków CSI będzie się uważał za eksperta i zupełnie bezkrytycznie wyrzucał z siebie nieprzemyślane komentarze i niemądre rady. Wielokrotnie tak głupie, że

gdyby on sam z takimi wystąpił, zrozumiawszy to, oblałby się ze wstydu rumieńcem.

Ale jeszcze coś innego sprawia, że jego miłość do zawodu, nie jest już tak silna. Zagłębianie się w nowe przypadki nie daje mu dawnej satysfakcji i nie powoduje, że całkowicie oddaje się sprawie. Zaczął mieć wrażenie, że to mu nie wystarcza. Czegoś mu w życiu brakuje.

Poprawia sprzączkę na pasku, żeby leżała całkiem prosto. Wie, że jego wysokie chude ciało i przerzedzona czupryna to nic, na czym można zawiesić oko. Nie jest też specjalnie zabawny ani interesujący, bo ma tendencję do nadmiernej szczegółowości. Fakt, że pracuje przy dochodzeniach, mógłby być plusem, ale niestety, zupełnie brakuje mu polotu, a sposób, w jaki się wyraża, jest o wiele zbyt zdawkowy, żeby ktoś dał radę go słuchać przez dłuższą chwilę.

Sporo działa na jego niekorzyść. Nieśmiałość, przeciętny wygląd oraz, musi to jednak przyznać, dość nudny sposób bycia. Ale podjął decyzję. Trzeba jeszcze tylko doprowadzić do końca kilka pozaczynanych spraw, a potem weźmie się za swoje życie. Coś się teraz musi zdarzyć. Zanim będzie za późno.

– Dobrze, to co powiesz o tym?

Spogląda w dół na Stinę, która stanęła obok niego i wachluje się marynarką, z niecierpliwością czekając na odpowiedź. Dan wdycha jej zapach, mieszanek cytrusowych perfum, płynu do płukania tkanin oraz nutki potu, i kręci głową.

– W tym momencie nie mam nic do dodania.

– Aha. – Stina przestaje machać połami marynarki i zapachy się ulatniają. – Ale chyba coś musieliście znaleźć, prawda? – Nie uśmiecha się. Tylko patrzy na niego tymi wielkimi oczami. Policzki zaróżowiły się jej od upału.

Wiele osób jej nie lubi z powodu zasadniczego i mało wylewnego sposobu bycia, ale nie on. Wręcz odwrotnie, uważa, że to odświeżające. To takie konkretne, efektywne i niewymagające w odpowiedzi niepotrzebnych zwrotów grzecznościowych. A one właśnie są jego słabą stroną.

– Coś mamy, oczywiście. – Zaczyna zdejmować lateksowe rękawiczki nawykłym ruchem i słyszy, jak strzelają na ostatnim palcu. – Mogę potwierdzić, że chodzi o ludzkie szczątki i że znajdowały się w miejscu zdarzenia od wielu lat. Wszystkie ewentualne ślady, które mogłyby pozostać na miejscu, są zimne. A kiedy mówię zimne, to mam na myśli naprawdę lodowate.

Stina kiwa głową.

– A wiele to ile lat? – pyta.

Dan wzrusza ramionami i mocno ściska w ręce rękawiczki, które teraz zmienił w gumową piłeczkę. Jest zbyt wcześnie. Potrzebuje więcej faktów, zanim coś im dostarczy. Ale Stina si nie podda, zanim czegoś z niego nie wycisnie. Równie dobrze może jej rzucić jakiś kasek, żeby ją na chwilę zadowolić.

Odchrząkuje i przejeżdża dłonią po włosach.

– Z grubsza, prawda, powiedziałbym, że około dwudziestu, pięćdziesięciu lat. Ale pozwolę sobie do tego powrócić potwierdzeniem.

– Aż tyle. – Stina patrzy na minikoparkę stojącą przy ziemiance. – A co oni kopią?

Dan podąża za jej wzrokiem.

– Chcą przerobić ziemiankę na szklarnię. Kiedy zaczęli roboty, ściana się zawaliła i ukazały się szczątki.

– Czyli ciało było ukryte w ścianie?

– Tak, na to wygląda. Ktoś się, prawda, postarał, żeby przysypać je ziemią i kamieniami. Prawdopodobnie celem ukrycia zwłok.

Stina potakuje.

– Co teraz robimy? No wiesz, to takie stare zwłoki.

– Musimy pozbierać wszystko, co tu mamy, i zabrać ze sobą do laboratorium. Znaleźisko jest, prawda, stare, ale jeśli jest tam jakiś, prawda, trop, to znajdziemy go.

Stina pokazuje głową w stronę wejścia.

– Mogę do środka?

– Tak – mówi Dan i wkłada rękawiczki do kieszeni. – Bez problemu, bylebyś tylko nie skontami... To znaczy, bylebyś niczego nie dotykała.

Stina unosi brwi i patrzy na niego.

– Nie, Dan – mówi wyjątkowo dobitnie i mija go. – Nie będę niczego dotykać.

Dan dławi w sobie upomnienie i odprowadza ją wzrokiem. Stina zatrzymuje się przy wejściu do ziemianki, stoi i patrzy przez chwilę, potem pochyla głowę przed niskim wejściem, potyka się o próg i znika z pola widzenia.

Policjant bierze głęboki wdech. Przykłada rękę do głowy, przejeżdża po cienkich włosach i zwraca twarz do słońca. Dziś wieczorem to nastąpi. Postawi pierwszy krok w nowe życie.

Rozdział 5

Do pokoju całkowicie zdominowanego przez białą kanapę wpada słońce. Stina kładzie dłoń na oparciu i przebiega palcami po tkaninie, jednocześnie rozglądając się dookoła. Dobrze posprzątane i odkurzone. Wszystko jest perfekcyjnie ułożone na swoim miejscu, nawet gładkie jedwabne poduszki na sofie i złożony na jednym z dwóch foteli w paski koc.

– Mają państwo piękny dom – odzywa się Stina i patrzy na Juliette Simonsson, która mimo wieku w gładkim paziu i letniej sukience w białe kwiatki wygląda na małą dziewczynkę.

– Dziękuję. To bardzo miłe – mówi z lekką nutką obcego akcentu, przeciągając samogłoski.

– Skąd pani pochodzi? – pyta Stina.

– Z Francji. Spod Paryża. – Pomalowane czerwoną szminką usta rozszerzają się w uśmiechu i Juliette odsuwa z policzka czarny kosmyk. – Ale mieszkam w Szwecji od prawie trzydziestu lat. Ma pani dobry słuch – kontynuuje kobieta i puszcza oko do Stiny. – Niewiele osób słyszy, że nie jestem Szwedką z pochodzenia.

Stina śmieje się krótko.

– Pani szwedzki jest perfekcyjny. To ja mam zboczenie zawodowe. Zwracam uwagę na szczegóły, do których nikt nie przywiązuje wagi.

Odwraca się do męża Juliette Arvida, który opiera się o fotel ramionami. Rękawy koszuli w kratkę ma podwinięte do łokci.

– A w tym domu? Jak długo tu państwo mieszkają?

– Dziesięć lat.

Stinę przechodzi dreszcz.

– I aż do teraz nie zauważyli państwo, że mają w ziemiance martwego człowieka?

Arvid wpatruje się w nią i przeczesuje palcami włosy, tak że siwe pasma tworzą na głowie szopę jak u Einsteina.

– Muszą państwo zrozumieć, że to wydaje się trochę dziwne. – Stina uśmiecha się przeprasząco. – Naprawdę przez dziesięć lat ani razu nie użyliście ziemiarki?

– Nie – odpowiada Juliette. – Nie używaliśmy jej.

– To znaczy, oczywiście wiedzieliśmy o jej istnieniu – mówi Arvid z południowoszwedzkim akcentem i patrzy na żonę, a potem na Stinę – ale nie interesowała nas. Mieliśmy tyle do roboty w domu i ogrodzie, że po prostu zostawiliśmy ją tak, jak stała.

– Aż do teraz? – dopytuje Stina i rzuca spojrzenie przez dużą przeszkloną część ściany za swoimi plecami. Dan i jego zespół pracowali na całego i tak będzie jeszcze przez kilka godzin. Stina chce wiedzieć, co wywnioskowali we wstępnym raporcie, ale musi się uzbroić w cierpliwość.

– Tak – potakuje Arvid, kładzie dłoń na ramieniu Juliette i ją obejmuje. – Zajrzeliśmy do niej, kiedy się tu wprowadziliśmy, ale ponieważ ledwo ją widać, zapomnieliśmy o niej.

Stina kiwa głową. On ma rację. Budowla jest słabo widoczna z powodu umiejscowienia na obrzeżach działki. Wejście jest prawie zakryte dwoma krzewami ciemnoszmaragdowych różaneczników, a dach porośnięty gęstą warstwą wiecznie zielonych roślin, których grube i błyszczące liście dobrze kamuflują przestrzeń. Poza tym szkielet był ukryty. Wyłonił się dopiero teraz, kiedy zawaliła się ściana.

Stinę przechodzi dreszcz. Zmusiła się, żeby wejść do środka. Skoczyło jej tętno, a oddech stał się dyszący. Ciasne przestrzenie tak na nią działają. Wspomnienie, które jeszcze żyje i które według jej terapeutki nie zniknie, jeśli nie będzie się na nie eksponować. To się nazywa terapia poznawczo-behawioralna. Stina prychnęła.

– Ale droga pani – mówi Juliette, robiąc po gładkiej drewnianej podłodze krok na obcasach, które powodują, że jej własne conversy w rozmiarze czterdzieści jeden wyglądają jak dwa wielkie kajaki. Kobieta wskazuje na kanapę. – Jestem tak przejęta, że zupełnie zapomniałam o manierach. Proszę usiąść.

– Dziękuję – odpowiada Stina i zapada się w miękkich poduszkach, widząc, że zostawia po sobie smugę brudu na śnieżnobiałej powierzchni. – Tak – dodaje i próbuje ją ukryć, stawiając w tym miejscu torebkę. – Ile lat ma ziemiarka?

– Ile lat? Hm. – Juliette wzrusza ramionami i sadowi się w fotelu. Patrzy w górę na Arvida, który stanął za nią. – Nie wiemy, ile dokładnie. Ale jeśli wybudowano ją wtedy, kiedy postawiono dom, to jest z lat dwudziestych. Sądzi pani, że...? – Marszczy czoło, co powoduje, że jej nos ściąga się w zabawny sposób. – Myśli pani, że ciało mogło tam tak długo leżeć?

Stina nie odpowiada, tylko wyjmuje z torebki notes i długopis. Jeśli ziemianka jest z lat dwudziestych ubiegłego wieku, to może wykluczyć, że zwłoki w nią wbudowano. Musiano je tam położyć później. Nie mogły być aż tak stare.

– Proszę opowiedzieć – patrzy na nich – jak to się stało, że znaleźli państwo zwłoki.

– Ziemianka była naszym kolejnym projektem. Mieliśmy ją przebudować na szklarnię. – Ręce Juliette wirują w powietrzu. – Chcieliśmy wymienić dach na płyty poliwęglanowe, które przepuszczają światło i ciepło...

– ...a grube kamienne ściany i umiejscowienie spiżarni pod ziemią pomagają w utrzymaniu stałej temperatury o każdej porze roku – dodaje Arvid.

Stina poprawia nogawkę i przygląda się swoim rozmówcom. Uśmiecha się. Niezbyt często w pracy natrafia na to, co widzi między nimi. Przyzwyczała się do nędzy, przemocy, siniaków i słów przepełnionych nienawiścią, ale tu są ciepło i sympatia. Uświadamia sobie, że lubi Arvida i Juliette.

– Rozumiem – kontynuuje. – A szczątki? Kto je znalazł?

– Ja – mówi Arvid. Ściska oparcie fotela. – Juliette poszła zrobić kawę, a ja wszedłem do środka. Zrobiłem pierwszy zamach koparką i zobaczyłem, że dach zrobił się wklęsły, więc chciałem zobaczyć, co się stało. Tak, początkowo niewiele widziałem. Było ciemno i ciasno. Dopiero kiedy doszedłem do samego końca pomieszczenia, zobaczyłem stos kamieni. Część dachu i ściana się zapadły. Wydaje mi się, że to się stało wtedy, kiedy wsadziłem łychę w dach. Tak czy siak. Podszedłem i zacząłem podnosić kamienie. – Rozkłada ręce. – Po części po to, żeby zobaczyć, jak duże były straty, ale też żeby, hm... – Wzrusza ramionami. – Nie wiem. Nie wiedziałem przecież, że... – Cichnie.

– Powiedział pan, że podnosił kamienie?

– Tak, właśnie. Podnosiłem kamienie. Wtedy ją zobaczyłem. Czaszkę. – Drapie się mocno po ramieniu, zostawiając czerwone ślady na jasnej piegowanej skórze. – Na początku rzeczywiście myślałem, że to był kamień, była taka czarna i paskudna,

więc prawie jej dotknąłem. Ale wiem tyle, że należy trzymać się z daleka. Jak tylko zobaczyłem, co to jest, cofnąłem się.

Stina lustruje go.

Ważne, żeby Arvidowi się nie wydawało, że musi dać jakąś odpowiedź. Ludzie często mają takie wrażenie. Czują presję, by pomóc, i zaczynają opowiadać o czymś, czego właściwie nie pamiętają. W takich sytuacjach lepiej, żeby nic nie mówili.

Arvid powoli kręci głową.

– Nie, nie wydaje mi się. Oczywiście rozglądałem się za resztą ciała. – Robi pauzę, a potem mówi dalej: – Jeśli tam jest, to chyba ukryta pod masami. Ale zauważyłem, że on tam leżał już od jakiegoś czasu.

– On tam leżał od jakiegoś czasu? – Stina marszczy czoło.

– No, jak wiadomo, jestem lekarzem, szkielet to dla mnie nie nowina, więc oceniając po wyglądzie czaszki, wysnułem wniosek, że to mężczyzna.

Stina kiwa głową. Rozróżnienie czaszki mężczyzny i kobiety powinno być lekcją A1 na medycynie, więc to brzmi logicznie. Przebiega wzrokiem po ich twarzach.

– Mają państwo pojęcie, kto to może być?

Obydwoje potrząsają głowami.

– A co wiedzą państwo o poprzednich właścicielach domu?

– Właściwie bardzo mało. Prawie nic w sumie. – Juliette przechyla głowę. – To była starsza pani. Wdowa, jeśli się nie mylę. Albo może panna. Zmarła, więc to jej spadkobierca sprzedawał.

– Czyli osobiście nigdy jej państwo nie spotkali?

– Nie, ale jeśli pani pyta mnie o zdanie, to nie miała równo pod sufitem. – Juliette puka się w czoło.

Stina przestaje bębnić ołówkiem i się pochyla.

– W jakim sensie?

Juliette prychnie i przewraca oczami.

– Jak ona wyglądała. *Mon Dieu!* – Wyciąga rękę w niekreślonym kierunku. – Pośrednik był bardzo niechętny i nie chciał nam pokazać domu, bo był tak straszny. Musieliśmy go natrętnie przekonywać. Zrozumieliśmy dlaczego, kiedy tu przyjechaliśmy. – Kręci głową.

– A jak tu to wszystko wyglądało?

– Och! Było niesłychanie brudno. Wszędzie. Ta kobieta chyba nigdy nie sprzątała. Zbieraczka. Od podłogi aż po sufit piętrzyły się różne przedmioty. Ten pokój i nasza sypialnia były pełne starych gazet. – Pokazuje ręką. – Totalnie chore.

– No i paliła – dodaje Arvid, marszcząc nos. – Śmierdziało starym tytoniem, który się wgryzł w tynki. Ściany i sufity były żółte i odbarwione.

Juliette ściąga usta i potakuje.

– Odór prawie zniechęcił nas do kupna, ale po tym, jak nas zapewniono, że można się go pozbyć, odważyliśmy się. I tak mieliśmy zrobić generalny remont.

– Który pośrednik zajmował się sprzedażą?

– Nie pamiętam nazwiska. Arvid, a ty?

Arvid zaprzecza gestem.

– A czy mogą się państwo tego dowiedzieć?

– Tak, pewnie – odpowiada Juliette i szybko wstaje. – Trzymamy wszystkie dokumenty z zakupu domu.

Stina patrzy na twarz kobiety i widzi coś innego, niż słyszy w rzeźkim głosie. Coś tam jest. Niepokój? Albo zniesmaczenie? I rozumie. Właśnie w tym momencie do Juliette na poważnie zaczęła docierać informacja, że w ich ogrodzie leży martwy człowiek. I był tam przez te wszystkie lata, kiedy tu mieszkali.

Rozdział 6

Zatrzymuje się i wyciera pot z czoła. Kilka samochodów stoi zaparkowanych na ulicy. Trzy z nich to wozy policyjne. Przygryza mięsistą wewnętrzną część policzka i czuje delikatny posmak krwi. W ogrodzie byłoby zatem co najmniej sześciu mundurowych. Może jeszcze więcej. Przeklina, odwraca się i utykając, idzie dalej.

Pozbył się auta. Właściciel zgłosiłby kradzież. To tylko kwestia czasu, o ile już tego nie zrobił. Odstawił je na bocznej uliczce z uchylonymi drzwiami i kluczykami w stacyjce, żeby ktoś je zobaczył, wziął i odjechał daleko od miasta. W ten sposób zyskałby trochę czasu.

Zaczyna iść. Opiera się na prowizorycznej lasce i czuje w ręce krągłe drewno. Wziął ją z ogrodu jakiegoś domu. Stary, dobry młotek do krokietu musi wystarczyć jako wsparcie kontuzjowanej nogi.

Wdycha okolicę i powoli kuśtyka naprzód, mając palące popołudniowe słońce za plecami. To ładna dzielnica, nad którą czuwa czerwony kościół. Wielkie ciche wille za gęstymi żywopłotami i świeżo malowanymi płotami. Dobrze skoszone trawniki, poprzycinane rabatki i puste podjazdy. Mija biały dom z niebieskimi markizami, po jednej stronie słyszy trzask daszku w skrzynce na listy, kiedy opróżnia ją nastolatek w czarnej bejsbolówce i spodniach opuszczonych tak nisko, że widać bladą pupę. Zatrzymuje się w pół kroku, ale dochodzi do wniosku, że młody z białymi słuchawkami w uszach osadził się tak głęboko w swoim świecie, że nie zwróci na niego uwagi.

Okrąża kwartał, idzie wzdłuż chodnika, który prowadzi na ulicę za domami. Drzewa są wysokie i rzucają cień na jego drogę, podczas gdy on dalej brnie naprzód po asfalcie i cichym zielonym trawniku. Czerwone domki szeregowe zostawia w tyle. Żywopłot przed nim jest gęsty, wysoki i zielony.

Ignoruje dzwoniący mu w głowie ból.

Żywopłoty gęstnieją coraz bardziej, robią się wyższe i zieleńsze, niż je zapamiętał. Ale znajduje dziurę, przez którą może patrzeć na dom odbijający jasne światło tak, że oślepia go słońce. Mruga, żeby przesłonić promienie, lecz one dalej

połyskują pod bolącymi powiekami. Przymykając oczy, wędruje wzrokiem po ogrodzie.

Marszczy czoło. Szuka. Jest w dobrym miejscu. Wie to na pewno. A jednak. Coś się nie zgadza.

Rozdział 7

Juliette wychodzi z pokoju, stukając obcasami, a Arvid dalej stoi przy fotelu, trzymając dłoń na oparciu.

– Jak to właściwie jest? – pyta i patrzy na Stinę. – Ma pani już teorię na temat tego, co się z tym człowiekiem stało, czy czeka pani, aż będzie trochę więcej wskazówek?

Stina się uśmiecha.

– Trochę za wcześnie na teorię. A co pan myśli?

– Właściwie to nie wiem, co mam o tym sądzić. – Zamyślony, drapie się po brodzie. – Moja pierwsza myśl: ktoś nam zrobił kawał. Któryś z dzieciaków z sąsiedztwa położył tam plastikową czaszkę ze sklepu z gadżetami, żeby nas nabrać. Albo żeby się zemścić.

Stina unosi brwi.

– Zemścić?

Arvid śmieje się lekko i robi lekceważący gest dłonią.

– Ech. To nie tak poważne, na jakie wygląda. Dwóch chłopaków mieszka w tym zielonym domu naprzeciwko. Nieźle na nich nakrzyczałem, kiedy podkradali nasze jabłka rambo. Kilka lat zajęło nam ich wyhodowanie i kiedy nareszcie na drzewie wyrosło parę biednych owoców, przyszły dzieciaki i je sobie wzięły, więc porządnie na nie pomstowałem. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to oni obstalowali jakąś cholerną zemstę za pociągnięcie za ucho i połajankę, które im zafundowałem.

Stina myśli o chłopaczkach, których wcześniej minęła. To ten typ, po którym już z daleka widać, że to prawdziwe łobuziaki z żądzą odwetu połyskującą w oczach i małymi świerzbiącymi paluszkami. Chłopcy, którzy na pewno nie pozwoliliby, żeby reprimenda przeszła płazem, i Simonsson raczej powinien się liczyć z rewanzem. Jej córki nigdy nie dokazywały w ten sposób. Miały jednak cechy, które mogły być równie męczące.

– Państwo nie mają dzieci, prawda? – pyta.

– Nie. Nie złożyło się. Myślę, że to z powodu naszej pracy – mówi Arvid i dodaje wyjaśniająco: – Obydwoje pracujemy w Szpitalu Dziecięcym Królowej Sylwii.

Stina kiwa głową.

– To się państwo dostatecznie napatrzą. Zdarza się, że kiedy ludzie widzą w pracy, jak innym dzieje się krzywda, potrafią się uodpornić, by się chronić, ale potrafię sobie wyobrazić, że to trudne, jeśli dotyczy dzieci.

– Tak właśnie jest.

– Co pan sobie pomyślał, kiedy zrozumiał pan, że to nie żart chłopaków z sąsiedztwa?

– Jeśli mam być szczery, to byłem głównie zaskoczony. I zaciekawiony – dodaje. – Zastanawiałem się, jak ta czaszka się tam znalazła.

Stina wodzi wzrokiem za mężczyzną, który obchodzi fotel i ciężko opada na siedzisko. Kiedy siada, faluje mu brzuch. Coś mówi Stinie, że Arvid lubi sobie w życiu dogadzać i że nie stroni od smacznych kolacji zakrapianych dobrymi winami. Ze sposobu zakładania ramion na brzuchu wnioskuje też, że z tymi dodatkowymi kilogramami nie czuje się całkiem komfortowo.

– Zdążyłem dość dobrze przyjrzeć się czaszce – kontynuuje. – Popatrzyłem na rozmiar, oczodoły, dolną szczękę i zęby i doszedłem do wniosku, że z największym prawdopodobieństwem to mężczyzna. Technicy też do tego dojdą.

– Na pewno.

– A co pani myśli? – pyta. – Co mu się mogło stać?

– Nie wiemy tego. – Stina kręci głową i z hukiem zamyka zeszyt. Potem uśmiecha się mechanicznie. – Trochę za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć.

– A kto to mógłby być?

– Nooo, jeżeli ktoś z nas dwojga na tym etapie może snuć jakiegokolwiek domysły, to na pewno nie ja.

Arvid robi głęboki wdech.

– Czy możliwe, że został zamordowany?

– Na tym etapie niczego wykluczamy. – Wstaje, wkłada zeszyt i długopis do torebki, którą przerzuca przez ramię i przewiesza na ukos na piersiach. – Zanim będziemy mogli wysnuć jakieś wnioski, potrzeba badań daktyloskopijnych.

– Rozumiem – odpowiada Arvid i z trudem wstaje z miękkiego fotela. Staje przed nią i poprawia spodnie.

– Na dziś mam już wszystko, czego potrzebuję – oznajmia policjantka i zaczyna się oddalać.

Arvid odprowadza ją do korytarza w domu i stoi obok niej w ciszy, kiedy czekają, aż Juliette przyjdzie z segregatorem z dokumentami zakupu. Stina odbiera go, dziękuje, wychodzi na słońce i rusza przed siebie po wysypanej kamykami ścieżce.

Patrzy w górę. W czasie kiedy była w środku, nadciągnęły czarne chmury. Będzie padać. I będzie burza. Boli ją głowa.

Rozdział 8

Na początku Stina zamierza zignorować Lenę Holm i ją minąć, ale kiedy już się z nią zrównuje, nie potrafi się powstrzymać i unosi rękę w geście pozdrowienia. W odpowiedzi dostaje krótkie spojrzenie, które mówi, że koleżanka z pracy jest, delikatnie mówiąc, niezadowolona z powierzonego jej zadania i że tego nie odpuści.

– Jak leci? – pyta Stina i zatrzymuje się przy niej.

– Dobrze, dziękuję – odpowiada Lena Holm i opuszcza posterunek.

Stina unosi brwi do góry.

– A ty dokąd się wybierasz?

Lena zatrzymuje się i podnosi wzrok.

– Myślałam, że miałam...

– Nie. – Stina potrząsa głową. – Chcę, żebyś tu została.

– Ale ja...

– Powiedziałam – przerywa jej Stina – że chcę, żebyś tu została.

Odwraca się, uśmiecha sama do siebie i idzie do samochodu, szukając w torebce kluczyka. Czuje ukłucie irytacji z powodu swojej małostkowej zemsty, ale potem tylko wzrusza ramionami i wyławia go. Kiedyś Lena musi posmakować własnej zgniłej trucizny. Może to spowoduje, że będzie lepiej traktować innych?

Stina zdalnie otwiera auto, słysząc jednocześnie za sobą głos.

– Halo! Stino Seger!

Mocno ściska pilota w rękę.

– Poczekaj.

Kurde, myśli. Teraz dostanie za swoje. Karę za to, że zatrzymała się przy Lenie. Powoli odwraca się i spotyka parę orzechowych oczu za okularami w plastikowych oprawkach.

– Co znaleźliście? – pyta zdyszany mężczyzna i przystawia jej do twarzy komórkę.

Stina robi krok do tyłu i unosi ramię, żeby stworzyć dystans pomiędzy nią a Jerryem Kvantem, reporterem z „Kvällsposten”.

Stina wie, co robić. Nie może pisnąć ani słówka. Jeśli nie chce, żeby wyrwane z kontekstu cytaty pojawiły się w gazecie albo na portalu informacyjnym i zostały źle zinterpretowane. Nauczyła się tego. Na błędach.

Kątem oka widzi, jak fotografka podnosi nogę w dzinsowych spodniach, żeby przedostać się przez biały płot na działkę. Już ma krzyknąć, kiedy po trawniku nadbiega umundurowany policjant. To Hannes Källgren pędzi, a rudawe loki kołyszają mu się przy oczach.

– Stać! Proszę się trzymać z dala od ogrodu – woła stanowczo, wystawia rękę w geście pokazującym „stop” i ukazuje pod pachą wielki ciemny ślad potu na granatowej policyjnej koszuli.

Blondwłosa fotografka się zatrzymuje.

– No proszę – mówi, przechyla głowę i się uśmiecha.

– Nie ma szans. Proszę się cofnąć. – Hannes podnosi wyżej rękę. – Powiedziałem: cofnąć się.

Dobrze, Hannes – myśli Stina. Nie daje sobie w kaszę dmuchać, nawet bardziej, niż sądziła. Będzie tego potrzebował w tym zawodzie. I w życiu.

Fotografka widzi, że trafiła na opór. Przestaje się uśmiechać, robi, co jej każą, i przekłada z powrotem nogę. Cofa się na ulicę, gdzie się zatrzymuje i zaczyna robić zdjęcia willi. Tego nie mogą jej zabronić. I prawdopodobnie takie zdjęcie trafi wkrótce na portal internetowy, a jutro na pierwszą stronę.

– Czy to prawda, że znaleźliście na tej działce szkielet?

Stina odwraca się do Jerry’ego Kwanta. Odrobinę za szybko, z czego zdaje sobie sprawę, kiedy widzi cień uśmiechu na jego twarzy. Ale w żadnym razie nie zamierza tego potwierdzić, pytając, skąd to wiedzą. Zastanawia się jednak. Jak to możliwe, że on wie? Czy ktoś się wygadał? Robi krok do auta.

– Bez komentarza.

Jerry obniża dyktafon.

– Stina, daj spokój. Chyba coś możesz mi dać.

Patrzy na niego, a potem na fotografkę, która robi zdjęcia radiowozom. Kiwa głową w tamtą stronę.

– Nowa koleżanka z pracy? – pyta.

Jerry patrzy na blondynkę i potwierdza skinieniem.

– Powinieneś jej powiedzieć, żeby trzymała się z dala od ogrodu. Trwa dochodzenie.

Jerry rozkłada ręce. Tak jakby to było poza jego kontrolą. Stina prychnęła. Na początku, kiedy był nowy w „Kvällsposten”, próbowała utrzymywać z nim poprawne stosunki. I dobrze się zaczęło. Był nowy i przywiązywał dużą wagę do pozyskiwania kontaktów. Ale im bardziej się wprawiał, tym ważniejsze stawało się dla niego zobaczenie własnego nazwiska w gazecie. Dlatego jego artykuły traciły wiarygodność. Nie przejmował się też zbytnio pisaniem prawdy. Najważniejsze było to, że dostał rubrykę. Czasami zmyślał cytaty. Działo to na Stinę jak płachta na byka. Jeśli istniało coś, czego nie lubiła w ludziach, to zakłamanie i fałsz. Dlatego postanowiła trzymać się z dala od Jerry’ego i „Kvällsposten”.

Rzuca spojrzenie na kosz na śmieci. Może postawienie przy nim Leny na straży to nie był taki głupi pomysł. Jerry mógł równie dobrze podnieść pokrywę i w nim pogrzebać, jeśli pomyślałby, że coś tam znajdzie.

– Stina – mówi reporter i przechyla głowę. – Staramy się tylko robić swoje. Wiesz o tym.

Stina przytakuje, szybko wsiada do auta i przeklina, kiedy przypadkiem uderza głową o krawędź drzwi. Przykłada rękę w bolące miejsce i patrzy na Jerry’ego.

– Ja też – mówi z piekącymi policzkami, zła zarówno na niego, jak i siebie samą za swoją niezdarność, i zamyka drzwi.

Rozdział 9

Mężczyzna rozgląda się wokoło. Coś się nie zgadza. Gdzie są meble ogrodowe z łuszczącą się farbą, zardzewiała taczka i potłuczone doniczki ze zwiędniętymi kwiatami? A pasiasty wąż do podlewania wijący się w trawie albo puste butelki i puszki? Zamiast tego wszystkiego widzi tam żywo zielony gęsty trawnik, olśniewające rabatki z krawędziami równymi jak od linijki, śnieżnobiały mebel ogrodowy i dobrze przystrzyżone krzewy. Potrząsa głową. Czuje, jak prawa strona twarzy drga, kiedy szuka wzrokiem ziemianki.

Obraz zostaje zasłonięty, kiedy blondynka z długimi falującymi włosami przechodzi zaledwie około metra przed nim. Niesie jakąś skrzynkę, a on czuje zapach jej perfum, ciężki i słodki, w dusznym powietrzu.

Mężczyzna przechyla głowę, wywołując trzask w karku. Blond włosy. Uderza otwartą dłonią w czoło. Coś chce wyjść na powierzchnię, na wierzch i na zewnątrz. Coś tam jest, tuż pod powierzchnią.

Błysnęło. Głowa boli. Inaczej niż zazwyczaj.

Zmienia pozycję. Noga. Patrzy w dół. Nie da się jej używać. Odpadła. Marszczy czoło. Nie boli, choć powinno. Jak to możliwe?

Znów patrzy w górę i widzi, że kobieta się zatrzymuje i rozmawia z wysokim mężczyzną o rzadkich włosach, który kilka razy zerka na zegarek. Ostatni promień słońca połyskuje na jej jasnych lokach, zanim ciemna chmura przygasza refleksy. Podmuch powietrza porywa jej kosmyki w górę, unosi je i podkręca, jednocześnie coś krwistoczerwonego błyska mu przed oczami. Potem krew. Czerwona krew, która leci z otwartej rany w zmiażdżonej głowie.

Osuwa się na kolana, upuszcza młotek i uderza czołem o ziemię. Obraz, który widzi przed sobą. Nie znika. Tylko opalone na czerwonobrazowo nogi, brudne, posiniaczone i zakrwawione. Połamane palce drobnych dłoni. Całe ramiona poranione, a ciało zalane krwią i pokaleczone. Twarz, ta piękna twarz, pobita, spuchnięta i wykrzywiona. Oczy, wielkie studnie niemego krzyku. Obejmuje się ramionami i zaczyna kołysać w przód i w tył. Co on zrobił? Co on zrobił?

Rozdział 10

Stina klnie głośno, kiedy bułka wokół hot doga francuskiego pęka, a duży kleks musztardy ląduje na białej koszulce i powoli zaczyna jej spływać na brzuch.

– Co powiedziałaś? – Głos mamy niesie się echem z głośnika w samochodzie.

– Ech, poplamiałam się sosem – mówi Stina i próbuje zetrzeć plamę o wiele za małą serwetką.

– Jesz coś?

– Tak. Siedzę w aucie. Właśnie odwiozłam Annie do Torslandy, kupiłam hot doga w drodze z pracy. Nie zdążyłam dziś zjeść obiadu.

Robi się cicho, potem głos wraca.

– Nie wolno ci się tak źle odżywiać, Stina.

– Wiem, że mi nie wolno. – Stina wzdycha. – Ale czasem tak bywa, kiedy nie zdążę niczego zjeść.

– Ale odwieźć Annie zdążyłaś?

Słowa wracają, są szorstkie. Stina wie dlaczego, ale nie zamierza wchodzić w dyskusje na temat dzieci. Jej mama twierdzi, że Stina stanowczo za bardzo je wyręcza, a ona zdaje sobie sprawę, że mama ma rację. Nigdy jednak by tego nie przyznała, dlatego rozmowa na ten temat mogłaby się skończyć tylko w jeden sposób. Lepiej więc nie odpowiadać.

– Robisz o wiele za dużo dla dzieci. Muszą sobie chociaż trochę same radzić.

– Mhm.

– Tak, wiem, że uważasz, że się powtarzam, ale jeśli kiedykolwiek mają się stać niezależnymi ludźmi, muszą zacząć sobie radzić same. Przecież w tym roku kończą szesnaście i osiemnaście lat, a ty je traktujesz, jakby miały dziesięć.

Stina nie odpowiada, tylko próbuje zetrzeć z ubrania resztki dressingu i poprawia chwyt na kierownicy, kiedy samochód robi zygzak na drodze, a jadący z naprzeciwka pokazuje jej środkowy palec. *Well, fuck you too*, myśli Stina i rzuca zgniecioną serwetką na podłogę.

– Spójrz na siebie i swoje rodzeństwo – papie dalej mama. – Gdybym was tak we wszystkim wyręczała, nigdy byście nie osiągnęli tyle, ile macie. Anders prowadzi hodowlę koni i dużą szkołę jeździecką. Ma kupców z całej Europy. A Anna pracuje w firmie taty i wkrótce ją przejmie.

Kiedy Stina i jej rodzeństwo dorastali w latach sześćdziesiątych i osiemdziesiątych, nigdy nie było mowy o podwożeniu. Chciało się iść na konie, piłkę nożną czy do kolegów i koleżanek, trzeba było samemu dotrzeć tam i z powrotem. I mama ma rację. Dawali sobie radę. Ale jednocześnie świat dziś wygląda inaczej. Jest trudniejszy i bardziej szorstki. Poza tym Stina wie lepiej niż jej mama, co się może stać.

– Nawet ty w końcu wyszłaś na ludzi – ciągnie mama.

Stina parska.

– No popatrz, nawet ja – mówi.

Mama cichnie.

– Stina, wiesz, że nie o to mi chodzi. To tylko...

– Tak, wiem, o co ci chodzi.

– Tak, trochę trudno ci było wybrać własną drogę. Zajęło ci to sporo czasu. A szkoda, bo tak dobrze ci szło w szkole... Ale zawsze byłaś taka uparta i chciałaś chodzić własnymi ścieżkami. Nigdy nie dałaś sobie powiedzieć, co masz robić. Ale kiedy w końcu się zdecydowałaś, wszystko poszło dobrze. Prawda?

Mama nigdy nie umiała pogodzić się z tym, że Stina zrezygnowała z ekonomii na Uniwersytecie Ekonomicznym Handels. Zamiast tego kupiła sobie malutkie mieszkanie przy placu Wieselgrena z aneksem kuchennym i wanną, w której można się było tylko kąpać na siedząco, i zaczęła pracę w Volvo w Torslandzie, najpierw jako monterka, a potem jako kierowczynie ciężarówki. Kiedy ją to zmęczyło, zwolniła się i najmowała do pomniejszych prac, jako recepcjonistka, pomoc w kawiarni i administratorka w dziale płac. Potem Göteborg zrobił się dla niej za mały i zarezerwowała bilet do Los Angeles, tam znalazła pracę jako au pair. Kiedy po roku wróciła do domu, do Szwecji, zapisała się na literaturoznawstwo i filozofię na uniwersytecie. Tylko dlatego, że ją to interesowało. Żeby opłacić studia, brała mnóstwo dorywczych prac i prowadziła dość beztrudne życie. Aż do momentu, w którym przyjęła pieprzoną pracę krupierki u tego Irańczyka. Tę, która zaprowadziła ją w mroczne rejony Göteborga, gdzie poznała półświatek. Tam

spotkała ludzi nocy. Wtedy stało się to. To, o czym nigdy nie mówiła. To, co spowodowało, że zdecydowała się zostać policjantką.

– Idę w piątek do neurologa. – Ton głosu mamy przybiera inne niż zwykle brzmienie. – Z nogą.

– Idziesz do neurologa w sprawie nogi?

– Tak. Byłam już w tylu różnych miejscach, że w sumie został mi tylko neurolog.

– Dalej nikt nie wie, co to jest? – Kierunkowskaz głośno tyka w ciszy.

– Nie – odpowiada w końcu matka.

– A jak się czujesz?

– Nie wiem. To bardzo dziwne. Trudno to wyjaśnić. Noga mnie nie boli, ale jakby nie współpracowała. Nie chce robić tego, co ja chcę. Jakoś tak drętwieje, nie wiem, jak to opisać.

Stina już kiedyś to słyszała. To dziwne uczucie w nodze, które niełatwo opisać słowami. Niepewność. Czekanie na diagnozę. Już zimą mama czuła, że z nogą coś było nie tak. W końcu wybrała się do przychodni, a potem odsyłano ją od lekarza do lekarza, ale nikt nie mógł stwierdzić, na czym polegał problem.

– Anna mówi, że to sobie wmawiam.

Stinę gryzie złość z powodu zimnego komentarza siostry.

– Oczywiście, że sobie tego nie wmawiasz – mówi. – Cała Anna.

– E tam. Nie ma nic złego na myśli. Przecież wiesz, jaka jest.

Tak, Stina wie. Dorastała z nią. Dokładnie wie. Wzdycha.

– Pogorszyło się według ciebie?

– Tak. – Głos się załamuje i urywa.

– To na pewno nic groźnego – Stina usiłuje uspokoić matkę, podczas gdy strach, że to coś poważnego, robi kolejny krok do przodu. – Pewnie to tylko ucisk na jakiś nerw.

– Tak – potakuje mama i milknie. – Może. Ale nie mogę już jeździć konno. Nie z taką stopą.

To musi być najsmutniejsze. Konie i jeździectwo zawsze były całym jej życiem. Praktycznie każdego dnia w tygodniu jest u Andersa i cieszy się z każdej sekundy.

– To czekanie staje się bardzo męczące. Wyniki jeszcze niczego nie pokazały – ciągnie mama. – Ani rezonans magnetyczny, ani biopsja szpiku.

– Ale może to dobrze – próbuje ją uspokajać Stina. – To znaczy, że niczego groźnego nie znaleźli.

– Tak. – Mama głęboko wzdycha. – Ale chciałoby się wiedzieć.

– No pewnie. – Stina wjeżdża samochodem do ciemnego garażu gmachu policji i parkuje.

– Chcesz, żebym poszła z tobą do lekarza?

– Nie. Tata ze mną pójdzie.

Obydwie cichną.

– Dojechałaś do pracy?

– Tak.

– No to dam ci popracować.

– Obiecuj, że się odezwiesz, jak tylko będziesz coś wiedziała.

Rozdział 11

Pierwsze, co Stina widzi, to Dan Kowalski w jasnoniebieskiej koszuli i beżowych chinosach. Cienkie jasne włosy ma zaczesane od czoła do tyłu. Siedzi z teczką na kolanach i powoli bębni w nią palcami.

– Cześć, Dan, i cześć wszystkim! – wita się Stina, kierując się w stronę pustego krzesła przy Danie. – Przepraszam za spóźnienie.

Dan podnosi wzrok i kiwa głową.

– Nie ma problemu – mówi David Sandberg-Saliba, uśmiechając się szeroko.

Lovisa Douglas, która siedzi obok niego, nie wygląda na równie skora do przyjęcia przeprosin i zamiast coś odpowiedzieć, tylko zbliża kubek z kawą do ust.

– Przeprowadziłam wstępną rozmowę z parą Simonssonów i jestem raczej pewna, że nie mają nic wspólnego ze zwłokami w ziemiance – kontynuuje Stina, zapinając marynarkę, żeby ukryć plamę po dressingu. – Po prostu mieli pecha.

– A ci, od których Simonssonowie kupili dom? Wiemy coś o nich? – pyta David, krzyżuje opalone ręce na piersiach i zaczyna się odchylać na krzesło.

– Niewiele. – Stina patrzy na niego. – Kupili dom od spadkobiercy, niedługo po tym, jak jakaś starsza kobieta zmarła. Dom był w bardzo złym stanie.

– Wandale? – pyta David.

– Nie. Staruszka taki zostawiła.

– A jak długo tam mieszkała?

– Tego jeszcze nie wiem. Sprawdzimy, czy w chwili śmierci była właścicielką. Jeśli tak, to zweryfikujemy, czy inni członkowie rodziny też mieszkali pod tym adresem. Jeśli nie, kto był właścicielem nieruchomości. – Stina rzuca okiem na wpatrującą się w nią Lovisę Douglas.

– Kto to weźmie?

– Ja mogę to poprowadzić – mówi szybko Lovisa i zapisuje kilka ładnych słupków w swoim notatniku o miękkiej skórzanej okładce.

– Dobrze. – Stina odwraca się do Dana. – Czy mógłbyś streścić, do czego doszliście?

Dan potakuje i odsuwa zamek w swojej teczce.

– Nie mieliśmy zbyt dużo czasu – mówi i wyciąga laptopa. – Ale mogę powiedzieć, z dość dużą dozą pewności, prawda, że znaleźliśmy tam szczątki mężczyzny.

– Czy możemy zobaczyć jego twarz?

Dan chwytając kabel i podłącza go do projektora. Potem patrzy na Stinę.

– Jak już mówiłem. Mieliśmy bardzo mało czasu, ale oczywiście zawsze możemy, prawda, spróbować komputerowo zrekonstruować portret pamięciowy, wykorzystując czaszkę.

– Dobrze. Zrób to. Jak stare są zwłoki?

Dan drapie się pod koszulą z krótkim rękawem.

– W dalszym ciągu nie mogę stwierdzić nic ponad to, że mężczyzna był jakoś pomiędzy dwudziestym a pięćdziesiątym rokiem życia.

Stina odchyła się na krześle. To szeroki zakres. Dan z pewnością mógłby go zawęzić, jeśli dostałby więcej czasu. Ale świadków by nie było, a dowody byłyby ekstremalnie trudne do zebrania, jeśli w ogóle jest coś, co da się zebrać.

– A czy wydział zimnych spraw nie powinien się tym zająć? – pyta David.

– Właściwie tak. Ale teraz, w okresie urlopowym, my musimy wskoczyć na ich miejsce. Wszyscy u nas są w pracy przez cały tydzień i chociaż stary szkielet na pewno nie zajmuje wysokiego miejsca na liście priorytetów, zrobimy tyle, ile zdążymy. A Dan... – Stina patrzy na Dana. – Ty chyba nie bierzesz urlopu, prawda?

Ku jej zdziwieniu blade policzki kolegi różowieją. Nie mocno, tylko o jakiś odcień, jednak to wystarczy, żeby coś zauważyła.

– Idę na urlop. Od piątku.

Zasadniczo wszyscy wiedzieli, że w grupie na wzgórzu Mecinarberget to Dan pierwszy przychodzi i ostatni wychodzi, a oprócz tego plasuje się na czele grupy osób z niewykorzystanym urlopem. Jest typem człowieka, który może spędzić godziny, dni, a nawet tygodnie, deliberując nad odciskiem stopy albo brudem za paznokciami denata, byle tylko dojść do sedna sprawy. Żyje tym. Jego

skrupulatność przynosi rezultaty i Stina darzy zarówno jego, jak i jego pracę dużym szacunkiem. To w ogromnej mierze dzięki niemu przez te lata rozwiązyali wiele spraw gwałtów, morderstw i innych przestępstw. A teraz nagle ma mieć urlop, kiedy pojawia się taki wymagający przypadek. Coś się nie zgadza.

– Serio? Idziesz na urlop? Teraz? – nie dowierza Lovisa, wyrażając myśli Stiny.
– A co będziesz robić?

– Nic ci do tego – syczy Dan.

Stinie trudno powstrzymać się od śmiechu. Nigdy wcześniej nie słyszała go tak stanowczego. Nie zwracał się w ten sposób do nikogo. I trochę to zabawne, że jest taki akurat w stosunku do Lovisy.

Stina lubi tę nową nieznaną stronę charakteru Dana, chociaż Lovisa szybko odnajduje się w sytuacji.

– Eee, daj spokój – przekonuje go Lovisa i szyderczo się uśmiecha.

Czoło Dana zaczyna się świecić, a dłonie szukają czegoś w stosie papierów.

– Zostaw – mówi Stina Lovisie i przeklikuje na następne zdjęcie w prezentacji Dana. – Mamy inne rzeczy do omówienia niż urlop Dana.

Lovisa się wzdryga i zaczepny uśmiech momentalnie znika z jej twarzy. To było mocne upomnienie. Mocniejsze, niż Stina zamierzała. I nie znajduje uznania u podwładnej.

Ale Stina ma rację. Bo fakty są niezaprzeczalne. Trwa dochodzenie. Lovisa powinna się na nim skupić, a zadaniem Stiny jest dopilnowanie tego.

– Cofnij do poprzedniego zdjęcia – przerywa David, który, jak się zdaje, nie zwrócił uwagi na wymianę zdań, tylko skupił się na slajdach. – Wygląda na uszkodzenie czaszki.

– Zgadza się – potwierdza Dan i odchrząkuje. – To, co widzimy, to wyraźna trauma tyłu czaszki spowodowana zewnętrzną, prawdą, przemocą.

Stina przyciąga komputer do siebie i wbija wzrok w ciemne kości głowy i zagłębienie w niej, od którego odchodzą pęknięcia.

– Czy to się stało przed tym czy po tym, jak umarł?

– Przed tym – mówi Dan i składa czubki palców tak, żeby tworzyły trójkąt. – Trauma nastąpiła definitywnie *pre mortem*.

– Czyli mamy tu do czynienia z morderstwem? – pyta David. – Przypuszczalnie starym, ale jednak morderstwem?

– Na tym etapie, prawda, nie możemy wykluczyć wypadku, ale tak, powiedziałbym, że z największym prawdopodobieństwem to morderstwo.

Rozdział 12

Stina otwiera drzwi wejściowe, wchodzi do środka, wbija kod i ucisza nim ostrzegawcze pikanie alarmu. Stawia torbę z laptopem i zakupy na podłodze, opiera się ścianę i na krótką chwilę przymyka powieki. Bołą ją plecy. Ale sama jest sobie winna, skoro zostaje po godzinach w pracy i zajmuje się papierkową robotą, zamiast chodzić na siłownię i ćwiczyć.

Otwiera oczy, pochyła się i zdejmuje buty. Po wstawieniu ich do szafy odwraca się i patrzy na bałagan w przedpokoju. Nawet jeśli jej zwyczaj odkładania butów na miejsce może się wydawać zbędny, twardo przy nim obstaje. Jak mogłaby wymagać tego od dzieci, gdyby sama tego nie robiła?

Robi rundkę po pokojach Lilly i Annie. Nie spotykają jej tam żadne niespodzianki. Nie ma dzieci, ale za to jest sporo ubrań na podłodze, są niepozmywane kubki i talerze, niepościelone łóżka. Marszczy nos z powodu zaduchu w pokoju Annie, szybko wyciąga głowę za framugę i, jak wiele razy wcześniej, stwierdza, że bałaganiarstwo to jedna z niewielu wspólnych cech charakteru jej córek.

Wchodzi po schodach na górę i do kuchni, odstawia papierową torbę z zakupami, kurczakiem z rożna i sałatką ziemniaczaną na wyspie kuchennej. Przeklina na widok na wpół opróżnionych kartonów z mlekiem, które stoją na wierzchu, i okruszków, którymi nikt się nie przejął na tyle, by zadać sobie trud i je zebrać. Wylewa mleko do zlewu, ze złością zgniata kartony i wkłada je do pełnej torby na śmieci. Potem podchodzi do lodówki i wyciąga puszkę piwa. Otwiera ją, słysząc syknięcie, Stina zachłannie wypija kilka łyków, a potem głośno się jej odbija.

Po tym, jak odgłos już wybrzmiał, spotyka ją cisza domu.

Ulf zostaje w biurze do późna. Dziś też. Często mu się to zdarza. Pracuje nad jednym ze swoich wielu projektów biznesowych w agencji zajmującej się zarządzaniem.

To trochę śmieszne. To znaczy śmieszne i nieśmieszne. Jest inne. Jego przedsięwzięcia są tajne, a jej praca jest najczęściej równie, o ile nie bardziej, tajemnicza. Powoduje to, że nie mogą przy kolacji rozmawiać o tym, jak minął dzień. Tak jak robią to, według niej, zwykli ludzie.

Upija kolejny łyk piwa, staje na palcach i wyszukuje pudełko cygaretek, które chowa za witaminami w szafce nad okapem. Nie żeby uważała, że to robiłoby jakąś różnicę, gdyby mieli zwyczajne zawody, myśli, otwierając drzwi na taras. Ich rozmowy zamierają. Kiedy dzieci były małe, krążyły wokół nich, ale teraz, kiedy są już prawie dorosłe, nie ma takiej potrzeby.

Stina zdejmuje skarpetki. Zostawia je na podłodze i boso wychodzi na drewniany podest, który jest jeszcze nagrany od słońca. Tam wyławia cygaretkę i zapala ją. Powoli wypuszcza powietrze, widzi, jak dym się rozplywa i znika.

Rano ona i Ulf wstali mniej więcej o tej samej porze. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, on ze swoją różowawą gazetą „Dagens Industri” i w okularach do czytania na czubku nosa, a ona ze swoją „Göteborgs Posten”¹. On przewertował do stron o giełdzie, a ona do działu sportowego w drugiej części. On zjadł sałatkę owocową z jogurtem tureckim i ekologiczną żytnią bułkę z serem i plasterkiem papryki, a ona wypila czarną kawę i zjadła kromkę pieczywa chrupkiego z pastą kawiorową. Zawsze to samo śniadanie. Dzień w dzień. I nie zamienili ze sobą słowa.

Wzdycha. Zaciąga się i pogrąża w myślach. Czy naprawdę całe śniadanie minęło w całkowitym milczeniu? Nie dyskutowali o czymś, co było w gazecie? O jakimś aktualnym wydarzeniu albo chociaż o pogodzie? Próbuje sobie przypomnieć, opadając na miękką poduszkę na krześle. Zauważa, że ptak narobił na dolny brzeg poduszki, ale ignoruje to i patrzy na ogród. Jeszcze raz zaciąga się dymem i udaje się jej puścić kilka kółek w nieruchome i duszne powietrze.

Nie, stwierdza i podnosi puszkę do ust. Naprawdę nie zamienili rano ani słowa. Nawet „dzień dobry”. Nie było „wyspałaś się?”, „wyspałeś się?”. Nic. Jedyne słowa, jakie padły, to „na razie!”, które rzuciła Stina, wychodząc do pracy.

Czy to jest naprawdę normalne? Czy wszystkie pary, które są osiemnaście lat po ślubie, tak mają? To chyba nie może być powszechne. Co to jest za małżeństwo?

Drapie się po piersiach i czuje pod palcami zaschnięty dressing. A jak będzie, kiedy dzieci się wyprowadzą? Zapadnie grobowa cisza? Teraz przynajmniej od

czasu do czasu coś ją przerywa.

Stina podnosi puszkę do ust i zauważa, że jest pusta. Była aż tak spragniona?

Wzdycha i przymyka oczy. Ulf woli czerwone wina z Bordeaux. Zdekantowane i najlepiej zamówione ze specjalnego asortymentu w monopolowym. Nie podoba mu się, że Stina pije piwo prosto z puszki. „Mogłabyś chociaż używać kufla?” – mawia, głośno i demonstracyjnie stawiając go na przed nią stole.

Stina się uśmiecha. Według niej niewiele rzeczy jest w stanie pobić browara z cygaretką po pracy. I całkiem jej przyjemnie, że męża nie ma w domu. Ominie ją słuchanie jego zrzędzenia, że tu siedzi, pali i nieelegancko pije. Teraz może zasłużenie delektować się swoimi przywarami na totalnym luzie. Posiedzi tu i będzie jej dobrze w ciszy i spokoju. Jeszcze tylko chwilę. Za moment przyjdzie burza i będzie musiała wejść do środka.

Nie będzie myśleć o pracy. Poświęci kilka minut tylko sobie. Potem pójdzie na dół i nastawi pranie. Zanim usiądzie, żeby zjeść kurczaka, zadzwoni do dzieci i sprawdzi, czy wszystko w porządku. Jak zwykle będzie bardzo męcząca i będzie się wtrącać. Ale i tak to robi. To jej praca jako matki. A ona zawsze wykonuje swoje zadania.

Podsakuje, kiedy niespodziewany podmuch powietrza porywa i zdmuchuje puszkę na drewniany podest z głośnym brzękiem. Stina wpatruje się w połyskujące na złoto aluminium, które powoli przetacza się tam i z powrotem, aż w końcu się zatrzymuje. Ciężka pierwsza kropla deszczu spada na gołą stopę Stiny i kobieta słyszy, jak gdzieś w oddali groźnie huczy grzmot. Wyładowanie jest coraz bliżej.

1 „Göteborgs Posten” – największy dziennik na zachodzie Szwecji i jedna z głównych szwedzkich gazet.

Rozdział 13

Davida boli głowa, a w ustach tak mu zaschło, jakby lizał piach na pustyni. Mlaszcze i otwiera oczy, ale szybko je zamyka, kiedy promień słońca boleśnie w nie trafia. Wciąga haust powietrza i dopadają go mdłości. Gdy tak na kacu przewala się z boku na bok, powoli dociera do niego, że nie poznaje ani zapachów w pokoju, ani oddechów obok niego.

Ostrożnie uchyla powieki i patrzy na różową pościel w kwiaty. Ogarnia go nieprzyjemne uczucie i mruży oczy. Już pamięta. Jest idiotą. Pieprzonym idiotą. Jest w domu przyjaciółki Karin. Jednej z jej najbliższych przyjaciółek. W jej łóżku, w jej pierdolonej pościeli w róże. Żołądek ściska się jeszcze mocniej w supeł i David musi zdusić wymiociny, które chcą się wydostać na zewnątrz.

Lęk wbija go w posłanie. Zerka w bok. Nie ma odwagi się poruszyć. Niechby ona tylko się obudziła.

W końcu rozumie, że musi coś zrobić. Musi stamtąd iść. Unosi kołdrę, ostrożnie odgarnia ją na bok i siada na chyboczącym łóżku. Chwyta za jego krawędź i patrzy na nią. Nie poruszyła się. Oddycha z ulgą, wstaje, traci równowagę i musi ponownie się oprzeć. Siedzi, widzi swoje majtki, pochyla się i szybko bierze je do ręki. Ostrożnie się prostuje i zaczyna zbierać ubrania. Chce stąd pójść. Już. Chce się wykręcić przed wstydem i tym, co nieuniknione. Kłamstwem, w które nikt nie uwierzy. Już ma wyjść i odetchnąć z ulgą, kiedy słyszy, że coś za nim skrzypi.

– Wychodzisz?

Mrozi go, przeklina pod nosem i powoli odwraca się z krzywym uśmiechem na twarzy.

– Eee, tak, no wiesz, muszę iść do pracy. – Powoli drapie się w krótki zarost na brodzie. – Nie chciałem cię budzić.

– Mhm... – Kobieta odwraca się na bok i opiera na ramieniu tak, że jej długie ciemne włosy opadają na bok. – Nie masz czasu zostać i zjeść śniadania?

– Nie – zaprzecza David i odwraca się w stronę drzwi, trzymając przed sobą ubrania. – Przykro mi. Jestem naprawdę spóźniony.

Jej wzrok omiata jego ciało, a on mocniej przyciska do siebie bieliznę.

– Kawy chyba możesz się napić? – nalega i sztucznie się uśmiecha swoimi kaczymi ustami.

Że też, kurde, musiała się obudzić. David odstawia stopę na podłogę i zatrzymuje się przy drzwiach.

– Słuchaj – mówi. – Ja... – Co ma zrobić? Podejść do niej, dać jej buziaka w policzek? Powiedzieć, że było dobrze? Skłamać? Czy po prostu wyjść?

– W porządku. Idź – odpowiada mu, macha ręką z długimi czerwonymi paznokciami i ciężko kładzie się na łóżku.

A on z wdzięcznością pędzi na zewnątrz. Ulżyło mu jak cholera.

Zatrzymuje się na ulicy. Słońce kłuje w oczy i David myśli o tym, że musi pojechać do domu, wziąć prysznic, zmienić ubrania, a potem pojechać do pracy. Ale nie ma auta. Nawet nie wie, gdzie jest.

Wyciąga komórkę, żeby pomóc sobie GPS-em, ale w tym samym momencie widzi szklany dom kawałek dalej na ulicy. Jest w Sävedalen.

Dzwoni po taksówkę i już ma schować telefon, kiedy przychodzi esemes. Uśmiecha się. Pewnie od mamy. Znow jest na niego zła. O to z Karin. A kiedy Susan Saliba jest zła, najlepiej trzymać się od niej z daleka. On i czworo jego rodzeństwa nauczyli się tego wcześniej w dzieciństwie.

Nie może się nie zaśmiać przy całej swojej biedzie. Mama robi dla nich wszystko, ale wścieka się jak stu diabłów. Na szczęście, jeśli tylko podejdzie się do tego w odpowiedni sposób, przechodzi jej tak szybko, jak się zaczyna. David przygotowuje się, żeby odpowiedzieć przeprosinami, cokolwiek to jest, i zerka na ekran.

Ale wiadomość nie jest od mamy. To od niej. Dziękuje za noc. Davida ściska w dołku. Podnosi wzrok i szybko wsuwa smartfona do kieszeni.

– Friggagatan dwadzieścia – informuje kierowcę taksówki i opiera się o chłodne skórzane siedzenie.

Czemu to zrobił? Ze wszystkich ludzi na świecie to od niej powinien się trzymać z daleka. Koleżanka Karin z dzieciństwa w Kungälv. A ona jaką paskudną koleżanką się okazała!

Kręci głową na własne zachowanie. Nie ma tu żadnej logiki. Nie da się tego wytłumaczyć. Trzeba sobie po prostu uświadomić, że nigdy nie wpadnie się na racjonalne wytłumaczenie. Był po prostu głupi i pijany. Znów.

Rozdział 14

Otwiera oczy i wpatruje się w biały sufit z dwiema wyłączonymi świetlówkami w czarne kropki z martwych much, uwieczonych w osłonkach. Wbija w nie wzrok. Czy coś czuły? Czy były świadome tego, że są w pułapce, czy może ich niedorozwinięte mózgi tego nie rozumiały? Przez moment czuje się normalnie. Jak każdy, kto roztrząsa kwestie egzystencjalne, leżąc na podłodze. Potem słyszy pracujące na zewnątrz podkaszarki, kładzie ręce na twardej podłodze, podnosi się i patrzy do środka dwóch wielkich żółtych pralek.

Coś błyska i mężczyzna jęczy, unosi ręce i chwyta się za głowę. Maszyny znikają, a przed sobą znów widzi ją. Krew. Zniszczona twarz. Obrzękłe oczy poprzecinane czerwonymi żyłkami. Włosy, te złote gładkie loki, zmierzwione i skołtunione, brudne od ziemi, po której ją ciągnięto, i krwi z licznych ran. Wybite zęby. Zmasakrowane ucho. Jęczy głośno i huśta się tam i z powrotem. Wie, co zrobił. Zabił. I zrobił to w najbardziej okrutny i odrażający sposób. Nigdy przed tym nie ucieknie, niezależnie od tego, jak bardzo nie chce pamiętać.

Potem przychodzi to drugie. To nowe. To, co znajdowało się tam tylko przez moment. Widzi siebie samego w ogrodzie. Ma przebłyski, jak ciągnie ciężkie ciało przez wysoką falującą trawę pod półksiężycem, który wpatruje się w niego wprost z czarnego nieba. Potem robi się ciemno i ciasno. Wielkie głazy i ziemia przykrywają ciało. Ręce ma brudne i poranione. Rozpoznaje to miejsce. I musi uciszyć głód, który go ssie. Musi się dowiedzieć. Ile osób zabił? Widzi dwie, ale czy jest ktoś jeszcze?

Dostał się do domu, w którym to się według jego wiedzy stało. Ale kiedy w końcu tam był, stanął, nie wiedząc, co robić i dlaczego tam przyszedł. Zdezorientowany. Zostawił ogród. Odjechał tramwajem i wysiadł kilka kilometrów dalej. Siwa starsza pani szła wcześniej w jego stronę, kiwając się na boki. Mocno wciąga powietrze, kiedy przypomina sobie, że miał myśli o jej czaszce, cienkiej jak skorupka jajka.

Znów rozgląda się wokół siebie. Jest pewien, że znajdzie jej zakrwawione i okaleczone ciało. Jest potworem. Jest tym typem człowieka, który morduje. Ale nic w tej przestrzeni nie widzi i oddycha z ulgą.

Staruszka dużo mówiła. O sobie samej. O rodzinie. O życiu. Miała słaby wzrok, więc odprowadził ją do pralni. Pomógł jej. A potem tam został. Zasnął na ławce przykryty cienką poszwą zamiast kołdry i z zapomnianą koszulką jako poduszką. Wkłada rękę do kieszeni i wyławia pudełeczko. Bierze dwie tabletki, kuśtyka w stronę zlewu i popija je wodą. Wstaje, ociera usta grzbietem dłoni, jednocześnie wyglądając przez piwniczne okienko. Przewiało nocny deszcz i zrobiło się miejsce na słoneczny poranek. Odgłos podkaszarki odbija się pomiędzy domami, a dwoje dzieci z gołymi nogami i tornistrami na plecach zbliża się do niego. Kiwa głową sam do siebie i poprawia spodnie. Utyka z powrotem na ławkę, zwija prześcieradło i bierze koszulkę. Jest teraz gotowy. Wie, co ma robić. Co musi zrobić.

Rozdział 15

Lovisa Douglas otwiera drzwi do siedziby pośrednictwa nieruchomości przy Chalmersgatan 15 i wchodzi do nieba. Chłodne klimatyzowane powietrze jest niczym pieszczota w porównaniu z duszną i pełną spalin ulicą na zewnątrz.

Jasne pomieszczenie jest prawie puste, nie licząc chłopaka po trzydziestce, który rozmawia przez telefon, stojąc przy zbyt dużym czarnym chromowanym ekspresie do kawy. Chłopak jest ubrany w ciemny garnitur i ma włosy zaczesane do tyłu. Kiwa głową w jej stronę, nie zwalniając tempa rozmowy, i wskazuje parę czarnych skórzanych foteli z ramą z gładkiej nierdzewki. Fotele Barcelona. Ten sam model stoi w holu u jej rodziców w Hovås.

Lovisa siada w jednym z nich. Zetknięcie się lodowatego obicia z jej gołymi nogami powoduje, że przechodzi ją dreszcz. Nagle jest jej prawie zimno i pociera ramiona dłońmi.

Głos przy ekspresie nawija o lokalach, stopach procentowych i prowizjach. Lovisa rozpoznaje ten gatunek człowieka. To typ aspirującego snoba, który wolałby teraz być na Stureplan w Sztokholmie niż przecnicę od Vasastan w Göteborgu. Mogłaby założyć się o cokolwiek, że samochód wyścigowy zaparkowany na ulicy z jaskrawożółtym mandatem zatkniętym za wycieraczką jest jego.

Właściwie powinna odczuwać jakiś rodzaj braterstwa z agentem nieruchomości. On też ma silną wewnętrzną motywację, tak ja ona. Ale faktem jest, że ona nie stawia takich jak on na świeczniku. Zna go. To typ, który ma w zanadrzu całą masę okrągłych słów – wygadany i mocny w gębie, co sprawia, że pozwalając ustom pracować, może łatwo zarobić mnóstwo pieniędzy. Co to za osiągnięcie? Ona sama ma dwa dyplomy, na które naprawdę ciężko zapracowała. Ale dobrą stroną takich jak on jest to, że najczęściej nie są zbyt skomplikowani. Wystarczy udawać, że ci zaimponowali, i zazwyczaj łatwo nimi manipulować w pożądaną stronę.

– Hej! – odzywa się mężczyzna i szeroko uśmiecha, wkładając smartfona do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Linus Janson. Czym mogę służyć?

Lovisa wstaje i czuje, jak naga skóra pod kolanami odkleja się od fotela.

– Lovisa Douglas. Policja. Dzwoniłam wcześniej.

Chwyta jego wyciągniętą dłoń.

– Aha. – Mężczyzna kiwa głową i taksuje ją wzrokiem. – Taka młoda?

Nie taka młoda, na jaką wygląda. Ma dwadzieścia siedem lat, ale ciągle musi pokazywać dowód w Systembolaget. Wielu osobom to pochlebia, ale nie jej. Kto chciałby wyglądać na szesnastolatkę? To nie wzbudza respektu. Ma w zwyczaju pocieszać się myśleniem, że kiedy przybędzie jej lat, będzie się z tego cieszyć. Puszczając jego dłoń i ruchem głowy wskazuje na nadgarstek.

– Rolex? – pyta z uśmiechem.

– Zgadza się – potwierdza mężczyzna, przeciągając dłonią po ulizanych włosach. Jego opalona twarz się rozpromienia.

– Ładny – chwali Lovisa, patrząc na niego życzliwie.

– Dziękuję.

Lovisa się rozgląda.

– To jak idą interesy w nieruchomościach?

Teraz pośrednik uśmiecha się półgębkiem.

– Hm, nie mogę narzekać.

Wkłada ręce do kieszeni i odchyła się lekko.

– Zawsze się znajdzie kupiec na apartament w Vasastan.

Już prawie złapała go na haczyk. Jeszcze tylko kilka ruchów, a potem może zgarniać efekty. Przechyliła głowę i znów się uśmiecha.

– A czy pośrednik nieruchomości dobrze zarabia?

– Tak, całkiem dobrze. Oczywiście to zależy od tego, ile się sprzedaje.

– Bo wygląda na to, że dobrze idzie. A co to jest? Armani?

Uśmiecha się do niej, kładzie dłoń na drapanej na biało ścianie i się opiera. Lovisa wie, że to nie jest Armani, i on też to wie, ale nie zależy mu na sprostowaniu, więc mówi tylko:

– Zdaje się, że się na tym znasz?

– Eee, należę tylko do tych, którzy uważają, że to, co się nosi, sporo mówi o człowieku. To wskaźnik tego, jak daleko się zaszło albo jakie wrażenie chce się sprawić. Niektórzy pewnie myślą, że to nieważne, ale ja się do nich nie zaliczam.

– Prawda, prawda – potakuje mężczyzna, znów odsłaniając zęby.

Lovisa odwzajemnia gest.

– Czy wiesz może coś o tej nieruchomości, w sprawie której dzwoniłam?

– Sorry – odpowiada, kręci głową i udaje mu się przybrać taki wyraz twarzy, jakby naprawdę było mu przykro. – Obawiam się, że musisz o tym pogadać z Melkerem. To on był właścicielem pośrednictwa, zanim kupiła je firma Husman Hagberg. Wtedy biuro nazywało się Mieszkania Melkera. – Odrzuca głowę do tyłu i głośno się śmieje. – Słyszałaś, tak? – dopytuje i dalej zanosi się skrzeczącym śmiechem.

Lovisa do niego dołącza i pozwala śmiechowi przejść w uśmiech.

– Czyli nie możesz mi w niczym pomóc?

– Słuchaj, wydajesz się w porządku. Mamy stare archiwum z dokumentami, jest tu, z tyłu. Rzucę na nie okiem.

Zdejmuje marynarkę i przewiesza ją na krzesło.

– Daj mi pięć minut – mówi i unosi pięć palców, po czym znika w drzwiach za biurkiem.

Lovisa znów rozsiada się w fotelu, bierze pierwszy z góry magazyn wnętrzarski ze stosu na stole i bawi się diamentem na złotym łańcuszku u szyi. Coś jej znajdzie. Jest tego pewna. Chociaż uważa, że mógł zerknąć do tego archiwum, zanim tu przyjechała. Ale to tylko pokazuje, jak ważne jest to, że zjawiała się tu osobiście. Zajmie mu to dziesięć palców, ale kiedy wróci, będzie jednym wielkim uśmiechem.

– Wiesz co, coś znalazłem. To Melker we własnej osobie zajmował się sprzedażą domu przy Daltorpsgatan. To było już jakiś czas temu i od tamtej pory i sprzedał biuro, i przeszedł na emeryturę.

– Tak?

– Tak, więc nie ma żadnych papierów bezpośrednio dotyczących tej transakcji. Tylko notatka, że Melker zajmował się tym obiektem.

– Czyli muszę zwrócić się do tego Melkera, żeby dowiedzieć się czegoś więcej?

Mężczyzna kiwa głową, jednocześnie unosząc rękę i patrząc na zegarek.

– Obawiam się, że tak. A tak między nami – dodaje, pochyla się i uśmiecha poufale. – Nie spodziewaj się zbyt wiele. Nie miał porządku w dokumentach, a to było już kupę lat temu. Sam nigdy nie pracowałem z Melkerem, ale mamy tu trochę starej gwardii, która go zna, i no, oni trochę opowiadali. – Ponownie gładzi ręką

włosy. – Melker jest taką osobą, która prowadziła dokumentację w głowie. Od tego czasu oczywiście wszystko zdigitalizowaliśmy. Teraz sprawujemy ścisłą kontrolę.

– Ale nie nad tym? – kwituje Lovisa i wstaje.

– Nie. – Mężczyzna znów śmieje się krótko. – Nie nad tym. Ale tak jak mówię, Melker ma wiele w pamięci, więc możliwe, że i to. Dać ci wskazówkę?

– Tak, poproszę.

Pośrednik przerzuca torbę przez ramię.

– Jeśli chcesz się cofnąć w czasie, powinnaś iść do wydziału geodezji. Mają rejestry wszystkich nieruchomości i ich właścicieli.

– Chcę porozmawiać z Melkerem z innego powodu. Wiesz, gdzie go mogę złapać?

– Sorry. – Agent wzrusza ramionami.

– Aha. Szkoda. – Lovisa się uśmiecha i znów lekko przechyla głowę. – A myślisz może, że mógłbyś się tego dowiedzieć?

On wzdycha i znów patrzy na rolexa.

– Spiesz ci się?

Potakuje.

– Mhm. Jestem umówiony na lunch. Mam tam być dokładnie za trzy minuty.

– Może mimo wszystko mógłbyś...

– Hm, może mógłbym.

Wyciąga komórkę i przejeżdża po liście kontaktów, udaje mu się znaleźć numer. Patrzy na nią i szczyrzy zęby, czekając, aż osoba po drugiej stronie odbierze.

– A, siema, ziomek, siemanko! – mówi i puszcza jej oko, kiedy otrzymuje odpowiedź. – Wiesz, policja jest u mnie i... tak, policja. – Milknie. – Tak, ale olej to. Milutka dziewczyna z policji musi się skontaktować z Melkerem.

Znów jest cicho i agent słucha. Potem głośno się śmieje.

– Tego nie wiem. Słuchaj, ona stoi tutaj przede mną... Tak, naprzeciwno mnie. Więc byłoby dobrze, gdybyś mógł mi podać ten numer – ciągnie, po czym ponownie cichnie i zapisuje coś w notatniku, który ma przed sobą. – Tak, adres też.

– Notuje również to, dziękuje i się rozłącza. Potem wyrywa karteczkę z notesu i podaje ją Lovisie.

– Dziękuję – mówi policjantka, chwytając papier.

– Czy wolno zapytać, co się stało? To znaczy, czy Melker popełnił jakieś przestępstwo? Mam nadzieję, że to nie on ma kłopoty – mówi mężczyzna i elegancko ściąga brwi, robiąc zmarszczkę między oczami. – Bo nigdy bym nie...
– dodaje.

Lovisa się uśmiecha.

– Możesz zapytać, ale odpowiedź będzie równie nudna jak „bez komentarza”.

– Aha – odpowiada zawiedziony i uśmiech zastyga mu na twarzy.

Lovisa podaje mu rękę.

– Dziękuję za pomoc. Doceniam to.

W drodze do auta dzwoni do wydziału geodezji. Zapina pasy, czekając, aż znajdą informacje, i przekręca kluczyk w stacyjce. Szybka i efektywna kobieta informuje ją, że w latach od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego do dwa tysiące czwartego dom należał do Selmy Nilsson. Po jej śmierci spadkobierca sprzedał go Arvidowi i Juliette Simonssonom w dwa tysiące piątym roku. Nieco zawiedziona tym, że udało jej się jedynie potwierdzić to, co już wiedziała, dziękuje i wybiera numer Melkera.

Rozdział 16

Davidowi nie podoba się uczucie łaskotania, które wywołują spływające mu po plecach krople potu. Przesuwa się do przodu na białym krześle ogrodowym, tak że całe ciało jest w cieniu gigantycznego parasola Arvida i Juliette.

Suchość w ustach i ciężkie duszne powietrze wcale nie łagodzą tępego bólu głowy. Znowu nadchodzi go lęk i ściska mu jelita w supeł. Dlaczego to zrobił? To takie głupie. Wczoraj wieczorem wydawało się, że to całkiem dobre. Po kilku szotach tequili. Ale powinien był zrozumieć, że to pojebany pomysł. Pod każdym względem.

Podnosi wzrok na Arvida Simonssona, który stawia na stole przed nim szklanekę wody z pobrzękującymi kostkami lodu.

– Dziękuję – mówi David i z ulgą przystawia ją do ust. Pije łapczywie i czuje, jak zimna woda spływa w dół gardła, rozchodzi się dalej po ciele i schładza gorący kłębek w brzuchu. Kiedy odkłada szklanekę, czuje się trochę lepiej i zdobywa się na uśmiech.

– Jak się państwo czują? – zagaduje, pochyła się i widzi, jak czarna mrówka wspina się po jego jasnej nogawce.

– Jak się czujemy? – powtarza Juliette i robi krok do przodu. – No nie wiem. Nie codziennie znajduje się zwłoki w ogrodzie. – Otrzepuje pobrudzone ziemią rękę o przód fartuszka w kwiaty i opiera je po bokach. – Czy wiedzą państwo coś więcej? – pyta. – To znaczy, kto to był?

David kręci głową i marzy o chłodnym podmuchu. To pieprzone popołudniowe powietrze stoi w miejscu i drga. Intensywny i uporczywy deszcz z nocy odparował i już o nim zapomniano, a gorąc powrócił z pełną mocą. Kropla potu dalej porusza się nieprzyjemnie w dół pleców, a w głowie pulsuje. Ponownie upija wodę ze szklanki i przesuwa się jeszcze głębiej w cień pod parasolem.

– Na razie nie zidentyfikowaliśmy szczątków. Nasi technicy nadal się tym zajmują i robią badania. – Szybko zmienia temat. – Zadzwonili państwo z powodu zdjęć, które znaleźli?

– Tak, właśnie – potwierdza Arvid. – Znaleźliśmy to dużo powiedziane. Sami je przecież zrobiliśmy po przeprowadzce. Nie wiem, czy się państwu do czegoś przydadzą.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiada David, bierze do rąk grubą brązową kopertę i kładzie ją obok siebie na stole. Przejeżdża po niej dłonią. – Czasami coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się bez znaczenia, może się okazać tym, co w ostateczności rozwiązuje całą sprawę.

– *Merde* – klunie Juliette i robi krok w stronę stołu. – Kiedy tak sobie o tym pomyślę... A wyobraźcie sobie, panowie, co by było, gdybyśmy nie zaczęli prac nad szklarnią.

Słońce połyskuje na czarnych włosach obramowujących jej bladą twarz. Wydaje się zupełnie nieporuszona upałem.

– Pomyślcie tylko – ciągnie dalej Juliette i macha ręką w stronę ziemianki, podczas gdy jej głos znów jest o ton wyższy. – Mogliśmy tu mieszkać jeszcze następnych dwadzieścia lat. Z tym... – kręci głową na boki – ...szkieletem w naszej ziemiance. Nie odkrywając go.

– Mhm – zgadza się Arvid i głaszczuje ją po policzku. – Nie przejmuj się tym, skarbie. – Odwraca się w stronę Davida. – Juliette ma na myśli to, że początkowo chcieliśmy wybudować szklarnię w zupełnie innym miejscu. Gdybyśmy tak zrobili, nigdy nie odkrylibyśmy... tego.

Juliette mocno potrząsa głową.

– A gdybyśmy nigdy nie dostali tego maila?

– Maila? – David marszczy czoło. – Jakiego maila?

– No – zaczyna Arvid – dostaliśmy maila. Gdyby pan tylko wiedział, jak pomocni mogą być ludzie w internecie. Wie pan, to naprawdę wspaniałe. Trzeba jedynie wyrzucić z siebie pytanie i cyk! Jakiś przyjazny człowiek to podchwytuje i daje odpowiedź. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak sobie wcześniej radziliśmy.

– Aha? – David przypatruje się Arvidowi, który zdaje się zadowolony ze swojego odkrycia.

Gdyby tylko wiedział, jacy pomyleńcy są w internecie. Ci zwyczajni i mili ludzie, o których on mówi, nie istnieją. Człowiek jest stworzony tak, że dając coś, oczekuje czegoś w zamian. Nie ma czegoś takiego, co nazywałoby się całkowitą

bezinteresownością i robieniem czegoś po to, żeby być dobrym. To, że miałyby istnieć mnóstwo życzliwych ludzi na tym wysypisku śmieci, jakim jest internet, jest głównie prawdą przez wielkie G. Przeciwnie, to właśnie tam najbardziej zdeprawowani i chorzy znajdują podobnych sobie. To tam mogą się wyżywać w swoich perwersyjnych fantazjach pod osłoną anonimowości za ekranem, aliasem i klawiaturą. Tam nikt nie może ich zobaczyć i nikt nie może usłyszeć krzyku ich ofiar.

Kurde, ale ludzie są naiwni, myśląc, że znajdą pomocników w internecie. Gdyby tylko Arvid i Juliette wiedzieli. Jeśliby tylko mieli pojęcie o wszystkim, co on widział. Bierze głęboki oddech.

– A co to za pomoc państwo dostali?

– Pomoc przy budowie szklarni.

– Aha, a w czym dokładniej?

– Na początku planowaliśmy wybudować ją przed domem. Jest tam więcej słońca i...

– Tak, myśleliśmy, że tak będzie najlepiej – wtrąca Juliette i obejmuje dłoń męża swoją dłonią. – Tak, to znaczy im więcej słońca, tym lepiej.

– A mail? – przerywa im krótko David i strzepuje jeszcze jedną mrówkę, która idzie w górę nogawki.

– Właśnie. To jest tak, rozumie pan, że jeśli się coś przebudowuje, zajmuje się projektami w ogrodzie i no wie pan, wszystkim tym, co robimy, to zawsze dobrze to skonsultować z innymi.

– Dokładnie. Nie trzeba przecież na nowo odkrywać Ameryki – dodaje Juliette i głaszcze Arvida po dłoni.

David kiwa głową. Ich słodzenie zaczyna być męczące. Są już około sześćdziesiątki, a siedzą tu i nie mogą się od siebie odkleić, jak gdyby byli nastolatkami. I jak, do jasnej ciasnej, są w stanie wykrzesać z siebie tyle entuzjazmu dla jakiejś pieprzonej szklarni?

Patrzy na Arvida i Juliette, którzy wpatrzeni w siebie chwycili się za ręce, i od razu smutnieje.

– Rozumiem – mówi, popija ze szklanki i dodaje ze zmęczeniem: – A ten mail?

Rozdział 17

Drzwi się otwierają, zanim palec zdąży się odsunąć od dzwonka. Lovisa nie jest przygotowana ani na to, że drzwi otworzą się tak szybko, ani na to, że uśmiech, który ją wita, będzie tak szeroki i śnieżnobiały. Cofa się o kilka kroków i parę sekund zajmuje jej odnalezienie się w sytuacji.

– Pan Melker Fagerlind? – pyta, a jej wzrok przykuwa rząd zębów, który sprawia wrażenie, jakby ciągnął się w nieskończoność.

Mężczyzna kiwa głową.

– Lovisa Douglas, policja – mówi i wysuwa przed siebie legitymację.

Pośrednik rzuca okiem na dokument.

– Policja? Pozory mylą, doprawdy. To witam panią. Proszę wejść, zapraszam.

Przytrzymuje drzwi, żeby mogła wejść do mieszkania.

– Dziękuję – odpowiada Lovisa i również uśmiecha się do Melkera, jednocześnie chowając dokument do torebki. – Oj – dziwi się i zatrzymuje, widząc sobą rycerską zbroję z pełnym rynsztunkiem, łącznie z mieczem i tarczą.

Melker śmieje się krótko tuż za nią, tak blisko, że czuje ciepło jego oddechu na plecach.

– Ach, to Arthur – wyjaśnia mężczyzna. – Tak, pilnuje domu.

– Skutecznie – zgadza się policjantka i oddala się od niego o kilka kroków.

– No tak. – Macha ręką. – Może nie obroni przed prawdziwym włamywaczem, ale zawsze kogoś przestraszy. Albo może i nie przestraszy, tylko rozbawi czy raczej zdziwi.

Lovisa kiwa głową i rozgląda się wokół siebie. To dobry adres. Jeden z najlepszych tu, w Linné. Apartament leży w odległości spaceru od Vasagatan i przytulnej dzielnicy Haga. Tereny zielone są zarówno w parku Slottsskogen, jak i w Änggårdsbergen w pobliżu. Widziała małą piekarnię z ekologicznym pieczywem z jednej strony bramy do budynku. Po drugiej był uroczy sklepik

z wyposażeniem wewnątrz, który oferował koce, świece zapachowe i latarenki; kiedyś tam była i kupiła prezent dla kogoś, u kogo była w gościach.

Zresztą jej własne mieszkanie przy Aschebergsgatan też było całkiem w porządku. Przestronne jak na kawalerkę, ale potrzebuje większego. Spoko ze strony ojca, że je kupił i pozwolił jej w nim mieszkać, chociaż przypuszczała, że liczy na zarobek, kiedy przyjdzie pora je sprzedawać. Jej tata nieczęsto robi coś z potrzeby serca. Ale ona i tak nie zostanie tam zbyt długo. Ma inne plany, a mieszkanie w Göteborgu nie wpisuje się w nie.

– Ale zawsze fajnie mieć twardego faceta w przedpokoju. – Melker znów się śmieje, chichocząc niemalże jak mała dziewczynka.

Lovisa marszczy czoło i idzie za nim w głąb przypominającego buduar apartamentu, który okazuje się orgią ciemnego drewna, ciężkich aksamitów i burleski na ścianach.

„Nie wiem, czego się spodziewałam, ale zdecydowanie nie tego”, myśli Lovisa, wchodząc do ciemnego salonu z ciężkimi aksamitnymi kotarami i dwoma fotelami w stylu Chesterfield w kolorze byczej krwi, ustawionymi przed soczyście zielonym kominkiem. Unosi brwi. Może to nie do końca to, co człowiek sobie wyobraża jako typowe mieszkanie siedemdziesięcioletniego pośrednika nieruchomości na emeryturze.

– Zapraszam do salonu. Nie miewam ostatnio zbyt często gości – mówi Melker i uśmiecha się do niej tak, że zęby lśnią mu w półmroku. – Przygotowałem herbatę i ciasteczka. Mam nadzieję, że lubi pani india darjeeling. Niektórzy uważają, że bywa w smaku za mocna, ale moim zdaniem jest wyborna.

Uzębienie mężczyzny znów przyciąga jej wzrok. Nie może przestać się w nie wpatrywać. Jak on osiągnął taki efekt? Nałożył licówki? A może to sztuczna szczęka? Zęby są tak uderzająco nienaturalne. Stary pośrednik dba o wygląd, ale źle mu to wychodzi. Brązowa pomarszczona cera przypomina skaj i zdradza, że mężczyzna spędza sporo czasu pod lampami w solarium, a włosy są związane w kucyk na karku na sposób, który pasowałyby może dwudziestolatce.

Melker próbuje trzymać się czegoś, co dawno temu przeminęło i już nigdy nie powróci. Ale dlaczego? Czy nie lepiej starzeć się z godnością? Ona w każdym razie ma taki zamiar, kiedy przyjdzie na to pora.

– Napije się pani herbaty, młoda damo?

– Tak, poproszę – odpowiada Lovisa i patrzy na tacę na stole z ciemnego drewna.

Z dbałością nakrytą filiżankami z cienkiej białej porcelany w czerwone róże. Pomiędzy nimi stoi okrągły dzbanek. Na talerzyku leżą w rzędzie ciasteczka, a obok nich stoją dzbanek z mlekiem i cukiernica ze srebrnymi szczypcami. Taca przypomina jej herbatki u babci, do której cała rodzina jeździła co niedzielę, kiedy Lovisa była mała. Pamięta, jak ona i jej siostra Sophie ledwo co miały odwagę się poruszyć, żeby nie zbić setki porcelanowych figurek, którymi babcia z uporem wypełniała każdą wolną przestrzeń w apartamencie w Lorensbergu.

– Miło, że pani wpadła – zagaduje Melker i wyciąga się w fotelu. – Jak już mówiłem, nieczęsto mam ostatnio gości.

– Ach, tak? – pyta Lovisa i uśmiecha się. A ja nie jestem tu z grzecznościową wizytą, myśli.

– Proszę sobie wyobrazić, że ja, Melker – kładzie teatralnie rękę na piersi – przyzwyczajony do domu pełnego ludzi i znany z najlepszych imprez, na które wszyscy chcieli przychodzić, siedzę tu i cieszę się z pani wizyty, młoda damo. No, nie żeby coś było z panią nie tak, panno Loviso. Przeciwnie. To niesamowicie ekscytujące, że policja przychodzi w odwiedziny.

Kobieta uśmiecha się, nic nie odpowiadając. Powinno jej być go żal czy chce tylko, żeby zapytała o te imprezy?

– Ale rzeczywiście, nie było tu żywej duszy od trzech tygodni – ciągnie Melker. – No, poza sprzątaczką oczywiście, ale jej nawet nie liczę. – Śmieje się i nachyla, żeby nalać herbatę, zatrzymuje się z ręką w powietrzu i patrzy poważnie na policjantkę. – Nie żebym jej nie wliczał dlatego, że jest sprzątaczką. Nie, nie, nie jestem taki, absolutnie. – Obniża głowę w konspiracyjnym geście. – Wie pani, ona nie mówi po szwedzku, więc moje rozmowy z nią zawsze są jednostronne. No cóż. – Przechyla głowę i zaczyna rozlewać napar do filiżanek. – Najlepiej się z tym pogodzić. Moje życie nie wygląda już tak jak kiedyś.

Lovisa widzi, jak mała krucha filiżanka się napęlnia. Potem unosi wzrok na pośrednika.

– Mieszka pan tu sam?

– Tak, od trzech lat – potakuje i odkłada imbryk. – Wtedy zmarł mój partner.

– Pana partner?

– Tak, żyłem razem z mężczyzną, rozumie pani. – Chichocze i ponownie pokazuje białe zęby, unosząc naczynko w jej kierunku. – Nie ma pani pojęcia, jak bardzo wyzwalające jest móc to powiedzieć. Obecnie to nic szczególnego. Dziś moglibyśmy nawet z Olivierem wziąć ślub. Kiedyś było inaczej. Trzeba było się z tym zacić. – Coś mrocznego przebiega mu po twarzy i dłoń trzymająca herbatę drży. – Widziałem, jak pani patrzyła na to wszystko tutaj. To Olivier był odpowiedzialny za wystrój. Ja mam właściwie skromniejszy gust. – Robi pauzę i rozgląda się wokół. – Nie chcę teraz niczego zmieniać. Byłoby to jak usunięcie tego, co mi po nim zostało, a tego bym nie chciał. – Upija łyk. Odchyła się potem, a obicie krwistoczerwonego skórzanego fotela skrzypi. – Wolę prostotę. Piszę poezję i maluję akwarele.

Kobieta kiwa głową i rozgląda się. Jej wzrok zatrzymuje się na obrazie na ścianie, którego niewyszukany motyw – czarny tekst na białym tle z pastelową ilustracją – wyróżnia się w pokoju. Mężczyzna podąża za jej spojrzeniem.

– To małe haiku, które napisałem. I namalowałem.

Lovisa znów kiwa głową i się uśmiecha.

– Tak, czasy się zmieniają. Wie pani, że kiedyś byłem żonaty z kobietą?

Policjantka unosi brwi i chowa się za filiżanką, smakując ciepłą herbatę.

– Tak, ja i Britta byliśmy małżeństwem przez siedemnaście lat. – Marszczy czoło. – Oczywiście nie układało się nam. Nie da się samego siebie oszukiwać przez tak długi czas. Oj, oj, oj, jaka ona była na mnie zła, kiedy się dowiedziała, że jestem homoseksualny. – Zwija usta w dzióbek. – I rozumiem ją. Nie potraktowałem jej ładnie. Ale nie byłem jedyny. Jeśli to miałoby być jakimś usprawiedliwieniem. Tak się po prostu robiło w moich kręgach. Prowadziło się podwójne życie. Miało się przykładną rodzinę w willi na przedmieściach, a kochanego mężczyznę w mieszkaniu w centrum.

Lovisa potakuje i poprawia marynarkę na plecach. Chociaż uważa, że sytuacja jest bardzo osobliwa, nie może się powstrzymać i daje się wciągnąć w to, co on opowiada. Dziś homoseksualność jest znacznie bardziej akceptowana. Ale jak czuła się żona, dowiedziawszy się prawdy? To nie stało się pierwszy raz w historii świata, lecz bynajmniej nie pomogło Britcie. Odstawia naczynko na spodek.

– Całe szczęście, że ludzie już nie muszą tak żyć.

– To prawda, to prawda – potwierdza Melker. – Ale, droga pani Loviso. Siedzę tu i paplam o dawnych czasach. A przecież miała pani jakieś pytanie?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie, w której figuruje jeden z pana dawnych domów.

– Jeden z moich dawnych domów? – Otwiera szeroko oczy i przesuwa się bliżej w fotelu. – Ekscytujące. Niech posłucham.

– Pamięta pan dom przy Daltorpsgatan sześć?

Melker parska, tak mocno, że Lovisa się wzdryga, ale udaje się jej uratować porcelanę, niczego nie wylewając.

– Czy pamiętam dom przy Daltorpsgatan sześć? – powtarza i w ciszy wpatruje się w policjantkę. Potem dodaje: – Jak mógłbym kiedykolwiek o nim zapomnieć?

Rozdział 18

David wsuwa się pod parasol i słucha o doświadczeniach Arvida Simonssona z internetem.

– Trochę surfujemy po forum, które nazywa się „Budowanie”. Dzielimy się tam naszym doświadczeniem, jednocześnie korzystając z doświadczenia innych. Poznaliśmy część ludzi stamtąd i no, faktycznie z kilkorgiem się zakolegowaliśmy. Prawda, Juliette?

– Tak, można tak powiedzieć. – Żona kiwa głową. – Niektórych nawet spotkaliśmy.

– Kiedy założyliśmy wątek o szklarni, dostaliśmy maila od kogoś z wielkim rozeznaniami.

Arvid kiwa głową, potwierdzając, aż drgają mu nalane policzki. David widzi zmarszczkę, która uwidacznia na bladym czole Juliette, i dochodzi do wniosku, że to nie odpowiedź Arvida jej się nie podoba, tylko jego krągłości ją irytują. Uśmiecha się do siebie ze zrozumieniem i widzi wzrok własnej matki patrzącej na ojca, kiedy zbyt długo zasiedział się bez ruchu w fotelu.

– Dlaczego dostali państwo tego maila? – pyta po chwili.

Arvid i Juliette patrzą na siebie, nie rozumiejąc.

– Dlaczego maila, a nie odpowiedź w wątku? – doprecyzowuje David.

– Nie nadążam. O co chodzi? – dopytuje Juliette.

– Zazwyczaj odpowiada się w wątku, a nie w osobnym mailu – wyjaśnia David.

– Ale może podali państwo na forum swój adres mailowy i stąd nadawca go znał?

Twarz Arvida przybiera pusty wyraz. Drapie się po głowie.

– Nie. On przysłał maila. Ale adres... – Patrzy na żonę. – Juliette?

Ona rozkłada ręce.

– Hm, nie mam pojęcia. Ode mnie go nie dostał. Tego jestem pewna.

– Nikt z państwa nie podał adresu? A mimo wszystko przyszedł mail.

– Tak.

– Nadawca się podpisał?

– Tak – potakuje Juliette i zakłada ręce na piersiach. – Podpisał się.

– Jak się podpisał?

– Miał na imię Erik. Erik Johansson. Tego jestem pewna, bo miał na imię tak samo jak mój szef. To była moja pierwsza myśl, kiedy zobaczyłam wiadomość w skrzynce i błędnie pomyślałam, że to od niego.

David kiwa głową i się śmieje.

– Erik Johansson. Aha, tak. Absolutnie najpopularniejsze imię i nazwisko w Szwecji.

Juliette odwraca się w stronę Arvida i kładzie dłoń na jego złożonych rękach.

– Pamiętasz, że rzeczywiście rozmawialiśmy o tej wiadomości?

Arvid potwierdza ruchem głowy.

– Chodziło o ziemianki i ich konstrukcję, ale w niektórych fragmentach był, naszym zdaniem, bardzo szczegółowy.

– Szczegółowy? To znaczy? – pyta David.

– No, miałam dziwne uczucie. Dokładnie takie, jakby on tu wcześniej był, bo wydawało się, że znał szczegóły – wyjaśnia Juliette.

– Tak, tu masz rację. – Arvid kręci się tak, że sofa ogrodowa trzeszczy. – I jeszcze to z kamieniami ogrodowymi. – Odwraca się w stronę Davida. – Nie pamiętam teraz dokładnie brzmienia słów, ale napisał coś o ścianach. Że mieliśmy uważnie się przypatrzeć, bo mogło tam być coś, czego byśmy się nie spodziewali. – Zerka na żonę. – Pamiętasz, że śmialiśmy się trochę z tego i powiedzieliśmy, że może był tam wmurowany skarb?

Kobieta prychnęła.

– Dokładnie, ładny mi skarb.

– Mam nadzieję, że nie skasowali państwo tej wiadomości – upewnia się David.

– Nie, skąd. Jest w komputerze. Mogę ją wydrukować, jeśli pan chce.

– Myśli pan, że to może być ważne? – pyta Juliette.

– Nigdy nie wiadomo.

– Ale to chyba lepiej zabierzcie cały komputer, do diaska – mówi Arvid i się podnosi. – Przyniosę go. Jeśli coś jest nie halo, to być może uda się państwu

namierzyć nadawcę. Mają chyba państwo personel, który zajmuje się czymś takim całymi dniami, prawda?

– Tak.

– *Merde* – klnie Juliette zaraz po tym, jak Arvid znika w domu. – To wszystko jest takie nieprzyjemne. Znaleźć stary szkielet w ogrodzie. Policja, która przesiaduje tu całymi dniami. Wczoraj pewnie z dziesięć razy musiałam to wyjaśniać sąsiadom, którzy przychodzą tu z różnymi sprawami, raz po to, raz po tamto. Jak gdybym nie rozumiała, że są po prostu ciekawi. To całe pożyczanie jajek, pytania, czy pojedę latem do Francji odwiedzić rodzinę albo czy będę mogła wyciągać ich pocztę w przyszłym tygodniu. – Dziko macha rękami. – To tylko preteksty. Ludzie na całym świecie są tacy sami. Nawet Szwedzi. Różnica jest tylko taka, że wy kombinujecie, bo nie macie odwagi zadawać pytań wprost.

– Tak, Juliette jest trochę poirytowana – tłumaczy Arvid, który wraca z laptopem w rękach.

– Rozumiem – odpowiada David.

– Nie opowiesz o tej kobiecie, która przyszła wczoraj wieczorem? – proponuje Arvid, podając komputer.

– Racja – prycha Juliette. – Ona naprawdę nie była z tych taktownych.

David marszczy czoło.

– Co się stało?

– Po prostu weszła do środka. Siedzieliśmy w ogródku i popijaliśmy wino, gdy nagle zauważyliśmy, jak wychodzi zza rogu. – Kobieta kręci głową. – Kiedy zapytałam ją, co tu robi, powiedziała, że musiała przyjść i zobaczyć, jak wygląda nasz ogród. Tak dużo o tym słyszała.

– Aha, przeczytała w gazecie?

– Tak, przeczytała. Ale nie o to jej chodziło. Powiedziała, że jej ojciec często o tym miejscu opowiadał. O staruszce, która była szaloną właścicielką. I o tym, jak się tu spotykali i bawili.

David się pochyla.

– Zapytali państwo o to, jak ojciec się nazywał?

– Tak, zapytaliśmy. Ale on nie żyje. Powiedziała, że zmarł dwa lata temu.

Kurde, myśli David.

– Ale możecie się skontaktować z tą kobietą. Powiedziała, że wcale jej nie zdziwiło, że znaleziono tu ciało.

Rozdział 19

Melker podnosi wzrok i patrzy Lovisie w oczy.

– Mówi pani Daltorpsgatan sześć. – Kiwa głową w jej stronę. – Oczywiście, że pamiętam tę nieruchomość. Jak mogłoby być inaczej? Była bardzo nietypowa.

– To znaczy?

– No, ten dom... Proszę, proszę się poczęstować ciasteczkami. Zostały jeszcze z moich urodzin.

Unosi spodek, a ona przenosi na niego wzrok.

– Szampan się skończył, ale słodkości raczej nie mogę sobie przecież chrupać kaździuteńkiego wieczoru. Brzuch by mi wtedy urósł. – Chichocze, jak gdyby powiedział coś śmiesznego, i Lovisa bierze sobie waniliowe kruche ciasteczko z porcelanowego talerzyka.

– Dom? – przypomina się i odgryza kawałek.

– Ach, tak. Pamiętam wszystkie moje domy – mówi.

Prostuje się i Lovisa widzi dumę u tego starego człowieka.

– Sprzedawałem w sposób, którego młodzi pośrednicy już nie praktykują. Chcą tylko opychać chaty i kasować po kilka kafli, jak sami mówią. Ale ja zawsze największy nacisk kładłem na znalezienie odpowiednich osób do odpowiedniego domu. Doprawdy, nie sprzedawałem jak leci. Za punkt honoru uważałem dopasowanie budynku do dobrego kupca. Chciałem, żeby rodziły się miłość i uczucia. Dokładnie jak między ludźmi.

Lovisa ogryza kawałek ciasteczka. Jest dość suche i niezbyt smaczne, ale nie przyszło jej do głowy, żeby go nie zjeść.

– Daltorpsgatan sześć było szczególne – kontynuuje Melker. – Tak nietypowe, że początkowo nie chciałem się podjąć sprzedaży. Ale zrobiłem to w ramach przyjacielskiej przysługi dla adwokata, który zajmował się spadkiem.

– A co takiego szczególnego było w tym domu?

– Był strasznie zaniedbany. – Kręci głową i przejeżdża po kocyku dłonią obsypaną starczymi plamami. – Między nami, droga panno Loviso, powiem tak, że niemal było mi wstyd sprzedawać dom tej miłej parze. Byli lekarzami, jak mi się wydaje. Obydwoje. W średnim wieku. Czułem, że się lekko wahają. I ta cała praca, którą byliby zmuszeni w to włożyć. I ten smród. Och! – Znow żywo gestykuluje i macha ręką przed nosem. – Przede wszystkim ten nieprzyjemny zapach. Byli jednak pełni entuzjazmu i uważali, że okolica jest świetna. A ta mała Francuzka była przeurocza. Jak laleczka. Spotkała ją pani?

– Nie – odpowiada Lovisa i niewiele o tym myśląc, wkłada ciastko do ust, po czym natychmiast tego żałuje.

– Aha, nie. – Melker wydaje się zawiedziony. – No tak. W każdym razie, mimo wszystkich minusów, jak najbardziej chcieli go kupić – dodaje. – Ale musi mi pani opowiedzieć – ciągnie i pochyla się do niej. – Co się takiego stało?

– Znaleźliśmy tam ludzkie szczątki.

– Szczątki? – Otwiera szeroko oczy i przesłania usta dłonią. – Chodzi pani o... O martwego człowieka?

Lovisa kiwa głową.

Melker z powrotem opiera się o fotel.

– Doprawdy, martwy człowiek. W moim starym domu. To naprawdę przerażające wiadomości. – Nie dowierza. – Ale nie rozumiem, w czym mógłbym według was pomóc? To było dawno temu.

– Zwłoki są stare. Sądzimy, że mogły tam leżeć ponad dwadzieścia lat. Nawet do pięćdziesięciu.

– Ale to straszne. Jak to mogło... Ale gdzie?

– W ziemiance.

Mężczyzna powoli kiwa głową.

– W ziemiance – powtarza. – Tak długo. – Podnosi wzrok. – To oznacza, że musiały tam być, kiedy sprzedawałem dom. – Bierze głęboki wdech i wyrzuca z siebie: – Wiedziałem! Coś było z tym domem nie tak. Czułem to! Jakaś wrogość, której nie odczuwałem w innych nieruchomościach. Tak jakby mnie odrzucał. Nie tylko ten brud i zaniedbania. To było coś innego. Teraz rozumiem co.

Przejeżdża językiem po dziąsłach i wyłapuje kilka suchych okruszków ciastek, a potem je połyka. On naprawdę poważnie traktował swoją pracę. Lovisa odchrząkuje.

– Poza tymi... odczuciami pamięta pan coś jeszcze z pośrednictwa w transakcji? Na przykład coś o sprzedających albo coś dotyczącego budynku? Cokolwiek.

Melker ściąga wargi w dziobek, podnosi dłoń i bębni palcami o usta. Potem potrząsa głową.

– Nie, nie wiem, co by to mogło być.

– Cokolwiek. Coś, co powiedzieli sprzedający. Staruszka co prawda nie żyła, ale może adwokat?

– Nie. – Znów wykonuje przeczący gest i przesuwa wzrokiem po aksamitnych zasłonach. – Aha, no i tam też było mieszkanie. Ale to już chyba wiecie?

– Mieszkanie? Jakie mieszkanie?

– W piwnicy domu było osobne mieszkanie. – Zerka na nią. – Tak, było tak samo zapuszczone, jak dom, więc nie dało się go wynajmować. Nikt nie mógłby tam mieszkać. Nie w tym smrodzie. – Ponownie potrząsa głową. – Brud i dym papierosowy.

Lovisa się pochyła i obicie pod nią trzeszczy.

– A wcześniej? Mogło być wynajmowane?

– Tak, właśnie o to mi chodzi. Mieszkanie tam już było. Były tam kuchenka, pokój i kąpiel, prysznic i toaleta. – Rozkłada ręce. – Po co w domu mieszkanie, jeśli się go nie wynajmuje?

Rozdział 20

– Są pewnie tam, gdzie je ostatnio położyłaś.

Stina odchyła się na krześle i odgarnia kosmyk włosów za ucho. Jest naprawdę zmęczona dorosłymi dziećmi, które zamiast porządku w swoich rzeczach wybierają prostą drogę, która prowadzi przez nią. Nie myśląc o tym, że jej czas jest jednak cenny.

– Czyli gdzie? – pyta córka po drugiej stronie słuchawki. A zaraz potem: – Możesz się pospieszyć, co? Spiesz mi się.

– Kurde, Annie! – krzyczy Stina i zaraz tego żałuje. Wstaje i mówi dalej trochę spokojniej: – Masz szesnaście lat i nie wiesz, gdzie co...

– No ej... Nie zrzędź. Nie mam czasu. Powiedz tylko, gdzie są te buty.

Może ją sobie wyobrazić. Młoda niecierpliwie przestępująca z nogi na nogę, ze skarpetką w jednej ręce i telefonem w drugiej, wie, że się spóźni na trening piłki nożnej. Jak się wydaje, to jedyna rzecz, która potrafi wprowadzić w szybki ruch to zazwyczaj tak zmęczone nastoletnie ciało.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiada Stina, choć jest prawie pewna, że wie, gdzie są zagubione korki.

Prawdopodobnie dalej leżą w worku, który córka wzięła ze sobą na niedzielny trening. W dobrym towarzystwie brudnych ubrań i mokrego ręcznika. Teraz musi tylko znaleźć torbę, którą najpewniej rzuciła na podłogę w swoim pokoju. Ale Stina nie ma zamiaru tego mówić. Tym razem Annie sama musi na to wpaść. Mama ma rację. Pora odpuścić kontrolę.

– To co, mam nie iść na trening? – odzywa się Annie oskarżycielsko i rzuca coś z głuchym łoskotem.

– Nie próbuj zwać winy na mnie. To ty...

– No to w takim razie bardzo dziękuję – przerywa jej córka.

– Nie ma... – Słyszy, że córka się rozłącza. Wyciąga z uszu słuchawki, odwraca się z westchnieniem i widzi, że w drzwiach stoi David i opiera się o framugę. Od

jak dawna tam był? Nie żeby to miało jakieś znaczenie. W domu jest, jak jest, i tyle. Wyciągając rękę w stronę kolegi, trzyma w niej komórkę. Kręci głową i odkłada telefon na biurko.

– Jakie one są przesłódki, te nasze maluchy? – zagaja David i krzywo się do niej uśmiecha.

– Hmm. Tylko poczekaj. Twoje podrosną i uwierz mi, wtedy też tego zasmakujesz.

Mężczyzna robi kilka kroków do środka pokoju. Coś z nim jest nie tak. Coś, czego jej nie mówi. To zmęczenie na jego twarzy. I wczoraj, gdyby nie wiedziała, że to do niego niepodobne, mogłaby pomyśleć, że przyszedł do pracy na kacu. Ale prywatne życie współpracowników to nie jej sprawa. Dopóki wykonują swoją pracę. A David wywiązuje się ze swoich obowiązków. Pod każdym względem. Jeśli ma jakieś problemy, to sam musi o nich powiedzieć. Właśnie taki układ chce mieć Stina.

– Na pewno masz rację i swoje już zrobiłaś, możesz się teraz odprężyć i z nas śmiać. Ale mnie zostało jeszcze kilka lat. Na całe szczęście. – Uśmiecha się, a wkrótce poważnieje. – Właśnie wracam od Simonssonów.

– Zabrałaś zdjęcia?

Potakuje.

– A w drodze powrotnej kupiłem dzisiejszą prasę.

Gazeta spada przed nią na biurko i Stina spuszcza na nią wzrok. Martwy człowiek w Örgryte. Zdjęcie domu Simonssonów. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, kiedy była tam fotografka.

Siada i przyciąga do siebie gazetę. Liże palec wskazujący, widzi notatkę o uciekinierze z więzienia i dowiaduje się, że w weekend się ochłodzi. Kartkuje kilka stron do przodu, gdzie natrafia na swoje zdjęcie.

– No co jest, kurde! – krzyczy i patrzy na Davida, który głośno się śmieje. – Jak ja wyglądam?

Fotografka, którą przepędzono z ogrodu, zemściła się. Srodze. O zdjęciu można powiedzieć wszystko oprócz tego, że jest korzystne. Stina schodzi wzdłuż ścieżki wysypanej żwirkiem. Prawą dłoń ma nisko na pupie i wygląda, jak gdyby cierpiała na ciężki przypadek świądu odbytu, a w rzeczywistości poprawiała majtki, które

niefortunnie się przesunęły. Mruży oczy pod słońce i przypomina Papiszonka z *Ronji, córki zbójnika*. Zdecydowanie nie wygląda na kogoś, kto mógłby prowadzić dochodzenie w sprawie morderstwa. Nie wygląda nawet na kogoś, komu można by powierzyć kradzież ciasteczka z czekoladą.

Patrzy na Davida i rozkłada ręce.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, publikują takie zdjęcie?

– Faktycznie, to zdjęcie raczej nie pokazuje cię od najlepszej strony. – David się śmieje i siada na jej krześle dla gości. – Ale spójrz na pozytywy, tekst jest całkiem w porządku.

– Tak?

Stina unosi gazetę. Dziesięć centymetrów dalej od oczu niż sześć miesięcy temu. Wzrok pogarsza jej się przerażająco szybko.

Zakłada okulary i przelatuje artykuł. Jerry Kvant pisze, że znaleziono trzydziestoletni szkielet w ziemiance na posesji w Örgryte. Trzydzieści lat? Skąd on wziął trzydzieści? Usłyszał, jak ktoś to powiedział, czy wysłał to sobie z palca? Niżej jest napisane, że to ona jest odpowiedzialna za dochodzenie, ale że nie chciała się wypowiadać ze względu na dobro śledztwa.

Stina kręci głową. Nie powiedziała tego. Nie dała mu zupełnie niczego do zacytowania. Ale już lepiej, że wydrukowali coś takiego, niż gdyby dziennikarz miał coś wymyślić.

Jerry pisze też, że anonimowy informator wypowiedział się o byłym właścicielu domu i że była to osoba chora psychicznie, co policja powinna sprawdzić.

Doczytawszy do końca, Stina patrzy na Davida.

– Jest dosyć rzeczowy, więc nie ma za wiele do powiedzenia. Zdaje się, że Jerry był w dobrym humorze, pisząc artykuł. Ale pewnie – uderza ręką w gazetę – to zdjęcie go rozweseliło.

– Ech, zapomnij o nim. To tekst jest ważny – kwituje kolega i przejeżdża ręką po włosach. – Nie mają o czym pisać i tyle.

– A kto jest anonimowym informatorem?

– Podejrzewam, że któryś z sąsiadów. Rozpytywaliśmy po ludziach i dwa domy dalej przy tej ulicy powiedzieli nam dokładnie to samo.

Stina ponownie patrzy na artykuł.

– Pieprzony Jerry – warczy cicho.

– Ale nie powinniśmy go lekceważyć. Faktem jest, że Simonssonów odwiedziła wczoraj kobieta, której ojciec najwyraźniej bywał na wielu imprezach w tym domu w latach siedemdziesiątych. Zmarł, ale kobieta być może jest w stanie coś opowiedzieć. Próbowałem się z nią bez powodzenia skontaktować, ale mam nadzieję, że jutro uda mi się z nią chwilę porozmawiać.

– Dobrze! A przy okazji, czy wiemy coś więcej o byłej właścicielce?

– Zdaje się, że nie kontaktowała się ze służbą zdrowia w związku z problemami psychicznymi. A nasi dalej chodzą po okolicy od domu do domu i rozpytują. Zobaczymy, czy to coś da.

– Nie ma krewnych?

– Nie.

– Zabrałeś ze sobą jakieś zdjęcia od Arvida i Juliette?

– Tak, pożyczyłem cały plik. Zrobili ekstremalnie szczegółową dokumentację. Ponieważ dom był w tak opłakanym stanie, kiedy go kupili, chcieli mieć wszystko na zdjęciach, gdyby coś poszło nie tak. Wiesz, ubezpieczenia i tak dalej.

Stina kiwa głową.

– Ale kiedy tam byłem, wypłynęła inna interesująca sprawa. Dostali kilka maili, które według mnie mogą być warte sprawdzenia.

– Dobra, dawaj – odpowiada policjantka, kładzie stopę na poprzecznej belce pod biurkiem i odbiera kartkę, którą przysuwa jej David.

– Czytaj. – Podnosi się. – Idę po kawę. Chcesz też?

– Tak, dzięki! – mówi i zaczyna czytać.

Kiedy David wraca z dwoma kubkami kawy, Stina powiewa kartką.

– Co to jest?

– To jest ten mail. – Stawia przed nią kubek. – Simonssonowie dostali go pół roku temu i teraz sobie o tym przypomnieli.

Stina smakuje kawę i ponownie spogląda w dół na dokument. Tekst jest o ziemiankach w ogóle, ale zagłębia się też w szczegóły dotyczące domu Simonssonów. Jest dobrze napisany i zgrabnie sformułowany i Stina czuje, że wyszedł spod ręki osoby odczytanej i dobrze wykształconej.

– Myślę, że on tam był – stwierdza David.

Stina podnosi wzrok.

– Dlaczego?

– Wiele szczegółów za tym przemawia, ale to drzwi przykuły moją uwagę. Opisuje je jako zaokrąglone. W moim świecie tak stare drzwi mają prostą górną krawędź.

– Aha – reaguje Stina z wahaniem, a jej wzrok przenosi się do drzwi w pokoju.

– Sprawdziłem to. Czasem takie rzeczy są lokalne, wiesz, na przykład jak kurbits² w Dalarnie i bielone domy z kamienia na Österlen, więc zadzwoniłem do Stowarzyszenia Miłośników Architektury i miałem okazję porozmawiać z pasjonatem, który wiedział wszystko o starych budynkach. Potwierdził, że to niespotykane. Sam nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– To nie jest oczywiście dowód – kwituje Stina. – Mimo wszystko istnieją zaokrąglone drzwi, ale pewnie, ma się poczucie, że on opisuje ziemiankę Simonssonów. Nie z powodu drzwi, cały ten opis daje takie wrażenie. – Odchyła się z powrotem i zakłada ręce na piersiach. – Więc zgadzam się. Też mi się wydaje, że on tam był.

– Arvidowi i Juliette też się tak wydawało, ale najciekawsze jest to, że napisał, że pod kamieniami coś znajdują.

– Tak. Można to rozumieć na wiele sposobów. Kiedy się wie, że były tam zwłoki, brzmi to tak, jakby on chciał, żeby postępować z nimi ostrożnie. Ale równie dobrze można to odczytać jako ogólną radę, że trzeba działać delikatnie, żeby ściany się nie zawaliły. Pytanie, czy wiedział o tym, że tam leżał nasz denat.

– Może – mówi David i milknie.

Stina i Dawid intensywnie rozmyślają o zawartości maila, podczas gdy ich koleżanki i koledzy wychodzą z biura.

– No – odzywa w końcu się Stina i podnosi z biurka spinacz. – A twoim zdaniem? Czy Erik Johansson jest mordercą?

– Mógłby nim być.

– A Simonssonowie nie mają pojęcia, kto to jest?

– Nie. Obydwoje mówią, że nie udostępniają swoich adresów mailowych.

– W sumie to nic nie znaczy. – Stina kręci głową. – Większość osób nie jest świadoma tego, jak łatwo można je odszukać. W zasadzie każdy może to zrobić

w ciągu dziesięciu minut. Kilka kliknięć w necie i już masz. – Odkłada odkształcony spinacz. – Jakie środki przedsięwziąłeś?

– Zabrałem ze sobą ich komputer i zostawiłem go u techników kryminalnych, którzy właśnie teraz się nim zajmują. Przy odrobinie szczęścia i zręczności za chwilę dostaniemy odpowiedź, kim on jest.

Stina zastanawia się chwilę i podnosi głowę.

– Myślę o tych imprezach. Czy nasz denat mógł być jednym z bywalców?

– Mogło tak być.

– Może coś poszło nie tak. Za dużo alkoholu. Pijani ludzie. Może bójka, która wymknęła się spod kontroli?

David potakuje.

– Próbuj dalej skontaktować się z kobietą, której ojciec tam bywał. I jeszcze raz przepytaj tych starszych sąsiadów. Dokładnie o imprezy i czy coś z nich zapamiętali.

2 Kurbits – dosł. „tykwa”. Nazwa odnosi się do tradycyjnych ludowych wzorów, najczęściej malowanych, stosowanych w regionie Dalarna w Szwecji. Wzory przedstawiają motywy roślinne, duże wiązki kwiatów i liści w fantazyjnych ułożeniach. Kurbits stosuje się zarówno jako niezależną dekorację, jak i dodatek do scenek przedstawiających motywy ludowe.

Rozdział 21

Mężczyzna stoi w ogródku za jasnoniebieskim domem szeregowym. Powolnymi ruchami usuwa przekwitłe kwiaty z wiszącej doniczki. Potem zgniata je w dłoni i przerzuca zeschnięte okruchy przez brązową pergolę na altance prosto w kwitnący na złotożółto krzew pięciornika.

Przytył. Nie tak, że stał się wielki i otyły, ale sylwetka mu się zaokrągliła i kontury stały się bardziej rozmyte. Pamięta go jako wysportowanego, umięśnionego i szybkiego, ale teraz ruchy są powolne i nie tak precyzyjne jak kiedyś. Twarz również straciła swoją świeżość. Dopiero po chwili obserwacji może zobaczyć, jak rysy jego młodszej wersji uwidaczniają się pod zwisającymi policzkami i potrójnym podbródkiem.

Słucha w napięciu. Słabe tony muzyki dochodzą do niego przez otwarte drzwi werandy i widzi ze swojej kryjówki, jak mężczyzna w nich znika, a zaraz potem wraca z czarną polewaczką w ręku. Podnosi ją, zrasza wodą przepych kolorów i przygląda się kwiatom, jak gdyby upewniając się, czy nie zostawił nic zwiędniętego.

Nagle się zatrzymuje. Słucha. Potem się uśmiecha. Wchodzi do środka, a głos piosenkarki unosi się nad okolicą. Mężczyzna znów wychodzi na zewnątrz, robi kilka tanecznych kroków i śpiewa razem z nią. Obserwator stoi wystarczająco blisko, by dało się zobaczyć, że mężczyzna wygląda na szczęśliwego.

Nadal mu się przypatruje, jak podlewa kwiaty, bez przerwy śpiewając. Nadchodzi pora. Prostuje się i rozgląda wokół siebie. Właśnie ma zrobić krok do przodu, kiedy jego uwagę przykuwają ruchy na ścieżce po drugiej stronie chodnika. Obok przechodzi młoda kobieta z wózkiem, a kilka metrów przed nią mała dziewczynka w różowym kasku jedzie na czterokołowym rowerze. Mężczyzna chowa się w dającym schronienie listowiu i czeka, aż piszczenie rowerka stopniowo ucichnie, a one znikną poza zasięgiem wzroku.

Po raz ostatni się rozgląda. Chwyta za prowizoryczną laskę, opuszcza kryjówkę za krzakiem i kulejąc, idzie w poprzek suchego żółtego kawałka trawnika.

Zatrzymuje się, kiedy dociera do żywopłotu, który obramowuje ogród za domem. Przywodzi rękę do bejsbolówki, którą znalazł wiszącą na kierownicy jakiegoś roweru.

– Dzieńdoberek! – zagaduje. – Ma pan piękne kwiaty.

Mężczyzna przestaje śpiewać. Patrzy mu prosto w oczy. Niebieskie z cieniem czerwonych żyłek na białkach.

– Słucham? – odpowiada krótko.

– Powiedziałem: „Dzieńdoberek. Piękne kwiaty”. – Pokazuje gestem balkon.

– Tak, to wiem. – Obserwuje go w ciszy. – My się znamy?

Prycha, powoli zdejmuje z głowy czapkę i zaczesuje włosy do tyłu.

– Myślę, że tak.

Mężczyzna przechyla głowę. Wieczne słońce oświetla mu twarz i podkreśla każdą zmarszczkę i starczą plamę. Przybysz widzi, jak coś powolutku zapala się w głęboko osadzonych oczach. Coś rozpoznają i otwierają się szeroko. Mężczyzna robi krok do tyłu. Otwiera usta w tym samym momencie, w którym czarna konewka, którą trzyma w dłoni, spada na drewnianą podłogę z brzękiem. Jego echo roznosi się wśród cichego letniego wieczoru.

Rozdział 22

– Ależ to cudownie wygląda. – Stina bierze kęs kanapki na chrupkim pieczywie i przygląda się zdjęciu wielkiego białego hotelu na piaszczystej plaży, która mogłaby konkurować z bardziej egzotycznymi miejscami niż Falkenberg. Tekst zachęcająco opisuje mnóstwo różnych zabiegów i pakietów spa, które sprawiłyby, że Stina cieszyłaby się takim samym zdrowiem i dobrostanem jak uśmiechnięta kobieta o zaróżowionych policzkach ze zdjęcia.

– Nie? Co wy na to? – Strzepuje kilka okruszków z gazety i przesuwa wzrok po mężu i córce po drugiej stronie stołu.

– Co? – Ulf unosi wzrok i poprawia okulary. – Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że wygląda cudownie. – Stina bierze dziennik w ręce i pokazuje całostronicową reklamę nowo wyremontowanego hotelu.

Mąż potakuje i uśmiecha się.

– Mhm, pewnie, bardzo ładnie – potwierdza i wraca do swoich wiadomości.

– Ja wolę pojechać za granicę. Na przykład na Florydę – mówi Lilly i odrzuca długie włosy na plecy. – Chcę się opalić. I będzie można pójść na shopping.

– Ale nic nie może się równać ze szwedzkim latem – odpowiada Stina. – Nie da się temu zaprzeczyć.

– Jeśli świeci słońce, to tak. Ale nigdy nie świeci – kontruje córka, rzuca złotą kosmetyczkę na stół i zaczyna w niej szperać.

– Ulf, a co ty powiesz?

– Pewnie. Możemy się przecież temu przyjrzeć – odpowiada, nie odrywając od znad gazety.

– Nie, ja nie chcę jechać do Falkenbergu. Chcę za granicę – powtarza Lilly.

– Ale na święta i Nowy Rok byliśmy w Tajlandii.

– No i? – Wzrusza ramionami. – Chyba możemy pojechać jeszcze raz?

Stina patrzy na zachęcające zdjęcia i już ma coś odpowiedzieć, kiedy słyszy dobiegający z dołu wściekły wrzask. Potem szybkie uderzenia stóp o schody. Annie

wbiega na górę z długimi blond włosami stojącymi wokół głowy jak pióropusz i Stinie przechodzi przez myśl, że to dziwne, że obydwie dziewczyny wstały tak wcześnie, zanim wszystko wybucha.

– No nie, co za krindż! – krzyczy przeraźliwie córka.

– Co? – Stina kręci głową. – O co chodzi?

Annie rzuca iPada na gazetę przed Stiną. Kobieta zerka w dół i wpatruje się w swoje zdjęcie we wczorajszym wydaniu „Kvällspresen”. Przenosi wzrok na Annie i uśmiecha się zawstydzona.

– Z czego się śmiejesz? – pyskuje Annie. – Nie rozumiesz, co odwalasz?

– Tak, ale... – Stina odchyła się na krześle.

– Nigdy więcej nie będę mogła się pokazać poza domem.

– Co to jest? Mogę zobaczyć? – Lilly wyciąga rękę po czytnik. Podnosi go. – Przecież to ty. – Śmieje się głośno. – Ale jak ty wyglądasz?

– Jak mogłaś się zgodzić na coś takiego? – ciągnie Annie z wyrzutem.

– Zgodzić się na co? – Stina marszczy czoło. – Przecież to nie tak, że mogłam sobie wybrać zdjęcie. Myślisz, że tak by wtedy wyglądało?

– To najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałam. – Lilly dolewa oliwy do ognia z drugiej strony stołu i teraz również Ulf się budzi.

– Mogę zobaczyć? – pyta, a Lilly szybko i demonstracyjnie przysuwa do niego czytnik.

Mąż bierze urządzenie i Stina widzi, że z trudnością powstrzymuje uśmiech. Zerka na Stinę, a potem na Annie.

– Nie najgorzej – stwierdza i odkłada go na bok.

– Nie najgorzej? – wyje Annie. – Nic nie rozumiecie? Moje życie jest skończone. To zdjęcie jest na Facebooku, a wszyscy wiedzą, że jesteś moją matką.

Córka wybiega z kuchni i zbiega po schodach.

Stina patrzy za nią.

– Ale z niej drama queen. Można by pomyśleć, że to ona była na tym zdjęciu.

– Ha, ha – śmieje się głośno Lilly i bierze do ręki smartfona. – Muszę zobaczyć, co piszą na fejsie.

– Ja nie chcę wiedzieć. Zdjęcie już tam jest i nic z tym nie zrobię. – Stina wstaje od stołu. – I uważam, że Annie przesadza.

Wychodzi do kuchni. Kafelki na podłodze są ciepłe i aksamitnie gładkie pod jej bosymi stopami. Zatrzymuje się na chwilę. Jej dzieci. Nie tak dawno chodziła po ścieżce dla pieszych do szkoły, trzymając ich rączki w swoich dłoniach. Może je prawie poczuć. Klejące się i ciepłe latem, a zimne zimą. Czasami pochylała się do nich i dmuchała po kolei w każdą z nich ciepłym powietrzem, żeby nie marzły.

Kiedy były małe, chciały być tylko z nią. Ale gdzieś po drodze te małe rączki puściły jej uścisk i koleżanki i koledzy stali się w ich życiu ważniejsi. Wróć, kiedy będą starsze. Przecież to mówiła jej własna matka podczas ich krótkich chwil przy kawie. Tak, może tak jest? Nie chce ich stracić.

Otwiera zmywarkę i wkładając naczynia, napotyka lekki smrodek wczorajszych brudów. Ściera okruchy z blatów, podczas gdy docierają do niej salwy Lilly i Ulfa. Zatrzymuje się. Uśmiecha się. Przyjemnie jest, kiedy cała rodzina jest w domu, a ona słyszy, jak się razem śmieją. Nawet jeśli podejrzewa, że w tym przypadku jej kosztem. Pozwala im na to.

Rozdział 23

– Czołem, Lucas. – David zagląda zza szarego panelu, który dzieli wielkie pomieszczenie na sześć stanowisk pracy. – Miałeś do mnie sprawę?

Lucas Löw patrzy w górę znad jednego z czterech stojących na jego biurku monitorów.

– Tak, właśnie. Namierzyłem maila. To nie było zbyt trudne. Ślad cyfrowy, który za sobą zostawił, jest większy niż autobahn. Wystarczyło...

David unosi dłoń przed siebie i głośno się śmieje.

– Nie musisz wchodzić w szczegóły. I tak nic z tego nie skumam.

Siedział w pokoju razem z technikami kryminalnymi z IT niejedną raz i wie, że mają swój żargon. Wie również, że robią z tego wielką rzecz i uważają, że zabawnie jest mówić tak, żeby inni nie rozumieli. Mniej więcej tak, jak to robi mama Susan, kiedy chce kogoś wykluczyć, najczęściej ojca Reine, i podczas wielkich rodzinnych kolacji przechodzi na libański. To bardzo efektywna technika manipulacji.

Lucas nie jest jeszcze taki zły jak reszta z grupy czy jego własna matka. David go lubi. Wyszli kiedyś nawet razem na piwo do Harrys. To między innymi dlatego właśnie do niego zwrócił się w sprawie maila. Wie, że w tym dziale każda przerwa od codziennej rutyny, która polega głównie na szczytowaniu informacji z telefonów, znajdowaniu kontaktów, esemesów, zdjęć i list połączeń, jest powodem do radości.

Lucas uśmiecha się i podaje mu wydrukowaną opinię.

– Pisane jak dla Kubusia Puchatka. Tak, że nawet ty zrozumiesz.

– Dzięki ci za to. – David się śmieje, odbiera dokument i zaczyna czytać.

Mail wysłano z Brinkåsen w Vänersborgu. Właściciel skrzynki nazywa się Didrik Mörck, wcale nie Erik Johansson, jak brzmiały imię i nazwisko, które podał.

– Brinkåsen? – marszczy czoło David.

– Zakład dla psychicznie chorych przestępców pod Vänersborgiem. Całkiem nowy. Otwarty w dwa tysiące jedenastym roku. Siedzi tam kilka ciężkich

przypadków.

– Tak, wiem. Ale ten cały Didrik Mörck. Kto to jest?

– Musiałem sprawdzić. Niezły z niego egzemplarz. Siedzi bezterminowo za morderstwo na dziewczynce. Nie znam wszystkich szczegółów, ale wygląda na to, że było naprawdę okrutne.

David drapie się po kilkudniowym zaroście.

– Dlaczego miałyby wysyłać maila do Simonssonów?

Lucas wzrusza ramionami i patrzy na Davida, który wyciąga komórkę i dzwoni do centralki.

– Czy mogłabyś mi podać numer do Brinkåsen w Vänersborgu? Weź osobę odpowiedzialną za zakład.

– Chcesz, żebym cię połączyła?

– Tak, poproszę.

Cztery sygnały, a potem cichy głos.

– Słucham, Sten Dalbo przy telefonie.

– Nazywam się David Sandberg-Saliba i dzwonię z komisariatu policji w Göteborgu. W sprawie Didrika Mörcka – mówi bez owijania w bawełnę.

Słyszy, jak człowiek po drugiej stronie nabiera powietrza, a potem następuje krótkie: „Tak”.

– Czy to z panem w takim razie powinienem rozmawiać? – pyta David.

– Ze mną, zgadza się. Jak wam idzie?

David potrząsa głową w reakcji na to nietypowe pytanie.

– Jak nam idzie? Co ma pan na myśli?

Zapada cisza, a potem głos powraca.

– Nie powiedział pan, że dzwoni z policji?

– Tak?

– No tak, to dlaczego pan pyta? – Głos brzmi teraz na poirytowany. – Przecież wiecie, że uciekł.

Rozdział 24

Stina jest pierwsza na miejscu przed poranną odprawą. Wzięła sobie kubek czarnej kawy i usiadła na swoim ulubionym miejscu u krótszego boku stołu. Otworzyła okno, żeby przewietrzyć pomieszczenie, i wertuje pozostawiony egzemplarz „Svensk Polis”. Zatrzymuje wzrok na pewnym nazwisku i uśmiecha się, widząc, że dawnego kolegę z kursu mianowano komisarzem w Krajowej Policji Kryminalnej w Sztokholmie.

Podnosi kubek do ust i właśnie ma wziąć łyk, kiedy ktoś otwiera drzwi kopniakiem. Nagły ruch powoduje, że wzdryga się tak mocno, że ciepły napój z chlapnięciem rozlewa się na jej rękę i stół.

– No kurwa! – wyrywa się jej głośno i patrzy na Lovisę, która niezmiernie wpada do pokoju. Jest ubrana w dżinsy i białą haftowaną bluzkę, a ciemne włosy spięła w luźny kok na karku.

– Dzień dobry! – wita się radośnie i z anielskim uśmiechem patrzy na Stinę bystrych brązowymi oczami.

– Dzień dobry – odpowiada Stina nie tak wesoło i sięga po stosik serwetek leżących na stole.

– Oj, rozlało ci się? – zauważa Lovisa, odstawiając na blat kubek z herbatą i notes.

Stina potakuje, wyciera się i patrzy, jak chusteczki brązowieją.

– Wiesz co, spotkałam się wczoraj z tym agentem nieruchomości i...

– Może poczekamy na Davida, co? – przerywa jej Stina. – Żeby też mógł posłuchać?

– Nie, nie. – Lovisa macha ręką. – Nie ma takiej potrzeby. – Siada, otwiera notatnik, nie marnując ani sekundy. – Już z nim rozmawiałam. Wpadłam na niego chwilę wcześniej, więc już go szybko zbriefowałam. Przyjdzie trochę później. Miał porozmawiać z chłopakiem z IT. Zaczynamy, a jego części omówimy, jak przyjdzie.

Stinę uderza to, jak naturalnie Lovisa przejmuje dowodzenie nad spotkaniem. Tak jakby to ona była szefową.

– A, właśnie – ciągnie Lovisa, zanurzając w kubku torebkę z herbatą, a aromat truskawek dominuje nad zapachem rozlanej kawy. – Chciałabym cię poinformować, że zapisałam się do Styrelsebalans.

– Aha. Co to takiego?

Lovisa przechyla głowę i uśmiecha się, unosząc brwi.

– To network dla kobiet zasiadających w zarządach – dodaje nieco zbyt wyraźnie.

– Ale przecież ty nie jesteś w żadnym zarządzie – zauważa Stina, odczytując z uśmiechu Lovisy, że powinna wiedzieć, czym jest Styrelsebalans.

– Nie, no właśnie. Jeszcze nie. Ale pomyślałam, że byłoby dobrze. W sensie: poszerzyć horyzonty i popracować więcej nad networkingiem. Przecież to nie odbije się na mojej pracy tutaj.

Lovisa pracuje u niej jako śledcza od pięciu miesięcy i Stina daje jej jeszcze maksymalnie rok. To pewnie jej sposób na to, by zwiększyć szanse na znalezienie lepszej posady.

– Zdaje się, że to dobry pomysł. – Stina wyrzuca mokrą serwetkę do kosza na śmieci. – Może ja też powinnam się zapisać.

Lovisa patrzy na nią, znów robi głową ten gest i potakuje.

– Pewnie – mówi. – Myślę, że powinnaś. – Odchrząkuje. – Właśnie, skończyłyśmy na agencie – dodaje szybko, wyciąga z kubka torebkę i odkłada ją na papier. – Właściwie to potwierdził wszystko, co już wiedzieliśmy. O sprzedającym, stanie domu i tak dalej. Ale opowiedział też, że w piwnicy było mieszkanie.

– Ach, tak? – dziwi się Stina. – Simonssonowie nigdy nic nie napomknęli o mieszkaniu.

– Nie. Ale istniało. W pełni wyposażona kawalerka z małą kuchnią, prysznicem i toaletą. Jednak, trzeba dodać, w równie kiepskim stanie jak wszystko inne.

– Ale chyba nie zawsze tak było, prawda?

– Dokładnie to samo pomyślałam. – Lovisa uśmiecha się szeroko. – Kiedyś musiało być wynajmowane. Po co inaczej miałoby tam być?

Stina potakuje.

– Zobacz, czy możesz znaleźć jakiegoś lokatora z tego konkretnego okresu. To mógłby być nasz sprawca. Czy sprawdziłaś zdjęcia, które przywiózł David? Może coś mogą dać.

– Sprawdzę. I skontaktuję się z...

– Wiemy, kto to jest. – David wpada do pokoju. Stina wpatruje się w niego i kartkę, którą macha. – Nadawca. Znaleźliśmy go. – Policjant uderza wierzchem dłoni w wydruk. – Maila znaczy się.

– Szybko poszło – stwierdza Stina. – To kto to jest?

– Pacjent z Brinkåsen.

Kobieta opiera się o krzesło i uśmiech na jej twarzy zamiera.

– O kurwa.

– Fakt – zgadza się kolega i siada obok Lovisy, roztaczając wokół siebie chmurę pachnącej wody kolońskiej.

Lovisa z uśmiechem daje mu kuksańca, kiwa głową i bezgłośnym ruchem ust komunikuje „dobra robota”.

Stina przypatruje się im i myśli. Brinkåsen, tuż pod Vänersborgiem, to zamknięty zakład dla psychicznie chorych przestępców. Dlaczego osadzony w ośrodku wysłał wiadomość mailową do małżeństwa Simonssonów, w której to w zasadzie opisuje, gdzie mogą natrafić na szczątki starych zwłok?

Czy może, tak właściwie, istnieć więcej niż jedna odpowiedź na to pytanie?

David kładzie szarą teczkę na stole konferencyjnym. Otwiera ją, wyciąga fotografie i podaje je Stinie.

– Czy to on? – pyta Stina i dostaje potwierdzenie skinieniem głowy.

Przygląda się zdjęciu i widzi przeciętnego, dość szarego człowieka o pociągłej twarzy z cienką kozią bródką. Powieki ma ciężkie, a pod brązowymi oczami widać wyraźne załążki worków. Twarz jest poorana, chociaż nie życiem na wietrze i w trudnej pogodzie, jednak zmarszczek jest wiele i są głębokie. Długo się jej przypatruje. Mogłaby należeć do kogokolwiek. Naprawdę kogokolwiek.

– Kto to jest? – pyta, nie podnosząc wzroku.

David bierze głęboki wdech.

– Nazywa się Didrik Mörck. Jest skazany na przebywanie w ośrodku dla psychicznie chorych przestępców i był zamknięty przez prawie cztery dekady.

Stina dziwi się i patrzy w górę.

– Trzydzieści osiem lat. Nie sądziłam, że ktokolwiek teraz tak długo siedzi. Co zrobił?

David popycha teczkę.

– Wszystko jest do przeczytania tu.

Policjant wygląda poważnie.

– Paskudne? – pyta Stina.

Kolega powoli potakuje.

– Tak. Mała dziewczynka. Zgwałcona, torturowana i zamordowana.

– Jak źle?

– Bardzo źle. – David ciężko przełyka ślinę. – To jeden z najgorszych.

Kobieta znów przenosi wzrok na zdjęcie. Przygląda się zmęczonej twarzy na nowo. Jak wiele razy wcześniej, zadziwia ją, jak najbrutalniejsi i najgorsi ludzie mogą wyglądać tak cholernie normalnie. Bardziej przerażające jest to, że ten na pierwszy rzut oka przeciętnie wyglądający mężczyzna jest większym potworem niż dziko wymachujący rękami i krzyczący wytatuowany człowiek w skórzanej kamizelce, którego wczoraj zamknęli za pobicie. Źródłem wielkiego dyskomfortu jest to, że zła nie da się zobaczyć i dotknąć i że może przybierać postać tego, co zwyczajne. Dokładnie takie jak człowiek ze zdjęcia. Spotykając go na ulicy, nigdy by nie podejrzewała, że był w zakładzie przez trzydzieści pięć lat za gwałt, tortury i mord na dziewczynce. Równie dobrze mógłby być nauczycielem jej dzieci albo jej własnym dentystą.

Co gorsza, wielu złych ludzi, z którymi się przez lata zetknęła, na pierwszy rzut oka jest dokładnie tak samo zwyczajnych. Mówią i robią te same rzeczy, co wszyscy inni. Oczywiście, istnieją tacy, których da się odczytać. Ci nietypowi. Ci, którzy są aspołeczni albo dziwnie się zachowują. Ale są też inni. Ci naprawdę niebezpieczni. Ci, którzy są ekspertami w oszukiwaniu i sprawianiu, że uważasz, że są dokładnie tacy sami jak ty. Ile to razy słyszała, jak ludzie się oburzali, jak ktoś taki jak Josef Fritzl mógł być aż tak zły, nie budząc podejrzeń sąsiadów, i jak koledzy mężczyzny z Hagi mogli widzieć w nim tylko zwyczajnego ojca rodziny?

Bierze do ręki podobiznę i studiuje brązowe oczy. Zło kryje się za tym, co banalne oraz normalne, i szokuje nas, kiedy słyszymy, do czego są zdolni ludzie

w naszym otoczeniu. Gdy sąsiad, któremu rano przy skrzynce na listy w szlafroku powiedzieliśmy „dzień dobry”, bije żonę, albo kiedy przyjaciółka, z którą wczoraj dzieliłyśmy się cynamonką, zamyka trzyletniego syna w ciemnej garderobie za karę, bo się posikał. To niepojęte i trudne do zrozumienia.

A może nie chcemy widzieć? Albo nie chcemy wierzyć? Czy to tak, że ignorujemy te wszystkie znaki mówiące, że nie wszystko jest w porządku, bo to zbyt trudne? Czy w ten sposób chronimy siebie samych? Czy tak jest również w przypadku tego mężczyzny? Czy były jakieś sygnały, które jego otoczenie powinno usłyszeć? Czy można było go powstrzymać, zanim stał się mordercą i gwałcicielem?

Powoli odkłada zdjęcie, wkłada je do teczki i zamyka ją. Potem wstaje. Bierze wiszącą na oparciu krzesła marynarkę i odwraca się w stronę Davida.

– Przeczytam po drodze. Jedziemy tam. Chcę go spotkać.

David odchyła się na krześle i ani drgnie.

– Tak myślałem, że pewnie to powiesz. – Drapie się po włosach. – Jest tylko jeden problem.

– Problem? – Poirytowana, marszczy czoło, chwyta marynarkę i wsuwa jedną rękę do rękawa. – Co takiego?

– Dzwoniłem do Brinkåsen. Nie ma go tam.

– Jak to nie ma? – Stina odwraca się i patrzy na Davida, przeciąga drugie ramię przez rękaw i poprawia ją na sobie. – Wydawało mi się, że powiedziałeś, że siedział w zakładzie zamkniętym?

– Tak jest.

– No właśnie. – Patrzy na niego z góry. – Nie rozumiem, w czym problem?

– On uciekł.

– Uciekł? – Stina niemalże wypluwa z siebie to słowo. – Co ty, kurwa, gadasz? Kiedy? No i jak?

Rozdział 25

– To coś nie wygląda dobrze. – Mężczyzna wskazuje nogę.

Didrik Mörck położył kończynę na krzeselku zeberkowym, żeby mu zelżało pulsowanie. Wczoraj wieczorem była czerwona i spuchnięta, ale teraz nabrała czarnoniebieskiego koloru, a skóra jest tak napięta, że wygląda, jakby zaraz miała pęknąć.

– To nie wygląda ani trochę dobrze. – Mężczyzna potrząsa głową i zaczyna zdejmować papierek z krówki. – Powinieneś iść z tym do lekarza.

– Do lekarza – prychna mocno Didrik i kręci głową. Głęboki ból głowy nie chce zniknąć. Dalej ćmi, czuje tępy ból i nie ma sposobu na to, by go wyciszyć. Noga też boli. Didrik szybko kręci głową na boki. – Zarówno ty, jak i ja wiemy, że nie mogę.

Mężczyzna potakuje i wkłada sobie do ust ciągutkę. Zatrzymuje się przed Didrikiem i stoi ze zwieszoną głową, przeżuując z głośnym mlaskaniem.

Didrik patrzy na niego. Musi uciszyć te odgłosy. Te denerwujące dźwięki dodatkowo pogarszają jego migrenę.

– Musisz to załatwić! – krzyczy i mocno uderza dłonią o kanapę.

Mężczyzna robi krok do tyłu i zatrzymuje się. Trzymając palec głęboko w ustach, szuka nim karmelu, który przywarł do zębów. Wyjmuje palec z ust. Intensywnie potrząsa głową i przełyka tak, że jabłko Adama faluje mu w górę i w dół.

– Ale ja tak nie potrafię. Nigdy nie...

– Powiem ci, co masz zrobić.

– Ale...

– Przynieś kawałek kartonu – krzyczy, rzuca się do przodu i wymachuje ręką. – Przynieś tylko pieprzony kawałek kartonu. Możesz to, kurwa, zrobić? Co? Potem przyniesiesz frotowy ręcznik, jebane nożyczki i jedną elastyczną gazę. Ja pierdołę, czy to jest takie trudne? – patrzy na mężczyznę, który stoi nieruchomo i wpatruje

się w niego z otwartymi ustami i opuszczonymi ramionami. Zdusza w sobie gniew i uspokaja głos. – I taśmę klejącą. – Odchrząkuje. – Jeśli masz też mocną taśmę naprawczą, to dobrze.

– Dobrze, dobrze. Kawalek kartonu. Karton. – Mężczyzna, który chyba jest zadowolony z tego, że Didrik się uspokoił, rozgląda się i drapie po głowie. – Nie mam kartonu. Skąd mam go wziąć?

Didrik patrzy na niego, a on stoi i przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Zawsze był taki... Szuka słowa. Niezaradny? Nie pamięta. Był cichy i wycofany, ale nie tępy i powolny jak teraz. Tylko czego on się spodziewał? Przyszedł do niego do domu. Do jego dobrze uporządkowanego świata kwiatów i powywracał wszystko do góry nogami. Może źle postąpił, przychodząc tutaj. Ale nie miał wyboru. Poza tym kiedyś coś sobie obiecali. Czyż nie? To dlatego się do niego zwrócił.

Polegali na sobie, ale to było wiele lat temu. Ludzie się zmieniają. A może to on sam się zmienił? Tak wiele luk z tamtych lat. Wspomnienia istnieją jedynie szczątkowo, chociaż że wszystkie je nosi w sobie. Coś źle zapamiętał?

Nagle głowa mu się trzęsie. Spazmatycznie i niekontrolowanie. Łapie się za nią i próbuje to zatrzymać. Mocno gryzie się w dolną wargę, żeby powstrzymać odruchy, i obserwuje mężczyznę, który żując, zapada się w krzesło opartym o ścianę. Plecy wsparł w zmęczonej pozie, a brzuch zwisa ponad linią talii zielonych spodni moro.

Dlaczego sądził, że spotka tego samego silnego faceta z przeszłości? Dlaczego się zdziwił, że mięśnie zapadły się w sflaczałe sadełko, które osiadło wokół ciała jak luźny wypełniony tłuszczem kokon? On sam ma pomarszczoną cerę, opadające powieki i wory pod oczami. Piegi zyskały towarzystwo w postaci plam wątrobowych, zarówno na twarzy, jak i na rękach. On też się postarzał.

Zimne i kłujące uczucie zaskakuje go jak czekan wbity w plecy. Wyciąga rękę i mocno chwyta za oparcie kanapy.

– Chyba niczego nie powiesz? – Czuje, jak materiał napina się pod silnym uściskiem jego palców i jak męczą go złe przeczucia.

– O czym? – Ciało na krześle sztywnieje. – O co ci chodzi?

– O mnie. – Dłoń zaczyna łapać skurcz. – Nie powiesz chyba nikomu, że tu jestem?

– Nie, nie. – Mężczyzna macha przed sobą rękami. – Oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobił.

Didrik przypatruje mu się. Język, który przejeżdża po suchych wargach i je zwilża. Kilka razy. Ściąga oczy w wąskie szczeliny. Czy naprawdę może na nim polegać?

– Nie musisz się martwić – mówi i puszcza oparcie. – Wkrótce pójde dalej.

– Nie martwię się – odpiera mężczyzna i ponownie oblizuje usta. Zaraz potem dodaje: – Dokąd? Dokąd pójdziesz?

Twarz wykrzywają skurcze i Didrik wyjmuje z kieszeni pojemniczek. Odkręca zakrętkę i patrzy w dół. Jest pusty. Zażył już wszystkie. Teraz mu się to przypomina. Podnosi wzrok. Dlaczego pyta, dokąd chce iść? Dlaczego chce wiedzieć? Czy dlatego, żeby to komuś powiedzieć? Potrząsa głową. Nakłada zakrętkę z powrotem i chowa pudełeczko.

– Tego nie musisz wiedzieć.

– Nie, dobrze. Ale możesz zostać tak długo, jak chcesz.

Nie odpowiada.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Patrzy na mężczyznę. Ciężko przełyka ślinę. Czuje, jakby wszystko stawało mu w gardle. Ponowne przełknięcie i ciśnienie puszcza.

– Co zrobiłem? – reaguje pytaniem.

– Uciekłeś.

No i znów tam jest. Węszy. Czy naprawdę może na niego liczyć? Od kiedy ostatnio się spotkali, minęło sporo czasu. Czy może polegać na tym, że coś, co obiecali sobie dawno temu, nadal pozostaje w mocy? Jest jeszcze aktualne? Ich wzajemne przyrzeczenie. Nie jest pewien. Bo przecież obiecali to sobie? Musi mieć na niego oko. Nie opuszczać gardy ani na sekundę.

– W odpowiednim czasie się dowiesz – odpowiada krótko. – Ale nie teraz. To masz jakiś karton?

– Nie wiem... – Patrzy na niego i nagle się uśmiecha. – Ach, tak, czekaj. Na dworze w schowku. Pójde po niego.

Mruży oczy, kiedy mężczyzna odchodzi, kołysząc się. Czy naprawdę może być pewien tego, że idzie do komórki? Przygląda się nodze. Dotyka jej palcem. Czuje

pulsujący ból. Przejeżdża dłonią po opuchliznie, coś wystaje pod powierzchnią skóry.

Miał szczęście. W pewnym sensie. Mogła się zrobić dziura. To skomplikowałyby to i owo. Dużo krwi. Babranie się. Poza tym przez taką ranę mógłby nie dać sobie rady bez pomocy lekarskiej.

Ale szukanie pomocy medycznej jest wykluczone. Jak tylko przekroczy drzwi szpitala, utknie. Tam wiedzieliby, kim jest.

Odgłos sunięcia powoduje, że podnosi wzrok i oddycha z ulgą. Mężczyzna idzie, ciągnąc za sobą karton.

– Teraz odetnij kawałek i spróbuj złożyć go tak, żeby tworzył jakby futerał na moją łydkę.

Mężczyzna kiwa głową z powagą i zaczyna ciąć. Po chwili dłubania na kolanie udaje mu się złożyć jakąś formę, którą skleja grubą i wytrzymałą srebrną taśmą naprawczą. Potem podnosi wzrok.

– Dobrze. Włóż do środka ręcznik, żeby było międko.

Jego wzrok zatrzymuje się na tapecie. Żółtej jak słońce. Złotej. Krwawej.

Mruga i próbuje strząsnąć te obrazy sprzed oczu. Nie chce widzieć tej zakrwawionej zmasakrowanej twarzy i wyciągniętej do niego ręki.

Spuszcza wzrok, kiedy mężczyzna siada obok niego na kanapie i składa ręcznik w płaski czworokąt, który rozciąga w papierowej szynie. Kiedy jest gotowy, zerka na niego.

Didrik daje głową znak i wysuwa dłoń. Przyciąga usztywnienie do siebie i zakłada wokół nogi. Czuje, jak opiera się zaraz pod kolanem. Poprawia frotté.

– Teraz weź bandaż i owiń tak mocno, jak tylko potrafisz. Noga musi leżeć zupełnie nieruchomo.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Nie mam bandaża.

Didrik marszczy czoło i rozgląda się wokół siebie.

– Weź taśmę.

Mężczyzna siada na podłodze przed nim i z wahaniem bierze taśmę. Patrzy w górę.

– Czy to nie będzie bolało?

Didrik wzrusza ramionami. Chce być pewien, że skóra nie pęknie, więc kończyna musi zostać usztywniona. Musi znieść ból. Właściwie, powinno go bardziej boleć.

Rozdział 26

David sadowi się na krześle, zakłada nogę na nogę i odsłania odrobinę owłosionej łydki.

– Zniknął z Brinkåsen przedwczoraj.

Stina ciężko siada. Didrik Mörck był zamknięty w zakładzie przez trzydzieści osiem lat. A teraz znikł. Bezpośrednio przed ucieczką, mniej lub bardziej, wskazał im szczątki w ziemiance.

Uciekinier. Zakład zamknięty. To brzmi znajomo. Jak coś z niedalekiej przeszłości. Potem się jej przypomina. Gazeta, którą wertowała wczoraj przy śniadaniu. Nawet nie wie dlaczego. Było coś o tym w „Kvällspresen”, ale tego nie przeczytała. Tylko przekartkowała do stron o zmarłym w Örgryte i swojego brzydkiego zdjęcia.

Zwłoki leżały w ziemiance, powiedział Dan Kowalski, od dwudziestu do pięćdziesięciu lat. Trzydzieści osiem lat to przypuszczalnie dokładniejsza liczba. Co prawda Stina zawsze uważa, żeby podierać swoje wnioski dowodami, ale tym razem jest pewna. Wiele na to wskazuje. Didrik Mörck nie tylko zabił dziewczynkę. Jest także odpowiedzialny za zwłoki w ziemiance. Musi tak być.

– Ale... – mówi Lovisa. – W takim razie to on, tak? – Patrzy na obydwójce i szeroko otwiera oczy. – Prawda? – Pochyla się. – To właśnie on musiał zabić ofiarę z ziemianki?

Stina powoli kiwa głową i uświadamia sobie, że ich dochodzenie właśnie się rozrosło. Teraz nie chodzi już tylko o stare ciało. Sprawa się rozszerzyła i obejmuje również zbiegłego pacjenta psychiatrycznego, który prawdopodobnie ma na sumieniu dwie osoby. Może więcej.

Odchrząkuje.

– Powiedziałeś, że uciekł przedwczoraj. Jak...

– Jak to się stało? – Przerywa Lovisa.

Stina marszczy brwi i kończy zdanie:

– Tak, David. Jak to się stało? Brinkåsen ma przecież być zabezpieczone przed ucieczkami.

– Był w odwiedzinach na grobie swojej matki na cmentarzu w Stampen.

– Stampen? Był tu? Znaczy się w Göteborgu?

– Tak.

– No kurde! – Uderza otwartą dłonią w stół. Ostatnią rzeczą, której chce, jest wyławianie zgwałconej i torturowanej dziewczyny z kontenera w porcie albo żeby wypełniona turystami łódź Paddan zderzyła się z dryfującymi po kanale zwłokami.

Ściska ją w gardle i myśli o zdjęciach z teczki. Dziewczynka. Torturowana. Zgwałcona. „Tylko nie to”, myśli. Nie, nie znowu.

– Ojoj – mówi Lovisa, kręcąc w palcach kucyk. – Jak on mógł uciec? Przecież siedział na oddziale zamkniętym. Chyba tak po prostu nie wypuszczają takich osadzonych, prawda? Musiał chyba mieć ze sobą jakiegoś strażnika?

– Tak, miał – potwierdza David. – Nawet dwóch.

Stina bierze głęboki wdech i kładzie rękę na brzuchu. Nie podoba się jej uczucie niepokoju, które hula wewnątrz.

– Ale udało mu się uciec dwóm strażnikom? – drąży Lovisa.

– Rozmawiałem z policją w Vänersborgu i jak dotąd otrzymałem tylko krótką wersję wydarzeń, ale najwyraźniej strażnicy się wyluzowali, a wtedy on wykorzystał okazję i zwiął. Zauważyli, że go nie ma, kiedy pokonał już połowę drogi do bramy. Nie udało im się go złapać.

– Czy policja z Vänersborga przesłuchiwała odpowiedzialnych w Brinkåsen?

– Tak. I wysłali alert. Ale brakuje im ludzi.

Stina fiksuje niewidzący wzrok na ścianie za Davidem.

– Mówisz, że strażnicy go nie złapali? Ile on ma lat?

– Pięćdziesiąt siedem.

– To co prawda nie jest bardzo dużo i on może, domyślam się, być piekielnie wysportowany. Ale mimo wszystko, że udało mu się uciec przed dwoma? – Odchyła się na krześle i huśta kilka razy do przodu i do tyłu. – A co wy powiecie? Z czym mamy tu do czynienia? Nieoficjalnie możemy się tylko domyślać, że ten cały Didrik Mörck stoi za jeszcze jednym morderstwem. Ale to cholernie dziwne,

że wysłał maila do Simonssonów o ich ziemiance, a kilka dni później uciekł. Czego on tak właściwie chce?

David wzrusza ramionami.

– Przypisać to sobie?

– Jeszcze jedno morderstwo, tak?

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Może coś w tym jest – mówi Lovisa.

– Czyli?

– Nie wiem. Myślę tylko, że to wydaje się dziwne. Na przykład dlaczego ucieka teraz? Co się stało?

– To właśnie jest wielki znaki zapytania. – Stina rzuca się do przodu, bierze długopis i otwiera notes. – Opowiedzcie o nim. Jaka jest jego historia?

– Historia Didrika Mörcka. – David wzdycha i pociera oko. – Brinkåsen nie był jego pierwszym szpitalem. Mörck siedział zamknięty przez więcej niż pół życia. – Mężczyzna pochyła się po teczkę i otwiera ją. – Kiedy zamordowano dziewczynę, Didrik od mniej więcej roku był to przyjmowany do szpitala psychiatrycznego Lillhagen na Hisingen, to z niego wypisywany.

– Kiedy to było?

– Po raz pierwszy przyjęto go na oddział w siedemdziesiątym siódmym.

– Czyli wtedy miał... – Stina wyciąga telefon i liczy na kalkulatorze. – Dziewiętnaście lat.

– Zgadza się.

– Dlaczego położyli go w Lillhagen?

– Schizofrenia paranoidalna. Powiedział, że słyszał głosy namawiające go do rzeczy, których nie chciał robić... – David ponownie zerka do teczki i stuka w nią palcem. – Jego ojciec dopilnował, żeby go zamknęli.

– A dziewczynka? To te głosy kazały mu ją zgwałcić i zabić?

– Nooo – potakuje David. – Chyba trzeba tak założyć, biorąc pod uwagę tło chorobowe, ale faktem jest, że Mörck nigdy nie przyznał się do morderstwa. Mówi, że nie pamięta.

Lovisa parska.

– No, tak się mówi. Nie jest chyba pierwszym, którego skazano na leczenie zamknięte za zbrodnię, której nie pamięta?

– To prawda – zgadza się David.

– Ale powiedziałaś, że był na oddziale w Lillhagen. To jak mógł zabić tę dziewczynę?

– Uciekł.

– Dokładnie tak jak teraz.

– Tak.

Stina bębni długopisem o biurko.

– Jak doszło do zabójstwa dziewczynki? Możesz podać trochę szczegółów?

– Pewnie. – David znów zerka do teczki. – Według raportu znikł ze szpitala późnym wieczorem dwunastego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego. Kiedy wydało się, że Mörck zniknął, jego ojciec dostał wiadomość od personelu, ale nie zrobił z tym za wiele. Założył, że Didrik od razu przyjdzie do domu.

– Do domu?

– Mieszkali w gospodarstwie z końmi w Mölnlycke nad jeziorem Råda. Niezbyt daleko od posiadłości Råda.

– Dlaczego jego ojciec założył, że on tam pojedzie?

– Zdaje się, że nie bardzo miał dokąd pójść. Kolegów jak na lekarstwo i żadnych krewnych, z którymi utrzymywałyby kontakt. Ojciec miał rację. Didrik dojechał do domu tego samego wieczoru. Ale nie sam. Miał ze sobą dziewczynę. Niósł ją, tak mocno pobitą, że później zmarła.

– Czyli wziął ją do domu? Zgwałcił ją i pobił, a potem zabrał do siebie. – Marszczy czoło.

– Tak. Ojciec zadzwonił po karetkę, a jednocześnie próbował się nią zająć, żeby nie przestała oddychać. Prawdopodobnie wtedy młody Mörck zorientował się, co zrobił, bo uciekł. Następnego dnia jakaś starsza para zauważyła go w Skatås, po którym się włóczył zakrwawiony i roztrzęsiony, więc zadzwonili po policję, która go zabrała.

Stina wstaje i podchodzi do zdjęcia Göteborga z lotu ptaka, które wisi na ścianie nad kaloryferem. Przejeżdża palcem od jeziora Råda w górę przez tereny zielone.

– W takim razie przeszedł spory kawałek. To musi być jakieś dziesięć kilometrów.

Odwraca się do kolegi.

– I mówi, że nic nie pamięta. Nic a nic?

– Coś takiego powiedział – potakuje David. – Podczas procesu nawet się nie bronił. Tylko siedział cicho ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Prawie się nie ruszał.

Stina bierze łyżeczek kawy i zatapia się w rozmyślaniach. Dlaczego Didrik Mörck milczał podczas procesu? Był wyrachowany czy naprawdę niczego nie pamiętał? Obydwie wersje są prawdopodobne, nawet jeśli jest tak, jak mówi Lovisa. Istnieje wiele przypadków, w których sprawca zasłania się utratą pamięci, licząc na łagodniejszą karę. Ale Didrik Mörck był w zakładzie już prawie czterdzieści lat, więc bynajmniej nie była łagodniejsza. Odwraca się.

– A wyrok? Jaki?

– Zamknięte leczenie psychiatryczne. Sąd rejonowy nie potrzebował wiele czasu do namysłu. Wyrok ogłosili bezpośrednio po tym, jak zakończono przesłuchania. To, że karą będzie leczenie, było jasne już po opinii biegłych z urzędu medycyny sądowej, która przyszła przed procesem. Stwierdzono w niej, że cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne.

– Czy prokurator i obrońca byli zgodni?

– Tak.

Stina kiwa głową.

– Trzydzieści osiem lat temu nierzadko skazywano na leczenie morderców i winnych cięższej przemocy, niezależnie od tego, czy byli wariatami, czy nie. A zważywszy na przeszłość i diagnozę Mörcka, nie wydaje mi się to zbyt naciągane.

Stina zaplata palce i myśli. Wiele wskazuje na to, że mają do czynienia z człowiekiem, który zamordował dwie osoby. Co ją zastanawia, to że zabójstwa do siebie nie pasują. Młoda kobieta i mężczyzna. Zamordowani na dwa zupełnie różne sposoby.

I dlaczego on uciekł? I co, do jasnej, skłoniło go do kontaktu z Simonssonami i do tego, żeby z grubsza naprowadzić ich na ciało? I dlaczego akurat teraz? Po

trzydziestu ośmiu latach.

Stina odwraca się do Davida.

– Czy zamordowani dziewczynka i mężczyzna mogli się znać?

– Niewykluczone.

Zamyślona przygryza wargę i powoli kiwa głową.

– Musimy to sprawdzić. Kim była? Jaką miała przeszłość i skąd znała Didrika Mörcka?

David znów zagląda do teczki.

– Cherie Andersson. Szesnaście lat. Pochodziła z rodziny z problemami. Rozwiedzeni rodzice i dużo kłótni. Didrik dobrze ją znał i sporo bywała w stadninie Mörcków.

– Pogrzebię w tym – deklaruje Stina. – To jest coś, czym chcę się zająć sama. – Czyli Didrik wcześniej uciekł z zakładu. Co prawda całe lata temu, a jednak. Mimo to miał tak słaby nadzór, że znów udało mu się zbiec. Poza tym nie jednemu, a dwóm strażnikom. Jak bardzo jest niebezpieczny?

– Nie wiem. Osoba z Brinkåsen, z którą rozmawiałem, powiedziała, że był oazą spokoju. Ale to nie znaczy, że nie jest groźny. Przeciwnie.

– Jeśli nie byłby groźny, raczej nie siedziałby tak długo w Brinkåsen – dodaje Lovisa.

– No, to prawda – zgadza się Stina. – Czy ma normalną inteligencję, czy jakąś wadę rozwojową, która uniemożliwia mu zrozumienie, co jest dobre, a co złe?

– Nic z tego. Ma IQ sto pięćdziesiąt siedem, więc nie ma się do czego przyczepić.

– Nie, problem leży w czymś innym – mówi Lovisa.

– Tak – potakuje Stina i kiwa głową w jej stronę. – A co myślicie o Simonssonach? Zdaje się, że powinniśmy z nimi pogadać i poprosić ich o ostrożność w sprawie Mörcka.

– Mogę do nich jutro pojechać – proponuje Lovisa.

– Mhm – odpowiada Stina. – Nie wiem, czy powinniśmy czekać tak długo, ale jednocześnie to dobrze, że ktoś tam pojedzie. Zrobimy tak – gestem wskazuje na Lovisę – jeśli pojedziesz do nich jutro i z nimi pogadasz, to dopilnujemy, żeby dziś

wieczorem i w nocy dyskretnie patrolować teren. Mówiłeś, że policja z Vänersborga miała mało ludzi, prawda? – zwraca się do Davida.

Mężczyzna potakuje.

– W takim razie na pewno się nie obrażą, jeśli my przeznaczymy nasze na znalezienie Mörcka. Co o tym sądzisz?

– Na pewno nie.

– Dobrze. No to jedziemy do Brinkåsen tak szybko, jak to możliwe.

– Możemy jechać prosto z zakładu medycyny sądowej jutro rano. Już powiadomiłem kierownika oddziału, że przyjedziemy.

Stina potwierdza gestem. Brinkåsen. Zakład o podwyższonym poziomie bezpieczeństwa dla przestępców skazanych na zamknięte leczenie psychiatryczne. Chodzą plotki, że za murami krążą narkotyki i że pacjenci skarżą się na odpowiedzialność zbiorową. Nie wszystko jest różowe w tym supernowoczesnym kompleksie. Tyle że opowieści osadzonych zazwyczaj różnią się od raportów kierownictwa.

Pytanie brzmi, dlaczego Didrik Mörck uciekł po tych wszystkich latach. Czy coś się stało w Brinkåsen? A może kryje się za tym coś innego?

Rozdział 27

Sten Dalbo, dyrektor zakładu w Brinkåsen, siedzi i gapi się w wielkie panoramiczne okno. Ściska go w dołku i przelewa mu się w żołądku, tak jak zawsze, kiedy jest zestresowany, wypił za dużo kawy albo się czymś martwi. Teraz wszystkie trzy kryteria są spełnione, więc nic dziwnego, że dziś częściej musi odwiedzać toaletę. Przede wszystkim przeszkadza mu niepokój. Pracował tak ciężko i tak długo, żeby dotrzeć tu, gdzie jest dziś, a istnieje ryzyko, że wszystko zostanie mu odebrane.

Całe jego życie było walką. Od samiotkiego początku. Kiedy się urodził, ważył nieco ponad dwa kilogramy i mierzył niewiele więcej niż dłoń jego ojca. Był tak wątły, że nie miał siły ssać mleka matki i głównie leżał, popłakując. Słabość towarzyszyła mu już zawsze. Podczas gdy czterech starszych braci wyrosło na hałaśliwych młodych mężczyzn, cieszących się powodzeniem w sporcie i u płci pięknej, on sam stał się chudym, przedwcześnie wyłysiałym mężczyzną w okularach o grubych okrągłych oprawkach, które zostawiały czerwone ślady u podstawy nosa. Ojciec miał w zwyczaju grzmieć ze śmiechem: „Ze Stena żadne chłopisko nie wyrosło, w zasadzie miał być dziewczuchą”, a wszyscy bracia wykrzywiali usta w kpiącym grymasie i za plecami matki nazywali go córeczką.

W miarę upływu czasu miało się jednak okazać, że to, czego Stenowi Dalbie brakowało w mięśniach, nadrabiał intelektem, który był znacznie powyżej poziomu jego rodziny. Ale w środowisku, w którym ten rodzaj mocnych stron nie był zbyt wysoko ceniony, wiele lat zajęło mu uświadomienie sobie, że bystrość mogła być cenniejsza niż siła fizyczna.

Jednak droga do zrozumienia tego była wyboista. Żeby przeżyć ten maraton, stworzył obraz siebie jako bogatego dorosłego z sukcesami, podczas gdy jego prześladowców prawie nie było stać na ubrania. To właśnie myśli o rewanżu motywowały go podczas ciężkich lat dorastania w małej przemysłowej miejscowości Vargön.

Kiedy Sten miał piętnaście lat, postanowił, że zostanie lekarzem. Podjął tę decyzję po tym, jak jego najstarszy brat naderwał sobie mięsień uda podczas meczu piłki nożnej i po raz pierwszy rzeczywiście posłuchał innej osoby i robił to, co mu kazała. Tą osobą był lekarz.

To wtedy Sten zrozumiał, że bycie doktorem medycyny dałoby mu szacunek, na który zasługiwał. Kiedy jego rodzeństwo szło w ślady ojca i zaczynało pracować w fabryce w Vargön zaraz po podstawówce, on kontynuował naukę. Niestety wybór zawodu nie przyniósł tego efektu, na który Sten miał nadzieję. Przypadek sprawił, że wybrał specjalizację psychiatryczną i zamiast na zaszczytne miejsca, które pamiętało jego piętnastoletnie ja, został odesłany na samotne w rogu, najpierw w Restad Gård, a potem w Brinkåsen, ponieważ nikt nie rozumiał, co on robi.

Kiedy podczas jednej z rodzinnych kolacji ojciec powiedział, że „Sten nie jest przecież prawdziwym lekarzem”, odciął się od bliskich na zawsze i od ośmiu lat nie ma z nimi kontaktu, chociaż wszyscy mieszkają w promieniu trzydziestu kilometrów.

Z braku innej rodziny Sten ożenił się z pracą. Piął się w górę hierarchii i od czterech lat jest dyrektorem supernowoczesnego szpitala zamkniętego dla psychicznie chorych przestępców Brinkåsen. Jako szef stworzył środowisko, w którym daje sobie tyle wolności, na ile według własnego uznania może sobie pozwolić. To on podejmuje decyzje, a rozmowy z pacjentami pozwalają mu czuć przewagę, ponieważ oni cierpią na braki inteligencji, wykształcenia albo chęci. W wielu przypadkach wszystkich trzech. Takie są procedury i zło konieczne dla działania zakładu.

Jest jednak wyjątek wśród osadzonych w Brinkåsen. Didrik Mörck. Didrik i on towarzyszą sobie jeszcze od Restad Gård i Sten poświęcił mu setki godzin oraz metry bieżące tekstów opinii i wie, że inni rzeczywiście je czytają. Od czasu do czasu jeździ nawet na różne uniwersytety, ostatnio do Cambridge, i przed zafascynowaną publicznością wyklada na temat pracy z Mörckiem. Nawet rozdał kilka autografów po prelekcjach. A teraz zdarzyło się coś nie do pomyślenia. Didrik uciekł. Zostawił go tak po prostu, powodując nieład w jego uporządkowanym świecie.

I jeszcze miała przyjechać policja. Sten zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Faktem jest, że na myśl o tym, co się wydarzy, nieprzyjemne uczucie w brzuchu się nasila. Sten nie chce zostawiać zakładu. Albo żeby Didrika przeniesiono. Placówka w Säter od wielu lat chciała go mieć u siebie. Ale Sten się upierał. Mówił, że Didrik jest tutaj w bezpiecznym środowisku i że niedobrze byłoby go przenosić. A teraz wszystko się może zdarzyć.

Sten Dalbo nie chce zmian. To tutaj jego potencjał może w pełni rozkwitać. Koledzy z branży go słuchają. Cieszy się szacunkiem. Autorytetem. To tutaj przynależy. W tych pomieszczeniach czuje się bezpiecznie i jest gotowy zrobić wszystko, żeby nic się nie zmieniło. Naprawdę wszystko.

Rozdział 28

David wyciąga klucz z zamka, przekracza próg mieszkania. Gdaczący głos matki Susan dalej dzwoni mu w uszach. Żąda, żeby przyszedł w niedzielę do restauracji Petrusa na rodzinną kolację. Potwierdził, że będzie, mimo że nie ma na to ochoty. Ale tak jest z mamą. Jej się nie odmawia. Nikt z rodzeństwa tego nie robi, więc jest pewien, że cała piątka pojawi się w niedzielę w komplecie z drugimi połówkami i że godzinami będą siedzieć przy długim stole nad dobrym jedzeniem, a szwedzka żona Petrusa będzie próbowała uciszać ich donośne głosy, żeby nie przeszkadzali pozostałym gościom. Ale jej się nie uda. Taka jest jego rodzina. Zazwyczaj David lubi rodzinne posiadówki, lecz tę najchętniej by ominął, bo wie, że tego wieczoru to on będzie na celowniku.

Robi krok ponad kolorowym stosem gazet na podłodze i zrzuca buty ze stóp. Przysuwa je pod ścianę, wchodzi do pokoju dziennego i marszczy nos, czując lekki smrodek śmieci. Stopy kleją się do podłogi, kiedy podchodzi do drzwi balkonowych.

Opiera o nie ramię i otwiera je na oścież, podczas gdy one wydają z siebie niezadowolone skrzypnięcie.

Odgłos samochodu, który pomylił Friggagatan z torem wyścigowym, dociera do niego, kiedy przechodzi dalej do sypialni i otwiera okno. Mija łóżko, jedno niepościelone, a drugie puste, i zmierza dalej do kuchni. Kubek po kawie dalej stoi na stole, tam gdzie go rano zostawił.

Prycha. To jasne. Mało prawdopodobne, żeby ktoś przyszedł i się nim zajął. Jest przecież sam. Sam.

Ale na weekend przyjadą Emil i Lotta. W piątek po południu odbierze ich z przedszkola i tym razem postara się być na czas.

Wyciąga z kieszeni telefon i kładzie na stole kuchennym. Automatycznie sprawdza nieodebrane połączenia i myśli o tych wszystkich razach, kiedy dzwonił do przedszkola i uprzedzał, że się spóźni. I tak samo wielu razach, kiedy słyszał, jak nauczycielka przedszkolna po drugiej stronie wzdychała. Westchnięcie, które

oznaczało, że dziś też nie wyjdzie z pracy o czasie z powodu tego, że jakiś rodzic nie potrafi przyjeżdżać o ustalonej porze. Bycie policjantem i rodzicem małych dzieci to nie zawsze prosta układanka, chociaż dobrze się urządził z matką potomstwa, która brała odpowiedzialność za większość spraw.

Emil i Lotta nie byli jeszcze w tym mieszkaniu i David chce, żeby za pierwszym razem dobrze poszło. Dopilnuje, żeby pokój, który będą dzielić, był urządzony i gotowy. W płaskich paczkach leżą łóżka i dwa stoliki nocne, które trzeba skrócić. A w białych torbach z Jyska różowa pościel w księżniczki dla Lotty i fioletowo-niebieska z Harrym Potterem dla Emila.

Będą oglądać filmy animowane i wcinać słodczyce na wagę i postanowił, że będzie im wolno zjeść tak dużo, ile tylko zechcą. Marszczy nos na wspomnienie tego razu, kiedy jego syn zjadł za dużo żelek w domu u Emmy i Johana w Kungsbacke. Emil zszedł ze schodów, stanął na środku i całkowicie bez ostrzeżenia olbrzymia kaskada wymiocin zachlapała każdy ze schodów, a białe ściany pokryły się czerwonymi, żółtymi i zielonymi grudkami po malinowych łożeczkach, szczurkach ciągutkach i autkach ferrari. Potem Karin na kolanach to wycierała.

Chwyta kubek i wstawia go do pustego zlewu. Co on robił, kiedy ona klęczała na schodach?

Wstydzi się, kiedy dociera do niego, że dalej siedział przy stole, śmiał się i pił z Johanem, nawet nie przymierzając się do tego, żeby jej pomóc. Emilowi też nie pomógł. Nim zajęła się Emmy.

Kurde, jest kiepskim tatą. Ale teraz to się zmieni. Dzieci mają się poczuć jak w domu, kiedy przyjdą do niego w piątek. Już widzi, jak siedzą blisko siebie na kanapie. Ich małe rozgrzane ciała obok niego. Jak ich ciepłe oddechy stają się ciężkie i jak musi ich zanieść do łóżka. Emil może by się przebudził i David wyszeptałby mu kilka uspokajających słów, żeby ponownie usnął. Mieszkanie jest jego na nie dłużej niż rok, ale dopilnuje, żeby czuli się tu jak u siebie. Poza tym rok to dużo czasu. Wiele może się wydarzyć.

Otwiera zamrażarkę i szybko skanuje, co w niej jest. Do wyboru ma pizzerinkę Billys na grubym spodzie i gotową porcję makaronu z sosem alfredo. No to niech będzie makaron.

Wyjmuje go z opakowania, przekłuwa plastik i wrzuca do mikrofalówki. W czasie kiedy talerz się kręci, nalewa sobie kieliszek czerwonego wina z kartonu stojącego na małym blacie obok płyty grzewczej.

Nie jest zbyt dobre, ale ujdzie. Czasami pija wino dla smaku, czasami, żeby się odprężyć. Dziś z powodu numer dwa.

Unosi kieliszek do ust i pije. Odstawia go, wychodzi do przedpokoju i wyjmuje coś ze skrzynki z narzędziami. Czeka, aż makaron będzie gotowy, wyjmuje nóż typu mora, podchodzi do płaskich paczek i atakuje opakowania, żeby dostać się do części, które trzeba poskręcać załączonym kluczem imbusowym.

Pracując, słyszy cichą muzykę dobiegającą od sąsiadów z dołu. W kuchni pika mikrofalówka. Mężczyzna wzdycha. Wstaje i idzie. Czeka na niego nijaki makaron i wino z kartonu.

Wyciąga ciepły pojemnik z kuchenki i szybko odkłada na blat. Komórka wibruje. Dotyka ikonki i czyta. To ona. Ta przyjaciółka.

Myśli przez chwilę. Przypominają mu się czysta pościel, miękkie ciało i pachnące włosy.

Wbija krótką odpowiedź. Otwiera drzwi szafki pod zlewem i wyrzuca gotowe danie do worka na śmieci. Alkohol wylewa do zlewu.

Potem zakłada kurtkę i idzie. Nie ma nic lepszego do roboty.

Rozdział 29

Dan Kowalski patrzy na stół. Jest zadowolony z tego, co udało im się osiągnąć. Mimo nocnej przerwy w dostawie prądu. Przetoczyła się nad nimi najgorsza burza dziesięciolecia, ale wszyscy w zespole medycyny sądowej pracowali nieprzerwanie. Podczas wielu godzin w świetle latarek skrupulatnie czyszczono każdy kawałek kości i na gołym stalowym stole wyrosły kontury całego mężczyzny. A teraz leży tam w całym swoim majestacie i czeka, aż Dan rozwiąże zagadki, które się kryją w szczątkach.

Dan pociera o siebie dłonie i kielkuje w nim stare uczucie oczekiwania. Pochyla się bliżej i wyciąga rękę, żeby wyrównać kąt, pod jakim leży jeden z kręgów szyjnych. Uśmiecha się. Wszystko, co zostało ukryte, ujrzy światło dzienne przed piątkiem, jeśli Dan będzie tu dzień i noc. Rozwiąże to przed pójściem na urlop. Puszczą kość, kiedy dźwięk głosów wtłacza się do jego sterylnego świata. Prostuje się i spogląda w stronę drzwi.

– Dzień dobry, Dan! – Do pokoju wchodzi Stina Seger, stawia długie kroki, zsuwa torebkę z ramienia i w pędzie rzuca ją na krzesło. Spada na podłogę, ale Stina albo tego nie zauważa, albo się tym nie przejmuje, bo dalej idzie do przodu. – Już w akcji, jak widzę.

Dan potakuje i robi głęboki wdech, kiedy na nią patrzy. Wielkie oczy, arystokratyczny nos oraz smukłe, wysokie i atletycznie zbudowane ciało skoczkini wzwyż. Odwraca wzrok. W dół na swoje kawałki kości. Nie ma sensu zapuszczać się w te rejony nawet myślami.

– Do czego doszliście? – pyta Lovisa z uśmiechem i przemyka do przodu, omijając Stinę.

Mężczyzna odchrząkuje i wskazuje ręką na stół.

– Proszę, popatrzcie – zaczyna Dan, kiedy nikt nic nie mówi. – Każdy z kawałeczków, które tutaj widzicie, został pieczołowicie wyszczotkowany do czysta i odłożony, prawda, na swoje miejsce w całości.

– Czy są nienaruszone?

– Tak. Mieliśmy trochę problemów ze znalezieniem kości łódeczkowatej i kości skokowej w...

– Które to są? – przerywa Lovisa.

Dan przenosi na nią wzrok.

– Kość łódeczkowata jest w nadgarstku, a skokowa w kostce. Ale w końcu je znaleźliśmy i teraz mężczyzna jest, prawda, cały.

Stina powoli kiwa głową, patrząc na stół. Wygląda na zadowoloną. Powinna być. Może nawet zaimponowało jej trochę to, co udało im się osiągnąć. I do tego przez wiele godzin bez prądu. Tak, to imponująca robota, myśli i czuje pojawiający się na ustach uśmiech. Uśmiech, który zastyga i gaśnie, kiedy Dan widzi, jak David ziewa i poprawia podwinięty rękaw koszuli na bicepsie.

Parska sam do siebie. Czy nudzi Davida Sandberga-Salibę? Czy ten arcymęski facet nie uważa, że to jest interesujące? Myśląc o tym, że powodzenie całej sprawy zależy od niego, pan Sandberg-Saliba powinien wykazać trochę więcej zainteresowania, a nie tylko stać i ziewać.

Z tym że to pewnie dla niego zbyt rozwlekłe. Pościgi samochodowe i broń palna są bardziej w jego stylu. Dan prycha. To właśnie ktoś, kto ma wszystko. Wygląd, komunikatywność i żonę, która wygląda jak anioł. Widział ją kiedyś, jak po niego przyjechała. Piękna jak z obrazka.

Dan mówi dalej, śledząc Davida wzrokiem.

– Mężczyzna był po trzydziestce i miał od stu osiemdziesięciu czterech do stu osiemdziesięciu sześciu centymetrów wzrostu.

David okrąży stół, zatrzymuje się i nachyla w stronę czaszki.

– Czy dalej jesteś pewny, że mamy tu do czynienia z morderstwem? – pyta, patrzy w górę i teraz widzi przekrwione oczy Dana.

– Tak. To zabójstwo – mówi poirytowany, zarówno tym, że przerwano mu dłuższe wyjaśnienie, które planował, jak i tym, że konstabl Uroczy podważył jego kompetencje. – Jestem tego bardziej pewien dziś, niż byłem wczoraj, ponieważ pojawił się dodatkowy dowód.

David patrzy w dół, pochyla się jeszcze niżej i mruży oczy.

– Aha, jaki dowód?

Dan marszczy czoło. Co to za zapach, który czuje od Davida? Czuje coś, co przebija przez wodę kolońską. Gdyby się nie znał, mógłby prawie pomyśleć, że to ślady dawnego kaca. Patrzy na rękę Davida, która drży, kiedy wyciąga ją w stronę stołu. To ledwo widoczne, ale on to widzi. Ha! – myśli – David nie jest, a niech mnie, trzeźwy. Patrzy na Stinę. Czy coś zauważyła? Nie wygląda na to.

Przesuwa językiem po zębach. Zastanawia się, co ma zrobić ze swoim odkryciem, i decyduje, że odpuści. Tym razem. Zatrzyma to w pamięci i może pewnego dnia wyłuska. Odwraca się do Stiny.

– Oprócz zabójczego zmiżdżenia czaszki znaleźliśmy też ślady co najmniej trzech pchnięć jakimś ostrym, prawda, narzędziem.

– Tak? – Stina podchodzi krok bliżej i stoi teraz naprzeciwko niego, na wysokości brzucha szkieletu, z nowo rozbudzonym zainteresowaniem w oczach.

– Tak – potakuje Dan. – Dwa ze śladów znaleźliśmy po lewej stronie korpusu.

Pochyla się i pokazuje na klatkę piersiową. Wszystkie kości są żółtobrązowe, odbarwione po wielu latach w ziemi. Ale oczyścili je tak, że zarysowania na klatce piersiowej można wyraźnie zauważyć jako ciemne kreski, jeśli ktoś na nie wskaże. Jedna na trzecim żebrze, a druga na piątym.

– Trzeci ślad znaleźliśmy na trzecim kręgu piersiowym.

Stina poważnie kiwa głową i śledzi ruchy Dana, kiedy ten bierze do ręki fragment kości kręgosłupa, unosi ją i pokazuje palcem wycięcie, głębsze niż dwa pozostałe.

– Pchnięcie nożem? – pyta David i podchodzi do nich.

– Jak mówiłem, jakimś, prawda, ostrym narzędziem. – Odkłada kręg i cofa się krok za Davida. – To mógłby być nóż, ale w tym momencie nie możemy wykluczyć innych ostrych narzędzi.

– Na przykład jakich? – pyta Lovisa, odgarniając z czoła ciemne pasemko.

– Hmm, na przykład szydła. – Wiecznie te pytania. Nie potrafią sami myśleć. – Albo nożyczki. Albo coś innego, co jest, prawda, ostre.

– Czy udało ci się dokładniej ustalić, kiedy to się stało? – Stina odwraca wzrok od kręgu i patrzy na Dana.

– Nie. Dokładne ustalenie momentu na tak starym szkielecie nie jest do końca łatwe. Potrzebujemy więcej czasu, żeby przestudiować, jak zestarzały się kości,

i może też sprawdzić za pomocą węgla C-14, żeby było, prawda, dokładniej.

– Aha. – Stina drapie się z tyłu głowy. – Czy odważyłbyś się zgadywać?

Mężczyzna wzdycha, ponieważ wiedział, że to pytanie padnie, i przygotował sobie odpowiedź.

– Bazując na moim, prawda, doświadczeniu, powiedziałbym, że ten mężczyzna zmarł od około dwudziestu do pięćdziesięciu lat temu. Kiedy będziemy mieć trochę więcej czasu, powinienem być w stanie określić to z większą, prawda, dokładnością. – Rozkłada ręce. – Może.

– A więc mówisz, że coś mogło się wydarzyć pomiędzy rokiem sześćdziesiątym piątym a dziewięćdziesiątym piątym? – Pomiedzy brwiami Stiny pojawiła się zmarszczka. – Czyli nie wiesz więcej niż wcześniej?

– Wiem zdecydowanie więcej. Ale nie w kwestii, prawda, wieku denata.

Dan patrzy na stół. Ustawa o przedawnieniu po dwudziestu pięciu latach od zabójstwa została znowelizowana w dwa tysiące dziesiątym roku i te przestępstwa już się nie przedawniają. Ale istnieją pewne wyjątki, które powodują, że może nie mogliby ująć zabójcy, nawet gdyby go znaleźli. Jednym z nich jest sytuacja, kiedy sprawca w czasie popełnienia morderstwa miał poniżej dwudziestu jeden lat. W takich przypadkach obowiązują stare przepisy. Drugi to jeśli zabójstwa dokonano przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym rokiem. Wtedy obowiązują stare zasady i przestępstwo uległoby przedawnieniu w dwa tysiące dziesiątym, kiedy weszła w życie nowelizacja.

Dan prostuje plecy. Miał spory udział w tym, że parlament podjął decyzję o zmianie prawa. Nowe metody prowadzenia dochodzenia, przede wszystkim z wykorzystaniem badań DNA, znacznie zwiększyły szanse na rozwiązanie starych spraw. Politycy podchwycili, że opinia publiczna, zwłaszcza bliscy ofiar, uważali, że szaleństwem było pozwalanie mordercom chodzić wolno z powodu przedawnienia, skoro on i niektórzy z jego kolegów po fachu byli w stanie te sprawy rozwiązać po latach. Jedyne problem z nową ustawą to o wiele większe obciążenie pracą, jako że wiele dochodzeń otwarto na nowo.

– Leżał w tym samym miejscu przez cały czas czy go przenoszono? – pyta Stina.

Dan powoli potrząsa głową.

– Nie mogę tego powiedzieć ze stuprocentową, prawda, pewnością. Całkiem pewne jest jednak to, że zwłoki rozłożyły się na miejscu. Tak że bardzo długo leżał

w ziemiance.

– Coś jeszcze, na czym możemy się oprzeć? – docieka Lovisa.

Dan spotyka jej wzrok. Wygląda na małą i kruchą, ale spojrzenie ma stanowcze. Słyszał, co się o niej mówi na korytarzach. Że daleko zajdzie. On sam ma wątpliwości. Nie wydaje się, żeby miała potrzebną do tego umiejętność wyciągania wniosków. W zasadzie wydaje się dość płytka i widać na kilometr, że jest karierowiczką. Ale może po prostu planuje zostać zwierzchniczką, a takiej osobie stawia się zupełnie inne wymagania niż prawdziwej policjantce.

– Znaleźliście jakąś biżuterię? Może obrączkę? Albo resztki ubrań czy butów? Cokolwiek...? – dopytuje Stina.

– Nie. Nic takiego.

Kobieta unosi brwi.

– Prawdopodobnie dlatego, że nic takiego tam nie było.

Stoją przez chwilę w milczeniu. Potem Stina na niego patrzy.

– Sprawca zabił przez silne uderzenie w tył głowy i kilka pchnięć ostrym narzędziem, którym mógł być nóż – podsumowuje Stina. – On, albo może ona, pozdejmował z ofiary całą ewentualną biżuterię, buty i ubrania i położył tego człowieka w najdalszym końcu ziemianki, ukrywając za ścianą z ziemi i kamienia? To twoja teoria?

– Zgadza się. I to, że nie znaleźliśmy nic innego o osobistym charakterze, dodatkowo wzmacnia według mnie teorię o tym, że został, prawda, zabity.

Stina potakuje.

– Zastanawiałem się nad tymi ranami – przerywa David i zakłada ręce na piersiach. – Czy siła uderzenia, która doprowadziła do zmiażdżenia czaszki, oraz fakt, że dwa ciosy trafiły w klatkę piersiową, a jeden w plecy, nie przemawiają za przypuszczeniem, że sprawcą nie była jedna osoba?

Dan patrzy na niego.

– Jak najbardziej, mogło tak być. Możemy też mieć do czynienia z większą liczbą uderzeń niż trzy. Nie możemy zobaczyć penetracji miękkich tkanek.

Lovisa kręci głową.

– A ja raczej mam przeczucie, że stoi za tym wielka wściekłość. Uważam, że wygląda na to, że ktoś był bardzo zły, wręcz wściekły na naszego denata, i bił

i uderzał bez planu.

Dan zamyka oczy i powoli je otwiera. Tylko mówią, bez żadnego poparcia dla swoich tez. Właśnie to odróżnia ich pracę od jego działalności. Oni mogą spekulować i próbować dojść do rozwiązania przez dyskusję, podczas gdy w jego przypadku to dowody zawsze mówią za siebie.

– To również jest całkiem możliwe – potwierdza i powoli składa przed sobą ręce.

Lovisa wbija w niego wzrok.

– Tak, mi to naprawdę wygląda na czystą złość.

– Jak mówię, to, prawda, możliwe – powtarza Dan. – Nie wykluczam ani jednego, ani drugiego.

– A zęby? – dopytuje Stina.

– Do tego oczywiście musimy mieć podstawy – dodaje Dan i kręci w palcach cienkiego wąsa.

Ziarenko poirytowania zaczyna kiełkować. Nikt nie powiedział ani słowa o tym, że Dan wykonał dobrą robotę. Stał pochylony nad fragmentami kości przez całą noc i dzięki jego precyzji i dociekliwości pojawiły się dowody na to, że to było zabójstwo. A co dostaje w zamian? Tylko pytania. I jeszcze więcej pytań. Ale nie da się łatwo sprowokować. Wie, że jeśli uda się im rozwiązać tę sprawę, to dzięki niemu.

Robi kilka kroków w stronę krótszego boku z głową szkieletu i patrzy na czaszkę.

– Udało się nam stwierdzić, co już teraz mogłoby być interesującą, prawdą, informacją, że nasz mężczyzna miał bardzo zły stan uzębienia.

– A co w tym interesującego? Pewnie jadł za dużo słodczy. – Lovisa się śmieje i patrzy na Davida, szukając poparcia.

Dan spuszcza głowę. Czy ona próbuje być zabawna? A może naprawdę jest taka głupiutka? Zbieranie faktów to właśnie jego praca. Wszystko, dokładnie wszystko, może mieć wpływ na to, jaki będzie wynik dochodzenia. Nie potrzebuje siksy, która sobie z niego dowcipkuje.

Rozdział 30

Didrik Mörck patrzy na swoją nogę. To, co wystaje z nieporadnego opatrunku, jest bezkształtne, sine i spuchnięte. Pod naciskiem palca formuje się białe wklęsnięcie, które powoli zanika. Pulsuje i boli do zarąbania. Nie jest przyzwyczajony do takiego bólu.

W pewnym sensie lubi to uczucie. Jest tak namacalne. Tak silne i wyraźne. Przez więcej niż połowę życia był przygaszony, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie, z powodu leków, które w siebie łądował. Prawie zapomniał, jak to jest czuć. Teraz, kiedy już nie zażywa proszków, z jednej strony rzeczywiście przyjemnie coś czuć, ale cierpienie jest też męczące. Dają o sobie znać zarówno noga, jak i stary uraz pleców i głowy, ale również te wszystkie uczucia, które go fatygują, rozdierają i powodują, że raz chce mu się krzyczeć, a raz śmiać. To bardzo dużo naraz. Tak przytłaczające. Tak wielkie. Cały czas domagają się jego uwagi. Chcą się wydostać.

I wspomnienia.

Są najgorsze.

Chce je wypuścić. Bo są tam. Tuż pod powierzchnią. Uchwytne. Ale w tym samym momencie, kiedy chce je złapać, wyslizgują się.

To przez ból. Trudno mu się skoncentrować na czymś innym niż te uderzenia i wybuchy. I musi myśleć. Ważne, żeby potrafił i mógł zakończyć te wszystkie ścieżki myślowe, które się rozszczepiają, zanim dojdą do końca.

– Potrzebuję czegoś od bólu – mówi krótko. Nachodzi go nagła, zimna złość i odkopuje na bok stołeczek, na którym opierał nogę.

– Nie mam nic więcej. – Mężczyzna, który dopiero co rozłożył się na kanapie, się wzdryga. – Przecież mówiłem.

Didrik prycha. Pulsuje mu i pulsuje w głowie. Czemu mężczyzna nie może mu pomóc?

– A możesz coś załatwić?

– Mogę ci dać kilka dodatkowych tabletek przeciwbólowych.

Uderza pięścią w stół. Wyciąga się po laskę, którą sprawił mu mężczyzna. Jest czarna i piękna, z czarnego lakierowanego drewna i z rączką z ciężkiego srebra. Dobrze leży w dłoni. Didrik podpira się, niezdarnie wstaje i zaczyna kuśtykać tam i z powrotem. Ból jest demoniczny i wciąga go w głąb czarnej dziury.

– Te twoje tabletki przeciwbólowe! – krzyczy do mężczyzny. – Potrzebuję mocniejszych. Nie rozumiesz?

– Tak, tak, rozumiem, ale...

Didrik zatrzymuje się i gapi na niego. Siedzi tak sobie. Teraz rozumie. Mężczyzna chce się go pozbyć ze swojego domu. Ale był głupi. On już nie chce mu więcej pomagać. Zamiast tego, snuje plany, jak odesłać go z powrotem.

Didrik ściąga brwi, ból głowy nie ustępuje. Mężczyzna dokądś dziś wyszedł. Powiedział, że pracował. Ale to nieprawda. Przecież on nie ma pracy?

Przestał też patrzeć mu w oczy. Patrzy w bok, kiedy ma mu odpowiedzieć. To judaszowy znak.

Wyda go. W dowolnej minucie policja może zapukać w drzwi i zabrać go z powrotem.

Ale on nie może wracać. Jeszcze nie.

Zatacza się. Widok blond włosów miga mu przed oczami i kładzie na nich rękę.

Krew.

Jasny blond.

– Didrik. – Słyszy głos i czuje na ramieniu rękę. – Didrik?

– Kurwa! – krzyczy. Skurcze na twarzy nie chcą ustać. Nie potrafi ich kontrolować. Czuje, kiedy nadchodzą, ale nie potrafi ich powstrzymać. Ból, który tnie. – Dlaczego nie chcesz mi pomóc?

– Chcę, ale nie wiem jak.

– Lekarze. – Twarz wykrzywia mu się w skurczach. – Czy lekarze nie mogą czegoś zrobić?

Ludzie, którzy mieszkają w tym domu, są przecież lekarzami. W domu z ziemianką.

To do nich napisał.

Dlaczego to zrobił? Unosi laskę i uderza o czoło. To była ziemianka. Coś się tam stało, ale on nie wie co. Nie potrafi sobie przypomnieć, niezależnie od tego, jak bardzo próbuje. Tylko fragmenty się przebijają.

– O jakich lekarzy ci chodzi? Przecież nie możemy cię zabrać do szpitala. Sam to powiedziałaś.

– Lekarze w tym domu. Na pewno są w domu. – Didrik strzepuje z siebie jego rękę. Nie chce jej na sobie czuć. Nie lubi jej. – Lekarze zawsze mają w domu silne tabletki. Muszę je dostać.

Rozdział 31

Stina rzuca spojrzenie w stronę Lovisy. Ona dalej stoi i się śmieje, jasno i dźwięcznie, z twarzą, z której bije pewność siebie. Teraz, kiedy ją widzi, Stina nie może pojąć, że kiedy była nowa w grupie, widziała siebie jako jej mentorkę. To zupełnie nie do ogarnięcia, że odczytała jej przyczajoną ostrożność jako nieśmiałość. W rzeczywistości to jej sposób na obserwację i nauczenie się dynamiki w zespole. Kiedy już wszystkich rozgryzła, wysforowała naprzód i czerpała z tego zyski. I to porządnie.

Lovisa nie potrzebuje jej mentoringu. Za to potrzebuje jej stanowiska. Jako kroku w karierze. Bo Lovisa to karierowiczka, która mierzy o wiele dalej niż miejsce, w którym się obecnie znajduje.

Stina czuje na sobie wzrok Dana i odwraca się ku niemu.

– Czy możemy z tych zepsutych zębów wyciągnąć jakieś wnioski?

– Nooo, w zasadzie nie. To mogłoby oznaczać, że nie był Szwedem, bo ogólnie ludzie w naszym kraju mają dobry stan uzębienia.

– Albo bał się dentysty – dodaje Lovisa.

– Tak, oczywiście, tak też może być – zgadza się Dan.

– Ale powinniśmy być też świadomi, że kiedy ten mężczyzna zmarł, powiedzmy sobie, trzydzieści lat temu, był przed czterdziestką. To oznacza, że dorastał w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a wtedy stomatologia z ubezpieczenia powszechnego wyglądała inaczej niż dziś.

– Pani od fluoryzacji jeszcze się nie narodziła – mówi David.

– Nieprawda. – Dan pociera palcami przy wysokim zakolu. – Ciocie od fluoryzacji wprowadzono do szwedzkich szkół już w latach sześćdziesiątych. To oznacza, że ten tutaj mógł, prawda, dostać w życiu kilka dawek, ale bynajmniej mu nie pomogły. On...

– Mimo wszystko sprawdź, czy uda ci się uzyskać jakąś kartę dentystyczną – przerywa mu Stina.

– Oczywiście – odpowiada Dan i wygląda, jakby miał się przed nią pokłonić.

– Coś jeszcze?

– Tak. Denat kilka lat przed śmiercią doznał pęknięcia kości ponad prawą górną szczęką i na brodzie. – Podchodzi do czaszki i wskazuje miejsca. – Zobaczcie tu, pod okiem. I tu, na żuchwie.

Stina śledzi jego palec wskazujący i widzi zagłębienie w czaszce i szczyrbę w kości jarzmowej.

– Czy obrażenia mogły być aż tak poważne, że szukałby pomocy lekarskiej?

Dan podnosi wzrok.

– Tak, zdecydowanie. Trudno ustalić, kiedy dokładnie mu się to stało, wiadomo tylko, że był już, prawda, dorosły. Powinien też mieć jeszcze za życia dość spore blizny po tych złamaniach, co może ułatwić identyfikację.

Stina kiwa głową z zadowoleniem. To by naprawdę zmniejszyło pulę. Może się nawet okazać, że ustalenie tożsamości pójdzie bardzo szybko. Odwraca się do Lovisy.

– Zobacz, czy znajdziesz coś pasującego w służbie zdrowia.

– Oczywiście – mówi policjantka i szybko notuje.

– Sprawdź też listy zaginionych w... – myśli głośno Stina. – Weź lata od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego aż do dwutysięcznego, bo jeszcze nie jesteśmy pewni, kiedy zmarł. Zrób krótką listę przez wykluczenie kobiet i dzieci, mężczyzn o innym wzroście i wieku i wszystkiego innego, na co wpadniesz.

Lovisa potwierdza kiwnięciem głowy i zapisuje dalej.

– Coś jeszcze? – zwraca się Stina do Dana. – Czy znaleźliście coś ciekawego w ziemiance?

– Nie. I to jest samo w sobie trochę dziwne. Takie miejsce powinno być często odwiedzane przez dzieciaki z okolicy. Ale nie znaleźliśmy żadnych śladów. Możemy chyba wywnioskować, że była tak dobrze zakamuflowana, że jej nie znalazły.

– Simonssonowie raczej nie wpuszczaliby dzieciaków do ogrodu.

– A staruszka, która tam mieszkała, była trochę dziwna – dorzuca Lovisa. – Może się jej bały?

– Możliwe – potwierdza Dan i znów odwraca się do Stiny. – Jedyne, na co natrafiliśmy, to kawałek papierka po czekoladzie. Zidentyfikowaliśmy go jako opakowanie czekolady mlecznej marki Marabou z lat siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych.

Lovisa głośno się śmieje i macha długopisem.

– No to mamy związek z zepsutymi zębami.

Stina ją ignoruje.

– Skąd to wiesz?

– Papierek. Wiemy, że w tym czasie firma odeszła od ikonki marabuta i wprowadziła czerwone litery w logotypie. Dzięki temu i kilku innym charakterystycznym elementom, które zmieniono w latach dziewięćdziesiątych, możemy zidentyfikować opakowanie całkiem dokładnie.

– Czy to zabójca mógł go tam zostawić?

– Tak, to dość wysoce prawdopodobne. Ale chcę podkreślić, że nie możemy wykluczyć, że znalazł się na miejscu zdarzenia później.

– A DNA ze śliny?

– Nieee, to byłoby trudne. – Potrząsa głową. – Ale, jak mówiłem, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, poszukamy i odcisków, i DNA.

Dan podnosi wzrok i patrzy na zegar na ścianie.

– Dobrze, jeśli nie macie nic innego, to wracam do pracy i dam znać, jak tylko uda nam się zdobyć kolejne, prawda, szczegóły.

– Dziękuję, że poświęciłeś nam czas – mówi Stina, podnosi torebkę z ziemi i idzie powoli w stronę drzwi.

David je przed nią przytrzymuje, a ona wychodzi i kieruje się w stronę schodów.

– No to co z urlopem? – pyta i odwraca się do Davida, idąc w dół po kamiennych schodach. Słyszy za sobą, że Lovisa odbiera telefon.

– Nie wiem, jak to będzie. – David przejeżdża dłonią po kilkudniowym zarościu. – Może gdzieś pojedę. A ty?

Stina dalej kieruje się w dół. Dobre pytanie. Czego ona właściwie chce? Pojechać gdzieś czy zostać w domu? Nie wie.

– Chciałam zarezerwować coś w ciepłych krajach – mówi. – Ale jeśli te temperatury się utrzymają, to równie dobrze możemy zostać tutaj. Za to dzieci

uważają, że fajnie byłoby gdzieś wybyć. Twoje też, jak sądzę?

– Tak. – Cichnie i się zatrzymuje. – Stina, wiesz...

– To córka – przerywa im idąca za nimi zasapana Lovisa.

Spieszyła się, żeby ich dogonić. Odwraca się do Davida.

– Nie dodzwonili się do ciebie, więc zadzwonili do mnie. Wyłączyłeś komórkę?

Policjant wyjmuje smartfona z kieszeni.

– Nie, tylko wyciszyłem. Zapomniałem włączyć dźwięki.

– Aha. To całe szczęście, że ja miałam swoje włączone. No więc, to była córka.

Wicie, ta która przyszła do Simonssonów. W zasadzie nie miała zbyt dużo do powiedzenia. Niewiele więcej niż to, że jej ojciec dość sporo tam bywał w latach siedemdziesiątych.

– Miała jakieś nazwiska?

– Nie. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby ojciec kogoś wspominał. Za to przekazała, że ojciec opowiadał, że kobieta była szalona, kilka razy wybuchła złością. Pewnego razu wzięła wielki szpadel i zdzieliła w tył głowy kogoś, kto tam był.

– Czyli była agresywna?

– Tak – potakuje Lovisa. – Ma w każdym razie poprzeglądać stare rzeczy ojca i zobaczyć, czy coś znajdzie. W sensie zdjęcie czy jakieś dokumenty.

– Dobrze. Ale wydaje mi się, że my też powinniśmy. Skontaktujesz się z nią ponownie i zabierzesz rzeczy?

– Tak – mówi Lovisa i wyjmuje telefon.

Stina szybko dogania Davida i kładzie mu dłoń na ramieniu.

– David, miałeś mi wcześniej coś powiedzieć?

Zatrzymuje się, odwraca do niej, otwiera usta i potem od razu je zamyka. Potem wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– Ech, to nic ważnego. Później o tym pogadamy.

Rozdział 32

Sten Dalbo idzie przez korytarz i czuje na plecach palący wzrok policjantów. Wciąga głęboko powietrze, otwiera drzwi do pokoju konferencyjnego i odwraca się do przybyłych. Choć ich obecność wzbudza w nim nieprzyjemne uczucia, nie może powstrzymać dziecinnej dumy z pomieszczenia, które przed nimi otwiera. Nowoczesne wysokie okna wpuszczające mnóstwo światła. Meble, które jeszcze pachną nowością. Wykładzina na podłodze i projektor na suficie. Wszystko tak fundamentalnie inne niż w starych podniszczonych budynkach z cegły w Restad Gård. I to on jest szefem tego wszystkiego. Tego kompleksu.

Posyła im skinienie głowy.

– Pomyślałem, że możemy tu usiąść.

– Dziękuję, dobrze – mówi wysoka policjantka Stina Seger i mija go.

On zauważa, że ma zgrabną, szczupłą figurę, ale całość wrażenia psuje nieprawidłowa postawa, która, jak mu się wydaje, bierze się stąd, że policjantka od zawsze uważa się za zbyt wysoką. Siada na krześle najbliżej drzwi. Na jego miejscu.

– No – zagaduje kobieta i patrzy na niego. – Co może doktor opowiedzieć o Brinkåsen?

Nie bardzo mu się podoba, że to ona przejmuje dowodzenie i od razu przechodzi do sedna, ale decyduje się tańczyć, jak mu zagrają. Im bardziej będzie bezproblemowy, tym szybciej się ich pozbędzie.

– Ośrodek był gotowy w dwa tysiące jedenastym i od tamtej pory jest w użyciu. Mamy w sumie osiemdziesiąt dwa łóżka: pięćdziesiąt cztery w zakładzie karnym dla psychicznie chorych i dwadzieścia osiem na oddziale psychiatrii ogólnej. Większość z naszych pacjentów ma poważne choroby psychiczne i popełniła czyny karalne różnego rodzaju. Często są to ciężkie przestępstwa i dlatego zachowujemy tu szczególne środki ostrożności. Jednocześnie wyznajemy filozofię, że osobista wolność poruszania się jest ważna dla osiągnięcia dobrych wyników leczenia. Dlatego pracujemy nad znalezieniem równowagi pomiędzy jednym i drugim.

Milknie na chwilę i patrzy na Stinę, po czym mówi dalej:

– Przykładamy też wielką wagę do dbania o skazane młode kobiety, które, jak uważamy, były w ochronie zdrowia traktowane po macoszemu. Nie chcemy, żeby tak tutaj było. Naszym zamiarem jest dać im więcej spokoju. Żeby na przykład nie musiały spotykać mężczyzn skazanych za przemoc w stosunku do kobiet.

Pochwała, którą zazwyczaj otrzymuje, kiedy opowiada o oddziale dla kobiet, tym razem się nie pojawia, i lekarz kładzie dłonie na nogawkach spodem do dołu i przeciąga nimi w górę i w dół. Odchrząkuje i mówi dalej:

– Chcemy też zająć się kobietami, które się samookaleczają, tak żeby czuły się tu bezpieczne.

– Wspaniale – podsumowuje Stina. – A jak łączycie wymogi bezpieczeństwa z osobistą wolnością poruszania się, którą pan tak chwala?

– To właśnie misja Brinkåsen. Że możemy połączyć bezpieczeństwo, wolność, integralność osobistą i dobre warunki leczenia w całość, która skupia się na dobru pacjenta – psychiatra zwraca się do Davida. – Pomyślałem, że możemy się przejść i zobaczyć nasze budynki. Dokładnie zrozumiecie, o co mi chodzi.

– Oczywiście. Za chwilę – odpowiada David. – Czy wszyscy pacjenci zostali przeniesieni z Restad Gård?

– Nie, ale Didrik Mörck tak. Uważaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli nadal będzie pod moją opieką, ponieważ pracowałem z nim od wielu lat. Ciągłość jest ważna w leczeniu.

– Jak często Didrik Mörck odwiedzał grób matki? – pyta Stina Seger.

Pytanie pojawia się nagle. Dyrektor zakładu odwraca się do niej i spotyka zmęczone oczy z ciemnymi obwódkami. Rozpoznaje objawy, kiedy je widzi. To jest kobieta, która coś w sobie nosi. Może to praca? Może coś innego? Ale to pewne, coś tam jest. To spostrzeżenie powoduje, że czuje się silniejszy i prostuje się.

– Dwa razy w roku.

– Wiedział, że zbliżały się odwiedziny?

– Tak, oczywiście. – Robi kilka kroków do przodu i odkłada niebieską teczkę Didrika, której gumki ledwo trzymają w ryzach spuchniętą zawartość. – Zawsze

odwiedzał grób matki w dniu jej urodzin i w rocznicę śmierci. Czyli trzeciego kwietnia i dwunastego lipca, to znaczy trzy dni temu.

– Czyli dla osoby, której towarzyszyły takie myśli, był to dość dobry moment, żeby uciec?

Psychiatra przypatruje się jej. Rozumie, co próbuje zrobić. Chce to obrócić tak, żeby wyszło, że to jego wina, że Didrik uciekł.

Poprawia okulary, odsuwa krzesło z czerwonym obiciem i siada na nim. Odchrząkuje.

– Pewnie można to tak ująć. – Nie zamierza wpadać w pułapkę. – Jednak nie było nic, podkreślam: zupełnie nic, co by sugerowało, że miał takie myśli. Didrik Mörck był osadzony od trzydziestu ośmiu lat i jest kimś, kogo nazywam perfekcyjnym pacjentem. Zawsze się dobrze sprawował. Nigdy nikomu nie przeszkadzał. Przebywał głównie sam ze sobą i zawsze dbał o swoje zobowiązania. Nie było powodów, żeby mieć jakiegokolwiek podejrzenia.

– A mimo to uciekł?

Sten Dalbo czuje, jak górna warga zaczyna mu drżeć, a żołądek zbija się w kulkę. Co oni wiedzą? Nie pracują z takimi ludźmi jak on. Jak mogliby pojąć, że taki typ mózgu jak Didrika jest nieprzewidywalny? Jest tak delikatny i skomplikowany. Tak nieopisanie trudny w interpretacji. A ci tu są... No, oni są tylko policjantami.

– Proszę mi pomóc zrozumieć – proponuje David, jakby czytał mu w myślach. – Ci, którzy tu siedzą, to nie są pierwsi lepsi. To osoby, które popełniły ciężkie przestępstwa. To tutaj lądują ci naprawdę chorzy. Ci, którzy są niebezpieczni dla siebie i społeczeństwa. Prawda?

– Zgadza się – przyznaje Dalbo. Może policja jednak coś rozumie. Nie ma łatwego zadania. To tutaj, do Brinkåsen, do niego, przyjeżdża wiele najcięższych przypadków. To na nim spoczywa bardzo duża odpowiedzialność. Większa, niż przeciętny człowiek kiedykolwiek zrozumie. Prostuje się. – I dlatego Brinkåsen jest zakładem drugiego stopnia, co oznacza, że mamy wysoki poziom bezpieczeństwa. Gdybyśmy podejrzewali, że Didrik ucieknie, siedziałby w zakładzie pierwszego stopnia. Jak ten, który macie w Göteborgu. Ale w naszej ocenie nie był skłonny do ucieczki.

Odchrząkuje i kontynuuje:

– On nie jest zdrowy. W przeciwnym razie nie byłoby go tutaj. Ale nie jest też potworem. Jak już mówiłem, jest bardzo ułożony.

– Ułożony? – Stina Seger patrzy ze zdziwieniem na kolegę, który znacząco unosi brwi. – Z pana tonu wynikałoby, że trafił tu niemalże przez przypadek.

– No nie, tak daleko bym się nie posunął.

– Nie, bo siedzi tu z pewnego powodu. Prawda? Nawet jeśli zachowuje się przykładowie, to nie jest zdrowy i nikt nie wie, co by narobił, gdyby wyszedł na wolność. Mimo wszystko zatrzymaliście go tutaj na trzydzieści osiem lat. Nie robi się tak z byle kim.

– To prawda.

– Mając to na uwadze, czy powinniście go objąć surowszym dozorem? – pyta policjant.

I znowu to samo. Chcą, żeby wyszło na to, że ma w swoim zakładzie zły nadzór. Chcą, żeby wyszło na to, że to jego wina. Chwyta za gumkę na aktówce i zaczyna za nią ciągnąć.

– Zgadza się i to...

– Dlaczego więc go nie miał? – przerywa mu policjantka.

– Ależ miał. – Puszczą gumkę i rozkłada ręce. – Ale proszę pamiętać, że chociaż Brinkåsen jest zakładem zabezpieczonym przed uciezkami, przykładamy dużą wagę do tego, żeby nasi pacjenci mogli wychodzić. To miejsce ma odtwarzać rzeczywiste społeczeństwo. Zbudowaliśmy budynki w formie okręgu, żeby uniknąć murów i ogrodzeń. W środku mamy park, otwarte przestrzenie i przeszklone ściany. Wszystko po to, żeby nasi pacjenci mogli wrócić do normalnego życia tak szybko, jak to możliwe. Kiedy Didrik był na grobie matki, miał ze sobą dwóch opiekunów. Dokładnie według naszych procedur i według tego, co w naszej ocenie było wystarczające.

Stina wbija w niego wzrok.

– Ale najwyraźniej to nie wystarczyło. A teraz na ulicach Göteborga mamy szaleńca na wolności.

Sten zamyka oczy i robi głęboki wdech. Nie ma znaczenia, co powie tym ludziom. Już dokonali oceny i wszystko zostanie obrócone przeciwko niemu.

Równie dobrze może przestać tłumaczyć. Lepiej już wykorzystać technikę odpowiadania na pytania, której nauczył go szef do spraw komunikacji.

Patrzy w górę.

– Mogę jedynie stwierdzić, że coś źle poszło, i w związku z tym przyjrzymy się naszym procedurom, żeby to nie wydarzyło się ponownie.

– No dobrze – kwituje policjant i wymienia z koleżanką porozumiewawcze spojrzenie. – W porządku. Niech się państwo przyjrzą swoim procedurom. Może trzeba było zrobić to wcześniej.

– Tak. Przykro nam z powodu tego, co się stało, i jak już mówiłem, przyjrzymy się procedurom.

Stina i David znów wbijają w niego wzrok.

– Jak już mówiłem... – powtarza Sten Dalbo i ciągnie za gumkę tam i z powrotem – ...przyjrzymy się procedurom.

Rozdział 33

Lovisa Douglas lubi prowadzić samochód. I jest tak dokładnie od momentu, kiedy w dniu swoich osiemnastych urodzin odbyła jazdę egzaminacyjną i zdała bez żadnych uwag. Problemem jest tylko to, że ma trochę ciężką nogę, i utrzymywała o wiele za dużą prędkość przez całą drogę od gmachu policji na Daltorpsgatan, czego jest w pełni świadoma. Ale nie może się oprzeć poczuciu wolności, które przepełnia ją w pędzie.

Parkuje bmw mini na ulicy przed domem Simonssonów. Wysiada, zamyka drzwi i idzie w stronę ścieżki wysypanej żwirkiem, która prowadzi do willi. Jeszcze dudni w niej uczucie szybkości, kiedy jej wzrok pada na zielony rower wojskowy z niedbale umieszczoną na bagażniku bluzą oparty o biały płot. Zatrzymuje się w pół kroku. Nie wygląda na tutejszy. Ani bluza, ani stary rower nie pasują do pedantycznego wystroju w ogrodzie Simonssonów.

Można w ogóle jeszcze takie gdzieś dostać? – myśli i idzie dalej. Kiedyś sprzedawano rzeczy z demobilu w dzielnicy Kviberg. Dało się tam kupić wszystko od kamaszy i zimowych płaszczy z kożuchem po stare ciemnozielone rowery. W dawnych stajniach Pułku Artylerii od wielu lat co weekend jest targ staroci. To zbieranina różności, od chleba i starych ubrań przez meble po odziedziczoną biżuterię. Poza tym jest tam sporo skradzionych przedmiotów. Smartfony, laptopy i to, co podebrano ze sklepu ICA, jak dezodorant czy pasta do zębów. Można nawet za niewygórowaną cenę odblokować skradzioną komórkę.

Kiedy uderzenia młotka zaczynają się odbijać po okolicy willowej, Lovisa poprawia na ramieniu czarną torbę na laptopa i przyspiesza kroku. Chyba nie są tak głupi, że już zaczęli pracę przy ziemiance, mimo że poinstruowano ich, żeby zaczekać?

Obchodzi róg domu i widzi kobietę i mężczyznę rozmawiających przed zestawem wypoczynkowym w ogrodzie. Od razu rozumie, kim są. Opis Juliette Simonsson w wykonaniu Melkera dokładnie się zgadza. Naprawdę wygląda jak laleczka.

Policjantka podnosi wzrok, żeby zobaczyć, skąd dochodzą odgłosy przybijania, i wysoko na drabinie z boku budynku widzi postać w niebieskich ubraniach roboczych. Woła:

– Halo!

Odwracają się w jej stronę, a ona unosi rękę w geście pozdrowienia.

Drobna kobieta zaczyna szybko iść w jej stronę. Twarz jest napięta, a czarne spojrzenie surowe.

– Nazywam się Lovisa Douglas – mówi szybko, trzymając legitymację w górze jak tarczę. – Jestem z policji.

– Ach! – odpowiada kobieta i twarz jej się rozluźnia.

– Mam przyjemność z Juliette Simonsson, jak rozumiem?

– Tak, zgadza się. A Arvida mamy tam. – Kobieta wskazuje mężczyznę, który zmierza w ich stronę.

– Chciałam oddać komputer. – Lovisa zdejmuje z ramienia torbę i wyciąga ją do nich. – Już nie będzie nam potrzebny.

– O, to dobrze. – Cieszy się Arvid, który podchodzi do żony i osłania ją swoim cieniem przed słońcem. – Naprawdę szybko poszło.

Lovisa kiwa głową.

– Akurat mieliśmy napić się kawy – oznajmia Juliette i robi gest w stronę mebli ogrodowych, tak jakby chciała nadrobić szorstkie powitanie. – Poczęstuje się pani?

Lovisa patrzy na widok za nią. Ułożone w stos cynamonki domowej roboty z warstwą cukru perłowego i prażonych migdałów na wierzchu wyglądają równie zachęcająco jak te na przyjęciach z sokiem z czasów dzieciństwa. Właściwie nie powinna, ale nie jadła obiadu, więc jedna mała bułeczka raczej nie zaszkodzi. Chyba może sobie na nią pozwolić po całym tygodniu na diecie niskowęglowodanowej i jednym utraconym kilogramie na wadze.

Podejmuje decyzję.

– Tak, chętnie zostanę na kawę i ciastko.

– I jak tam, udało się wyciągnąć z komputera coś przydatnego? – pyta Arvid po tym, jak usiadł. Wyciąga się w stronę termosu w tym samym czasie, kiedy Juliette podaje młodej kobiecie półmisek z bułeczkami.

Lovisa kiwa głową i bierze sobie największą.

– Tak. Udało się nam namierzyć nadawcę wiadomości i... – Policjantka milknie i patrzy na dwie zaciekawione twarze przed sobą.

To, co miała teraz powiedzieć, było właściwym celem przybycia tutaj. Normalnie nie są tak skorzy do oddawania materiałów z dochodzenia, ale zabrała laptopa przy okazji, skoro i tak się tu wybierała.

To Stina upierała się, żeby Lovisa pojechała osobiście. Ona uważa jednak, że równie dobrze mogłaby zadzwonić. Byłoby bardziej pragmatycznie. Przekazałaby informację i zaoszczędziła czas. Decyzja o zabraniu komputera była jej własną i możliwe, że ta sprawa jeszcze odbije się jej czkawką.

Stina bywała lekko zła, kiedy współpracownicy działali na własną rękę. To nie jest dobre kierownictwo. Będąc szefem, trzeba umieć delegować zadania i ufać swoim podwładnym, żeby pozwolić im osiągać wyniki. Trzeba w nich wierzyć i pozwalać im podejmować własne decyzje, żeby mogli się w swoich rolach rozwijać. Dowiedziała się tego wszystkiego na kursie „Organizacja i zarządzanie”. Wie dokładnie, co należy robić. Stina jest mimo wszystko po czterdziestce i już przez dobrą chwilę zajmuje kierownicze stanowiska. W tej sytuacji powinna sobie z tym radzić. Ale jeśli to komuś nie wychodzi, to może nie powinien być w miejscu, w którym jest Stina.

Tyle że nic nie można zrobić. Stina jest jej szefową. Potem Lovisa uśmiecha się sama do siebie. Na razie.

Zaczyna zdejmować papierek z pachnącej bułeczki i mówi dalej:

– Jak pewnie państwo rozumieją, nie mogę wchodzić w szczegóły. – Zaczyna, zdrapuje pozostałe okruszki z papilotki i wkłada je do ust. – Ale wydaje się, że mail przyszedł od pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Obydwoje zastygają i wpatrują się w nią.

– *Mon Dieu* – mówi w końcu Juliette, a czoło Arvida pokrywa się głębokimi fałdkami.

– Nie chcę państwa straszyć – opowiada dalej Lovisa, nieco zaskoczona tym, że wydają się tak podenerwowani – ale uważam, że to ważne, by państwa poinformować. Kolega i koleżanka z pracy właśnie odwiedzają zakład, z którego uciekł.

– Uciekł? – powtarzają obydwójce chórkami.

– No. – Policjantka gryzie się w dolną wargę. – Myślałam, że państwo wiedzą. Że przeczytali państwo w gazecie albo gdzieś.

– Chwileczkę. – Arvid przytomnieje i kładzie dłoń na ramieniu Juliette. – Czy to ta sama osoba, o której pisze dzisiejsza „Göteborgs-Posten”? Ten człowiek, który w latach siedemdziesiątych zabił dziewczynkę?

Lovisa potakuje. Nie przyjmują tej wiadomości zbyt dobrze. Właściwie wyglądają na lekko przestraszonych. Policjantka upija łyk kawy. Jest gorąca, świeżo zaparzona i smakuje wspaniale. Naprawdę, dawno już nie piła tak dobrej.

– Jaki to zakład?

Lovisa odstawia filiżankę.

– Brinkåsen w Vänersborgu.

– Brinkåsen – powtarza cicho Juliette.

– Znają go państwo?

Arvid chrząka.

– Tak, znamy go, niezłe rewelacje nam tu pani przynosi. Chociaż nie uważam, żeby to były specjalnie dobre wiadomości, doceniam, że zechciała pani do nas przyjechać i powiedzieć to osobiście.

Lovisa macha ręką.

– To oczywiste, że sprawy tego typu przekazuję osobiście. Jeśli mają państwo jakieś pytania, chętnie posłucham.

Juliette potrząsa głową i rozkłada ręce.

– Ale czego on od nas chce? I skąd mógł tak dużo wiedzieć o naszym domu?

– Tego nie wiemy. Jeszcze. Ale się dowiemy.

Bierze kolejny kęs bułeczki i czuje na podniebieniu wyborne nuty cynamonu i cukru. Przeżuwa powoli, napawając się ich smakiem, i popija łykiem kawy.

– Tak, znają państwo Brinkåsen i wiedzą, jakie typy tam siedzą. – Śmieje się krótko. – Czyli mamy do czynienia z osobą dość chorą i nieprzewidywalną.

Przeczytała teczkę, w której dogłębnie zdano relację z tego, co Didrik Mörck zrobił z dziewczynką. To była fascynująca lektura. Oczywiście, przestępstwo okazało się odrażające, ale kiedy jest się policjantką, nie można się za bardzo wczuwać. W jej zawodzie trzeba obserwować materiał obiektywnie i spróbować dowiedzieć się czegoś o człowieku stojącym za nim. Nigdy nie wolno zabierać

pracy do domu. Ci, którzy to robią, zaglądną do butelki, są przygnębieni albo mają zupełną znieczulicę i całkowicie stracili umiejętność odczuwania czegokolwiek. Taka nie zamierza się stać. Nie, ma zupełnie inne plany. I silne postanowienie działania według nich.

Uważa, że postępowanie Didrika Mörcka jest szczególnie interesujące. Bardzo metodycznie podszedł do maltretowania dziewczyny. Tak jakby chciał przetestować wszystko, co znajdowało się w repertuarze przemocy fizycznej. Ciąć, przypalać, bić, gwałcić, dusić. Ostatnie godziny życia dziewczynki musiały być niewiarygodnym cierpieniem. Wszystko, od śladów przypalania papierosami po wiele głębokich ran ciętych na całym ciele, po kolei przysparzało wielkiego bólu.

Czy ona w końcu dotarła do momentu, w którym się wyłączyła? Lovisa słyszała o czymś takim. O tym, że ciało przestaje odczuwać ból i broni się poprzez wyłączenie reakcji na bodźce bólowe i emocjonalne. Ludzie, którzy przeżyli coś takiego, najczęściej już nigdy nie wracają do siebie.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że on jest chory i nieprzewidywalny? – przerywa jej myśli Juliette. – Czy to on... – Milknie, a potem mówi dalej: – Czy to on zabił mężczyznę z ziemianki?

Lovisa patrzy w czarne oczy, które połyskują niepokojem, i rozumie, że zbyt szybko posuwa się do przodu. Uśmiecha się i próbuje wyglądać uspokajająco.

– To o wiele za wcześnie, żeby wyciągać jakieś wnioski. I na razie zupełnie nie da się określić, czego on chce i dlaczego się z państwem skontaktował. To znaczy, nie można stwierdzić, co ten typ chorego mózgu jest zdolny wymyślić. To może być wszystko. – Wkłada ostatni kawałek bułeczki do ust i przełyka. Potem unosi brwi i próbuje brzmieć poważnie. – Nie mam zamiaru, jak mówiłam, państwa straszyć, ale byłoby dobrze, jeśli w obecnej sytuacji zachowaliby państwo trochę więcej ostrożności.

– Tak, absolutnie, rozumiemy – zgadza się z nią Arvid i kiwa głową. – A jak wyglądają jego najbardziej charakterystyczne symptomy chorobowe?

– Moi koledzy są właśnie, jak już mówiłam, w zakładzie u lekarzy. Ja nie wiem na ten temat zbyt wiele. Ale był za kratkami przez kupę lat i – śmieje się – jeśli nie był wcześniej chory, to na pewno towarzystwo zrobiło swoje.

Arvid potakuje z zadumą, zachowując powagę.

– Pewnie ma pani rację. Zwłaszcza że był tam przez wiele lat. Eddy ma całą masę do opowiedzenia o ochronie zdrowia w psychiatrii. – Ruchem głowy pokazuje w stronę mężczyzny na drabinie.

– Właśnie, dlaczego tu nie przyjdzie? – pyta Juliette. Podnosi się i podchodzi do mężczyzny. – Przestań walić młotkiem i chodź na kawę.

– Wcześniej pracował jako opiekun medyczny na psychiatrii, zanim zamknięto wszystkie szpitale psychiatryczne – wyjaśnia Arvid. – A słuchając jego opowieści, nie chce się wierzyć, że to prawda. To zupełnie... – Potrząsa głową i nie kończy zdania.

Rozdział 34

Stina obserwuje Stena Dalbo. Drobna pociągła twarz i głęboko osadzone oczy, które patrzą na nią zimno przez zaskakująco nowoczesne okulary. Gdyby nie to, że naciąga i puszcza, naciąga i puszcza gumkę na teczce, jego mowa ciała wskazywałaby na to, że jest opanowany. Ale ten niewielki ruch go zdradza i Stina próbuje uspokajająco się uśmiechać.

– Mówi pan, że Didrik Mörck był pacjentem idealnym – ciągnie. – Takim, który był bez zarzutu i nigdy nie zrobił niczego, czego nie powinien, prawda?

Sten Dalbo kiwa głową.

– W takim razie zastanawia mnie, dlaczego on tu dalej jest.

Lekarz przechyla głowę.

– Co ma pani na myśli?

– Jeśli sprawuje się tak dobrze, jak pan mówi, to chyba jest zdrowy?

– O nie, zdrowy to on nie jest. – Sten Dalbo puszcza gumkę i składa ręce przed sobą.

Stina widzi, że obgryza paznokcie. W niektórych miejscach krew sączy się ze skórek. Z obrzydzenia ciarki przechodzą jej po plecach.

– Ale czy bycie zamkniętym przez tak długi czas nie jest niespotykane?

– Zgadza się. Ale Didrik Mörck jest schizofrenikiem. Schizofrenia to nie katar, z którego można się po prostu wyleczyć, raz-dwa.

– To rozumiem – mówi David, a Stinę dziwi jego cierpliwy głos. – Ale trzydzieści osiem lat to nie raz-dwa.

– Nie, lecz schizofrenię ma się najczęściej przez całe życie.

– Ale istnieją chyba różne kręgi piekielne. To znaczy może nie jest zupełnie zdrowy, ale żeby zostawać tu aż tak długo to chyba, no, jakiś rekord?

Sten Dalbo robi głęboki wdech i głośno odchrząkuje.

– Rozumiem, że może być państwu trudno zrozumieć złożoność choroby Didrika Mörcka, ale proszę mi wierzyć, że nie trzymamy tu pacjentów dłużej, niż to

konieczne.

– To proszę wyjaśnić tak, żebyśmy zrozumieli – wtrąca Stina. – Mówi pan, że on choruje na schizofrenię. Czyli tak jakby więcej osób mieszkało w jednym ciele, tak? W jednej chwili jest Didrikiem, a w drugiej szalonym mordercą?

Sten Dalbo pomrukuje zza okularów jak sowa. Stina nie jest pewna, ale wydaje się jej, że widzi, jak cień uśmiechu rozciąga kąciki jego wąskich ust.

– Obawiam się, że widziała pani zbyt wiele amerykańskich filmów. Tylko w nich ludzie zamieszkują osobowości wielorakie.

Teraz uśmiech już na dobre zagościł na jego ustach, co natychmiast podziałało na Stinę jak zapalnik. Co ten Dalbo sobie wyobraża? Jasne, że Stina wie, co to jest schizofrenia. Oczywiście, że przeczytała na ten temat wczoraj wieczorem. Zdaje sobie sprawę, że istnieją schizofrenicy, którzy wmawiają sobie, że są kimś innym. Na przykład Bogiem albo Jezusem, albo nawet Britney Spears. Ale według większości naukowców mitem jest, że istnieje więcej takich osób jak Norman Bates, który ma w sobie więcej osobowości. Istnieją jednak tacy, którzy twierdzą, że cierpią na osobowość wieloraką, i Stina chce wiedzieć, jak Sten Dalbo się na to zapatruje. Pochyliła się i czuje na ramieniu rękę Davida. Strzepuje ją i mówi dalej:

– Pytanie, które zadaję, jest uzasadnione – dodaje i brzmi spokojniej, niż się czuje. – Chcemy wiedzieć, jak pan stawia diagnozę. Istnieją tacy, którzy twierdzą, że wygodnie jest wymyślić sobie kogoś, kogo można obciążyć winą za popełnione przestępstwo, i dzięki temu wnioskować o leczenie zamiast więzienia. Jak w takim razie objawia się choroba Didrika Mörcka?

– Tak, no więc... – Sten Dalbo odchrząkuje i prostuje swoje już proste plecy. – Dokładnie, jak pani mówi, w społeczeństwie pokutuje błędne przeświadczenie, że schizofrenicy mają kilka osobowości.

Stina nieznacznie kiwa głową.

– Byłby pan tak miły i oświecił nas, zwykłych ludzi, czym w takim razie jest schizofrenia?

– Oczywiście. – Poprawia okulary. – Potem pochyliła się i uśmiecha. – Oczywiście nie wymagam, żeby państwo zrozumieli, co oznacza bycie schizofrenikiem, tak samo jak państwo nie wymagają, żebym znał się na państwa zawodzie. – Psychiatra szerzej otwiera usta i odsłania garnitur małych zębów przypominających mleczaki.

Stinie nie podoba się jego uśmiech. Nie ma w nim nic uprzejmego, jest raczej kpiący. Taki, jakim despoci zwykle obdarzają innych.

– Krótko mówiąc, schizofrenia to ekstremalnie poważna choroba psychiczna, którą wyróżniają trwałe defekty percepcji. Albo postrzegania rzeczywistości, jeśli państwo wolą.

Stina wzdycha do siebie i lekko potrząsa głową.

– A to oznacza?

– Hm. – Ściąga usta. – Jak by to klarownie wyjaśnić, żeby państwo zrozumieli...

– Unosi dłoń do czoła i pociera je, myśląc. – Powiedziałbym tak. U kogoś, kto cierpi na nieleczoną schizofrenię, zazwyczaj widzi się silnie zdezorganizowane myślenie, przywidzenia i halucynacje.

Stina unosi brwi.

– Mówi pan, że Didrik Mörck widzi i słyszy coś, co w rzeczywistości nie istnieje?

– Neeee. – Dalbo przechyla głowę do przodu i do tyłu, dalej pocierając czoło. – Takie proste to oczywiście nie jest.

Oczywiście, że nie, myśli Stina. A najtrudniejsze jest wyjaśnienie Stenowi Dalbo, że zwyczajni ludzie są w stanie to pojąć. On naprawdę się wysila, żeby zniżyć się do ich poziomu i spróbować znaleźć słowa, które rozumieją. Rozmawia tak też z pacjentami? Jeśli tak, to trudno się dziwić, że próbują uciekać.

– Nawet jeśli zaburzenia Didrika dotyczą przede wszystkim procesów kognitywnych, czyli myślenia, to mogą się u niego objawiać zarówno w sposobie zachowania, jak i w sferze uczuć. Ponieważ istnieje wiele symptomów, które mogą w rezultacie dać diagnozę schizofrenii, trudno powiedzieć, że to pojedyncze zaburzenie psychiczne. W rzeczywistości najczęściej jest ich więcej.

Stina rzuca Davidowi spojrzenie i potrząsa głową.

– Przykro mi, ale nie rozumiem, co właściwie ma pan na myśli. Jak to więcej?

Sten Dalbo kręci się na krześle i Stina wyczuwa u mężczyzny zniecierpliwienie.

– To znaczy, próbuję powiedzieć, że Didrik Mörck jest schizofrenikiem, ale zespół objawów gwałtownie się zmienia. Wiele zależy od okoliczności zewnętrznych, takich jak stres, brak snu czy coś, co głęboko zraniło osobę

doświadczoną chorobą. Kiedy coś takiego się dzieje, jego paranoja może przejść w aktywną psychozę.

Stina powoli kiwa głową.

– Na przykład jak wtedy, kiedy zamordował dziewczynkę?

– Jak wtedy, kiedy zamordował dziewczynkę – powtarza Sten Dalbo i kiwa głową, sztywno się uśmiechając.

Stina pochyla się i opiera brodę na dłoni. To, co on mówi, równie dobrze może być kluczowe. Jeśli dojdą do tego, co wpłynęło na psychozę Didrika, może wyjaśni się, dlaczego uciekł. Może nawet dlaczego zamordował.

– Myśli pan, że coś musiało się stać w związku z morderstwem? Coś naprawdę strasznego. Może był jakiś wyzwalacz, który zepchnął Didrika w przepaść.

– Didrik nigdy o tym nie mówił, ale tak, słusznie, można tak pomyśleć.

– Co to mogłoby być? Wie pan? – pyta David.

Sten Dalbo kręci głową.

– Nie da się tego stwierdzić. A ponieważ on sam nie może opowiedzieć, to...

– Jak to nie może? Chyba ma pan na myśli, że nie chce? – przerywa mu Stina.

– Nie. Mam na myśli, że nie może. Didrik ma PTSD, czyli zespół stresu pourazowego.

– Chodzi panu o to, że nie pamięta tego, co zrobił?

– Zgadza się.

– I tak naprawdę jest? – pyta David.

– To znaczy? – Sten Dalbo potrząsa głową, nie rozumiejąc.

– Czy można wykluczyć, że konfabuluje? Nie byłby pierwszy.

Dalbo śmieje się krótko.

– Naprawdę, można wykluczyć. Nikt nie może czegoś takiego zmyślać przez trzydzieści osiem lat. Nic nie pamięta. To akurat wiem.

– Skąd ta pewność? – drąży Stina. – Weźmy za przykład przypadek Thomasa Quicka. Nagle po latach psychoterapii odzyskał pamięć i przypomniał sobie zarówno zapomniane krzywdy z dzieciństwa, jak i to, że sam dokonał trzydziestu wcześniej niewyjaśnionych zabójstw. Ale potem, kilka lat po zakończeniu leczenia, cofnął swoje zeznania i już nie przyznawał się do morderstw. Nie mówię, że źle leczą państwo Didrika, tyle że nie rozumiem, jak może pan być taki pewny, że coś

podobnego nie dzieje się z nim. Thomas Quick zmyślał zbrodnie, których nie popełnił, a Didrik może pamiętać, ale tego nie mówi?

Sten potrząsa głową z poważną miną.

– Nie mogę się wypowiadać na temat przypadku Quicka, mogę jedynie stwierdzić, że nie da się ich porównać. Nie odpowiadam za to, jak wyglądało tamto dochodzenie, jak pracuje tamta placówka. Jeśli chce pani dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej, musi się pani zwrócić do Säter.

Stina kiwa głową. Pogardy w głosie Stena nie da się z niczym pomylić. Nie lubi zakładu Säter. Czy te instytucje konkurują? Stina stuka długopisem w notes.

– Co wywołało ten zespół stresu pourazowego?

– Morderstwo, oczywiście. PTSD normalnie jest wywoływane przez olbrzymią traumę, która oznaczała zagrożenie życia albo poważne naruszenie granic, jak gwałt, napaść z kradzieżą czy pobicie. To...

Stina ciężko przełyka ślinę. Minęło już dwadzieścia lat, od kiedy to się wydarzyło, a mimo wszystko nie może w pełni kontrolować uczuć, kiedy przypomina jej się coś z tamtego wieczoru i tamtej nocy w Gamlestan. Jak była zamknięta i związana i nie wiedziała, czy wyjdzie z tego żywa. Potrząsa głową. Nie zamierza pozwolić się temu zdominować. Ciągłe szuka tych, którzy jej to zrobili, a w dniu, w którym ich znajdzie, zemści się i będzie mogła przestać o tym myśleć. Zmusza się do dalszego słuchania Dalbo.

– ...to nie on sam był na to narażony. To on kogoś naraził. I to wywołało długotrwały zespół.

– Czy Didrik wykazuje zachowania przemocowe? – pyta David.

Sten Dalbo przechyla głowę.

– To jeszcze jedno częste nieporozumienie, że schizofrenicy mają skłonność do agresywnych zachowań. Przeważająca większość schizofreników nie jest niebezpieczna.

– Ale teraz nie mówimy o większości – wtrąca Stina. – Mówimy o Didriku, który zgwałcił i zamordował młodą dziewczynę. Przeczytałam raport z obdukcji i to była jedna z najbardziej popierdolonych rzeczy, jakie widziałam przez wszystkie moje lata w policji. Obrażenia, które ona... – Kręci głową. – Jeśli to nie

jest klasyfikowane jako przemoc, to nie wiem, co jest przemocą. Tak że akurat w tym przypadku chuj wie, czy to jest nieporozumienie. A co pan powie?

Twarz Stena Dalbo zastygła.

– Zgadza się – reaguje zwięźle. – To było bardzo brutalne morderstwo. Ale to nie takie proste. Popełnił je z konkretnego powodu.

Stina macha ręką i czuje, że za chwilę zacznie na niego wrzeszczeć.

– I jest nim...?

– Jak już powiedziałem, tego nie wiemy. To może mieć związek z jego dzieciństwem, ale nie jesteśmy pewni. Nie udało się nam uzyskać wystarczająco jasnego obrazu.

– Czy mogła to wywołać śmierć matki? – wtrąca David.

Sten Dalbo znów zaprzecza.

– Jego matka zmarła cały rok przed tym, kiedy to się wydarzyło. Oczywiście, miało to wpływ na stan Didrika, ale nie wydaje mi się, żeby to był wyzwalacz.

– Wie pan, dlaczego zachorował?

– To może zależeć od wielu czynników. Geny, środowisko albo nawet uraz przy porodzie.

– Zażywał narkotyki? – pyta Stina.

– O ile wiem, nie.

– Bo uzależnienie od narkotyków jest stosunkowo częste wśród osób ze zdiagnozowaną schizofrenią.

– To, co pani mówi, faktycznie się zgadza. Możliwe, że ma to związek z tym, że schizofrenicy często czują się śledzeni oraz na różne sposoby prześladowani i sięgają po narkotyki, żeby złagodzić symptomy. Można powiedzieć, że to rodzaj samoleczenia.

Stina odchyła się na krześle i zakłada ręce na piersiach.

– Ponad trzydzieści osiem lat i pewnie setki godzin terapii i do niczego tak właściwie nie doszliście.

Sten patrzy na nią i Stina po raz pierwszy widzi u tego niskiego człowieka coś, co przypomina uczucia. Może urażoną dumę zawodową? Frustrację z powodu tego, że nie udało się rozwiązać zagadki Didrika Mörcka? Czy dlatego on tu ciągle jest? Czy dlatego idealny pacjent spędza tutaj, w Brinkåsen, rok za rokiem pod opieką

Stena Dalbo? Nie dlatego, że nie poradziłyby sobie w społeczeństwie, tylko dlatego, że jest zagadką, którą szef ośrodka Sten Dalbo chce rozwiązać i napisać o niej artykuły naukowe?

– W waszym świecie wszystko jest albo czarne, albo białe – kwituje krótko lekarz. – Złodziej jest złodziejem i jeśli się nie przestrzega prawa, to zrobiło się źle. Niestety w psychiatrii nie jest to takie proste. Cały czas balansujemy na cienkich linach i coś, co jednego dnia może być krokiem do przodu, drugiego może być krokiem wstecz. Mamy tu do czynienia z ludzką psychiką. Jedną z najbardziej złożonych i skomplikowanych rzeczy na świecie. Leczenie schizofreników nie jest łatwe. Pacjenci najczęściej nie mają świadomości tego, że są chorzy. Nie rozumieją, dlaczego muszą kontynuować farmakoterapię, i przestają przyjmować leki. Z tego powodu Didrik musi tu dalej być. Po prostu nie odważyliśmy się go wypuścić.

Stina wzrusza ramionami.

– Rozumiem to wszystko i zdaję sobie sprawę z trudności. Ale chyba dotarli państwo do jakiegoś punktu?

Lekarz mruży oczy i trzyma przed sobą kciuk i palec wskazujący tak, że tworzą okrąg.

– Mózg człowieka jest tak trudny do zrozumienia, że nawet najbardziej wyrafinowane maszyny nie zbliżają się do skopiowania go. W przypadku Didrika byliśmy blisko przełomu, ale potem...

David kończy zdanie za niego:

– Ale potem uciekł?

Dalbo spuszcza wzrok i wzdycha.

– Właśnie tak.

Płomienna przemowa świadczy o dużym zaangażowaniu w pracę. Stina to szanuje, mimo że nie lubi Dalbo.

– Co to znaczy, że byliście blisko przełomu? – pyta.

– Po prostu zauważyłem, że zaczął się otwierać. Poczulem, że drzwiczki, które przez te wszystkie lata były zaryglowane, powoli, powoli się uchylają. To nie było nic konkretnego. Nic, co on powiedział albo zrobił, raczej przeczucie.

Przesiedziałem z nim tyle godzin na rozmowach, dokładnie tak jak elegancko wcześniej zauważyliście, że czułem różnicę, nawet jeśli była ledwie wyczuwalna.

Fala niesmaku przepływa po plecach Stiny.

– Czyli co chce pan przez to powiedzieć? Że pamięć zaczyna mu wracać?

Obserwuje ją w ciszy. Potem potakuje.

– Tak, tak myślę. Nie wszystko, ale niewielkie fragmenty. Nosi przecież w sobie wszystkie wspomnienia. Są tam. Gdzieś w środku.

Stina powoli kiwa głową.

– A co się stanie, jeśli nagle sobie wszystko przypomni?

Sten Dalbo unosi ramiona i patrzy na nią.

– Tak – mówi powoli. – To dobre pytanie. Bardzo dobre pytanie.

– Zapytałam wcześniej, czy był agresywny, ale nie dostałam satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Nie, nie dostała jej pani. – Lekarz składa ręce przed ustami. – Przez te lata, kiedy był u nas, nigdy nie był agresywny. Nigdy nie podniósł na nikogo ręki, nie wymknęło mu się nawet jedno złośliwe słowo. Ale jeśli zacznie sobie przypominać, możliwe, że wyjdą na światło dzienne strony, o których istnieniu wcześniej nie wiedzieliśmy. Prawdopodobnie pojawi się agresywne zachowanie.

Stina wymienia spojrzenie z Davidem. Didrik Mörck jest tykającą bombą. Znajdował się w warunkach ochronnych przez trzydzieści osiem lat i nagle coś w środku zaczęło mu buzować. Czy jego ciało przez cały ten czas coś wypierało? Coś, co chce się wydostać na zewnątrz?

I co, do jasnej ciasnej, się stanie, jeśli to się uwolni?

Rozdział 35

Lovisa śledzi wzrokiem stolarza schodzącego po drabinie. Mężczyzna ma na sobie jedno z tych brzydkich drewniaków z gumą, która popękała na szwach. Granatowe spodnie z żółtymi obszyciami i mnóstwem kieszeni. Pas wokół obfitej talii ugina się pod ciężarem narzędzi, a zwieńczeniem stroju jest T-shirt z ustami z wyciągniętym jęzorem Rolling Stonesów.

– Aha, fan Stonesów? – pyta Lovisa i wyciąga rękę w geście powitania, kiedy mężczyzna podchodzi do stolika.

Robotnik patrzy na nią głęboko osadzonymi oczami spod pomarszczonego, mięsistego czoła i nic nie mówi.

– No, koszulka. – Lovisa na nią wskazuje. – Lubi pan Stonesów?

Mężczyzna patrzy w dół.

– Ech – wzdycha i ciężko siada. – To tylko koszulka.

– Słuchaj, Eddy – zwraca się do niego Arvid. – Wygląda na to, że niestety mamy na ogonie pacjenta psychiatrycznego.

Mężczyzna, który ma na imię Eddy, szybko odwraca głowę w stronę Lovisy.

– Nie, nie. – Juliette śmieje się perliście. – Nie chodzi o Lovisę. Jest policjantką. Przyjechała tu, żeby opowiedzieć o człowieku, który skontaktował się z nami w sprawie ziemianki. Okazało się, że to zbiegły pacjent szpitala psychiatrycznego.

Lovisa widzi, jak Eddy zastyga, kiedy gospodyni mówi, że jest z policji. Ludzie różnie reagują na tę wiadomość, ale prawie nigdy nie przyjmują jej obojętnie. Część ma wyrzuty sumienia i zdaje się sądzić, że ich zapuszczają za cokolwiek, od podwędzenia jednego cukierka po zaparkowanie samochodu na miejscu dla niepełnosprawnych. Inni uważają, że to ciekawe, i proszą, żeby im opowiedzieć o pracy. To zainteresowanie najczęściej zanika, kiedy okazuje się, że w dziewięćdziesięciu procentach chodzi o rutynowy research. Dlatego zaczęła ubarwiać swoje opowieści. Na dwóch ostatnich imprezach mówiła o pościgach samochodowych i ofiarach porwań. Żadna z tych historii nie była całkowicie prawdziwa, obydwie były nieco pozmieniane, tak żeby stały się atrakcyjniejsze dla

słuchacza. Ale po zakończeniu tej sprawy będzie miała coś naprawdę smakowitego do opowiadania. Jak się tak zastanowić, to ta historia ma rzeczywiście wszystko. Stary niezidentyfikowany szkielet, zbiegły pacjent szpitala psychiatrycznego i brutalne morderstwo z torturami.

Uśmiecha się do Eddy'ego. Nie żeby go uspokoić. Lubi, kiedy ludzie nie tyle się boją, ile zachowują lekki dystans z powodu jej zawodu. Respekt. Lubi budzić respekt.

– No, panie Eddy – mówi. – Arvid opowiadał właśnie, że pracował pan jako opiekun na oddziałach psychiatrycznych.

– Tak jest. – Stolarz kiwa głową i kiedy podnosi rękę, żeby poprawić pasek, do policjantki dociera zapach potu. – Ale to było wiele lat temu.

– Eddy jest u nas i pomaga nam przy naszych projektach – wyjaśnia Juliette. – Czasem jest też tak uprzejmy, że opowiada nam o latach, kiedy pracował jako opiekun medyczny. Chociaż jesteśmy lekarzami, jest to dla nas zupełnie nieznaną świat i słuchamy o nim z dużym zainteresowaniem.

– Aha – odpowiada Lovisa. Didrik Mörck był w młodości zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. Ten cały Eddy może mógłby dać jej wyjątkowy wgląd w środowisko, w którym on wtedy przebywał. – Jak dawno temu?

– W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. – Odchrząkuje i kiwa głową w podziękowaniu Arvidowi, który dolewa mu kawy.

– Gdzie?

Mężczyzna wzrusza ramionami i wyciąga rękę w stronę cukierniczki.

– Tu i tam. Sporo zmieniałem. Właściwie we wszystkich miejscach, które były wtedy w Gotku.

– Co pan tam wtedy robił? – ciągnie Lovisa i bierze sobie z półmiska bułeczkę, nie myśląc o tym, co robi.

Eddy grzebie w cukierniczce masywną dłonią i wybiera parę kostek, które wrzuca sobie do filiżanki.

– Hm, wskakiwałem tam, gdzie byłem potrzebny. Robiłem w sumie wszystko.

Brzmi, jakby się hamował. Jakby miał do niej wielki szacunek i nie wiedział, co powiedzieć. Podoba jej się to. Uczucie władzy i wyższości. Lubi to tak bardzo, że już teraz zdecydowała, dokąd zmierza. Ministerstwo Sprawiedliwości to jej cel.

Idealnie. Policjantka na tym stanowisku to strzał w dziesiątkę. Nie, to ona byłaby idealną ministram sprawiedliwości.

Istnieje sporo wyzwań, które trzeba pokonać, żeby tam dotrzeć. Najprawdopodobniej znalazłoby się również sporo trupów, po których musiałaby przejść. Ale co z tego. Wie, czego chce, i jest gotowa o to walczyć.

– Eddy – mówi Juliette i nachyla się do niego. – Możesz chyba uchylić rąbka tajemnicy. Z przyjemnością posłucham opowieści o tamtych czasach. O wszystkim, co się działo w tamtych miejscach. O tych biednych ludziach.

Rozdział 36

Dwóch opiekunów medycznych stoi przed nimi i lampi się na nich oczami pozbawionymi wyrazu. Skrzyżowali ręce na piersiach i napinają mięśnie tak, że ich zielone koszule mocno zbiegają się na ramionach. Obydwaj są wytatuowani. Jeden ma czarnego tribala, który wystaje ponad kołnierzykiem z boku karku, a drugi chińskiego smoka, który wiję się w dół po przedramieniu, zachodząc na dłoń.

– No dobrze. – Stina patrzy w swoje papiery. – Vincent Konradsson i Conny Knekt. Może panowie usiądą?

Podnosi wzrok. Obydwaj potrząsają głowami.

– Nie, wolimy postać – mówi wyższy, Vincent Konradsson, i napina się tak, że smok w mocnych czerwonych i zielonych barwach wygląda, jakby się poruszał na skórze.

– Dobra. – Stina wzrusza ramionami. – Jak sobie chcecie.

Na chwilę milknie, kartkuje dokumenty, a potem patrzy na nich.

– Wiecie, że jesteśmy tu z powodu Didrika Mörcka. Próbujemy go odnaleźć, ale najpierw chcemy ustalić, jak mógł uciec. Proszę więc opowiedzieć, jak to się stało.

Obydwaj dalej się na nią gapią.

– Słucham – ponagla policjantka i wyciąga rękę w zachęcającym geście. – Kto chce zacząć?

Vincent rzuca koledze spojrzenie, a potem otwiera usta.

– Hm, co by tu powiedzieć. – Gestem pokazuje, że nie wie, co powiedzieć. – Po prostu uciekł, no.

– No, ykhn – chrząka Sten Dalbo, któremu pozwolono pozostać w pokoju i kładzie ręce na stole z lekkim stuknięciem. – Jak już mówiłem, w naszej opinii w przypadku Didrika Mörcka nie było ryzyka ucieczki. Uważam, że powinniśmy to wziąć pod uwagę jako pewnego rodzaju okoliczność łagodzącą. Zarówno Vincent, jak i Conny to dwaj z naszych najstarszych stażem współpracowników i przyjechali

ze mną z Restadu. Mają za sobą nienaganną służbę i nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło.

– Ale Didrik Mörck już raz wcześniej uciekł, prawda? To wtedy zgwałcił i zamordował dziewczynę. Tylko dlatego, że głosy w głowie mówiły mu, żeby to zrobił. Dlatego u was siedzi. Czy to nie powinno było sprawić, że będziecie trochę ostrożniejsi i że zastosujecie wszystkie możliwe środki ostrożności?

Nos Stena Dalbo drga, a on odchyła się na krześle i mówi cicho:

– Możliwe, że nasze procedury w tym przypadku zawiodły, ale...

– Więc wasza dwójka zawsze towarzyszy Didrikowi, kiedy on jedzie na grób matki? – przerywa mu Stina i zwraca się do dwóch pomocników.

Obydwaj szybko zerkają na szefa, a potem zgodnie kiwają głowami.

– Zawsze?

– Tak – ponownie zabiera głos Vincent. – Było tak przez ostatnich pięć lat. Poza jednym razem, oczywiście. – Kiwa głową do kolegi i krzywo się uśmiecha, odsłaniając żółte od tytoniu zęby. – Kiedy Conny’ego kręciło w brzuchu i został w domu ze sraczką. Wtedy zamiast niego pojechał Benny. Ale to tylko ten jeden raz.

– Hm – mówi krótko David i zwraca się do lekarza. – Powiedział pan wcześniej, że zauważył zmianę u Didrika. Czuł pan, że coś się zapowiadało. Mimo wszystko nie zrobił pan niczego, żeby zmienić nadzór?

Psychiatra prostuje się, odchrząkuje i obniża głos o jakąś oktawę.

– Codziennie robimy indywidualne oceny pacjentów. W tym przypadku stwierdziliśmy, że nie istniało żadne ryzyko.

Stina wbija w niego wzrok. Jeden z tych niebezpiecznych pacjentów w Brinkåsen, może nawet ten najniebezpieczniejszy, uciekł, a mimo to on tu siedzi i mówi o codziennych ocenach i że nie było ryzyka. Czy jest zupełnie oderwany od rzeczywistości? Nie rozumie?

– Żle państwo ocenili, po prostu.

– Tak, to znaczy, źle albo i nie...

Stina unosi brwi.

– Chcę jeszcze raz podkreślić, że mamy do czynienia z ludzką psychiką. Psychiatria to nie jest i nigdy nie będzie precyzyjna nauka. Nie możemy

wszystkiego przewidzieć.

– Ale ja wcale nie mówię, że powinniście. – Policjantka drapie się po szyi. – Za to możliwe, że powinniście umieć ocenić sygnały. I nie twierdzą, że absolutnie powinni państwo to zrobić, jednak chyba w tej sytuacji odrobina pokory by nie zaszkodziła?

– Takie rzeczy dzieją się też w służbie więzienniczej – odcina się Conny i wysuwa do przodu brodę. – Nie tylko od nas osadzeni nawiewają.

Stina kieruje wzrok na niego.

– Tak, to się może zdarzyć – odpowiada szybko – ale teraz mówimy o was, a nie o więziennictwie. Prawda? – Puka palcem o blat stołu. – A dokładniej: o was i o sytuacji, z którą mamy do czynienia tu i teraz.

W pomieszczeniu robi się cicho. Stina i Conny gapią się na siebie, aż David przerywa milczenie.

– Zauważyli panowie jakąś zmianę w zachowaniu Didrika?

Conny patrzy na Vincenta i obydwaj potrząsają głowami.

– Żadnej? Nie powiedział niczego nadzwyczajnego? Albo nie zrobił czegoś, czego wcześniej nie robił?

– Nie. Poza tym, że uciekł – ripostuje Vincent i znów obnaża zęby w grymasie.

Stina i David patrzą na niego i krzywy uśmiech znika z jego twarzy.

– Czy można powiedzieć, że stosunkowo łatwo uciec, jeśli osadzony się na to zdecyduje? – pyta David.

– Łatwo? – Vincent potrząsa głową. – Nie, na pewno tak bym tego nie ujął. Niełatwo stąd uciec.

– Ale to nie jest oczywiście niemożliwe – dodaje Sten Dalbo. – Nie przywiązujemy pacjentów. A opiekunom nie wolno używać przemocy.

– Didrik jest cholernym dziwakiem – wtrąca Conny. – On, nie wiem, jak to powiedzieć, ale tak jakby człowieka prześladował. – Patrzy na kolegę z pracy, Vincenta, którego skinienie daje mu paliwo do dalszego opowiadania. – Można sobie stać i ni stąd, ni zowąd on się po prostu zjawia. Skrada się zupełnie bezszelestnie i nagle stoi obok i oddycha ci prosto do ucha.

– Nazywamy go Zjawą – mówi Vincent i drapie się po ramieniu, tak jakby samo to określenie powodowało, że przechodzą go dreszcze.

– To jak wtedy, kiedy uciekł. To było strasznie dziwne. Dopiero co odpaliliśmy sobie po papierosie. Kilka sekund. – Mężczyzna zaciska powieki. – Chodzi mi o to, że na maks kilka sekund odwróciliśmy wzrok. W jednej chwili siedział nad grobem i nucił sobie tę piosenkę. Kiedy ponownie tam spojrzeliśmy, był już w połowie drogi i spierniczał z cmentarza.

– Skąd on to, do chuja kafla, mógł wiedzieć? – pyta Vincent i kręci głową z niedowierzaniem.

– Właśnie, skąd on, kurde, wiedział? – powtarza Conny. – Był odwrócony do nas tyłem. Ma oczy na karku czy co?

– Nie sądzę – kwituje Stina. – Powiedzieli panowie, że zawsze z nim jeżdżą, prawda?

Obydwaj potakują.

– Czy może być tak, że mają panowie pewne rytuały podczas tych wyjazdów?

– My? – dziwi się Conny. – Jakie znowu rytuały?

– Czy może być tak, że najpierw odprowadzacie go do grobu, cofacie się o kilka kroków, powiedzmy: kilka metrów, żeby mógł być chwilę w spokoju, i potem odwracacie się i zapalacie papierosa?

Conny i Vincent gapią się na Stinę z otwartymi ustami.

– Może trochę się rozluźniacie, bo robiliście to już wiele razy wcześniej i nigdy nic się nie stało. Może zapaliliście sobie po fajce, stojąc tam, pięćdziesiąt razy wcześniej, i za każdym razem zabierało to tyle samo czasu. Może tak być?

– Tak, to się może zgadzać. Ale... – Conny milknie.

– Powiedział pan, że on śpiewał jakąś piosenkę.

Opiekun kiwa głową.

– Zawsze tę samą, o ile dobrze myślę.

– Tak, tak, ale co to ma do rzeczy?

– To dobrze znany trik, żeby odmierzyć, ile czasu minęło. Śpiewasz piosenkę i kiedy dojdiesz do właściwego słowa, możesz precyzyjnie określić moment. – Wzrusza ramionami i robi szeroki gest ramieniem. – Najprawdopodobniej Didrikowi Mörckowi nie było specjalnie trudno przewidzieć, że również tym razem będą panowie postępować tak jak zawsze.

– Nie okej, może tak było – przyznaje Vincent i wyzywająco wysuwa brodę do przodu. – Ale to, kurde, nie wszystko. Od razu zaczęliśmy za nim zasuwać, a ten skubaniec już przeleciał przez bramę.

– Tak, można by powiedzieć: za szybko – dodaje Conny.

– Jak to za szybko?

– Wypadek.

– Co ma pan na myśli? – Stina nie słyszała o żadnym wypadku. Patrzy na Davida i kręci głową z dezaprobatą.

– Wyleciał prosto na drogę. Nie zauważył auta.

– Walnęło jak sto pieronów, kiedy przywalił w niego samochód – mówi Vincent.

– Wyleciał w powietrze jak kukielka i spadł dwa metry dalej.

– Byliśmy całkowicie pewni, że nie przeżył czegoś takiego.

– W każdym razie, normalny człowiek by wykitował.

– Ale zanim zdążyliśmy do niego dotrzeć, podniósł się. – Conny się otrząsa. – Diabeł wcielony...

Vincent dźga go łokciem w brzuch.

– No, to znaczy, nie miałem na myśli diabła, tylko no, Didrika, po prostu wstał, otrzepał się i podbiegł do samochodu. Jak jakiś pieprzony Superman albo ktoś, wytargał kolesia zza kierownicy, wziął sobie auto i pojechał. Nie rozumiem, jak wytrzymał to zderzenie. Normalny człowiek by nie wytrzymał. Proszę mi wierzyć.

– Ale coś sobie zrobił w nogę – mówi Vincent i kiwa głową dla podkreślenia swoich słów. – Wyglądała cholernie dziwnie i on tak jakby musiał ją chwycić i nastawić. Myślę, że ją, kurde, złamał.

Stina się im przygląda. Żartują sobie z niej?

– Czyli mówicie, że Didrik Mörck został potracony przez samochód, zrobił salto w powietrzu i spadł na ziemię tak, że złamał nogę. A potem po prostu nastawił sobie kość, wstał i podbiegł do auta, które go przejechało, i je ukradł. Ale dopiero po tym, jak wyrzucił z niego kierowcę?

– Tak – mówi poważnie Conny. – Dokładnie to mówimy. Powiedzieliśmy przecież, że to nieludzka siła.

– Jeśli mogę tylko coś dodać – odzywa się Sten Dalbo i ostrożnie wyciąga do przodu chudy palec.

Stina zerka na niego i gestem daje znak, żeby kontynuował.

– Wydaje mi się, że mogę znać wyjaśnienie, jak do tego doszło.

– Ach, tak? Chętnie posłucham.

– W dalszym ciągu oddziałują na niego leki i zachodzi wzmocnienie działania analgetycznego.

– I co to oznacza?

– Didrik Mörck cierpi z powodu urazu pleców, który przytrafił mu się pod koniec lat siedemdziesiątych, i dostaje leki przeciwbólowe. Poza tym przyjmuje haloperidol. Chodzi o to, że haloperidol wzmacnia działanie leku przeciwbólowego. Próg bólu Didrika jest zatem o wiele wyższy niż normalnie. Czyli to, co Conny i Vincent właśnie opowiedzieli, nie jest takie dziwne, na jakie wygląda.

Policjantka wpatruje się w niego.

– Chce pan powiedzieć, że mamy na naszych ulicach chorego psychicznie, potencjalnie skłonny do przemocy uciekiniera, który nie czuje bólu?

Doktor mruga za okularami w grubych oprawkach.

– Nooo, wcale nie wiemy, czy jest skłonny do przemocy.

– Nie, tego nie wiemy. Ale nie jest zupełnie nieprawdopodobne, że może tak być, prawda?

Dalbo drgają skrzydełka nosa.

– Prawda? – powtarza Stina, tym razem trochę ostrzej.

Mężczyzna niechętnie potakuje.

– Co się stanie, kiedy leki przestaną działać? – pyta David. – Bo on chyba nie ma niczego ze sobą?

– Ależ ma. – Sten się uśmiecha i kiwa głową. – Zawsze ma w kieszeni mały zapas. To nasza procedura zwiększająca bezpieczeństwo. Kiedy pacjenci wyjeżdżają na wycieczki, zawsze mają mieć ze sobą leki, na wypadek gdyby wydarzyło się coś, co spowoduje, że nie będą mogli się do nas dostać. Więc ma ze sobą tyle, żeby przetrwać kilka dni.

– Przy założeniu, że je bierze.

– Tak, oczywiście.

– A co się stanie, jeśli nie przestanie?

– Haloperidol jest metabolizowany i wydzielany powoli, więc efekt utrzymuje się przez stosunkowo długi czas. – Psychiatra ciągnie się za płatek ucha i się zastanawia. – Ale po kilku dniach widzę dwa możliwe problemy. Jeden, to że jego przywidzenia mogą to skomplikować, a drugi, że ból spotęguje problemy.

– Jak te urojenia mogą to skomplikować według pana?

– Prosto rzecz ujmując, jego halucynacje i urojenia mogą sprawić, że zobaczy i odbierze rzeczy, które nie istnieją. Może się rozwinąć silna paranoja i może mu się wydawać, że ludzie go gonią i chcą mu zrobić krzywdę. Jest bardzo zależny od leków, żeby utrzymać symptomy choroby w ryzach. – Robi głęboki wdech i krzywo się uśmiecha. – Najlepiej byłoby, gdy udało się wam go znaleźć. – Gryzie paznokieć na kciuku i dodaje: – Szybko.

Rozdział 37

Eddy bierze kostkę cukru i wkłada ją sobie do ust. Potem podnosi filiżankę i pije kawę, siorbiąc, a na koniec głośno mlaszcze. Sposób, w jaki to przeciąga, powoduje, że Lovisa sądzi, że wcale nie ma szczególnej ochoty mówić o czasach, kiedy pracował jako opiekun medyczny w szpitalu psychiatrycznym, jak mówi Juliette.

– Jaki typ ludzi tam był? – pyta Lovisa.

Mężczyzna na nią nie patrzy, a ona śledzi jego wzrok. Utkwił spojrzenie w osie, która wylądowała na półmisku z bułeczkami. Lovisa przygląda mu się, kiedy wyciąga ręce, składa je w miseczkę, a potem ostrożnie ją łapie. Następnie, kołysząc się z boku na bok, idzie w stronę żywopłotu, gdzie wypuszcza owada. Wraca, siada ciężko na krześle i wznosi w powietrze obłok potu.

– Typ nie typ – mówi. – Przeróżni ludzie. Wszyscy, od dostojnych pań z Vasastan z wymiocinami po ginie na futrach z norek po trzęsących się ćpunów i pofajdanych bezdomnych.

Nachyla się do cukierniczki i wyjmuje dwie dodatkowe kostki cukru, które wrzuca do swojej kawy.

– Proszę opowiedzieć. – Lovisa skatalogowała Eddy’ego w szufladce „mili”. Może nie jest najmądrzejszy, ale sympatyczny. I niegroźny. Być może całkiem łatwy do zmanipulowania.

– Nooo – zaczyna mężczyzna i z brzękiem miesza cukier w filiżance. – Chyba mogę coś opowiedzieć. Jak mówiłem, trafiali tam przeróżni ludzie. – Kiwa głową, przestaje mieszać, strzepuje kropelki kawy z łyżeczki, kładzie ją na spodku i przenosi wzrok na policjantkę. – Byli i tacy, którzy zachowywali się tak, jak człowiek sobie wyobraża prawdziwego wariata. Biegali, krzyczeli i wymachiwali rękami.

– Jak się nimi zajmowaliście?

– Hm, jak? Robiliśmy większość rzeczy. Nie dawali sobie rady sami. Jak byli obsrani, kiedy ich przywieźli, to trza było ich wykąpać. Czasami nakarmić.

Rozgnieść jedzenie i włożyć łyżkę do ust jak dzieciakowi. – Eddy kiwa głową i patrzy na Lovisę. – Trzeba było zawsze uważać. Nigdy się nie wiedziało, co im mogło strzelić do głowy. Mogło się z nimi siedzieć w spokoju i gadać, a nagle rzucali się do szczypania albo gryzienia. Potrafili nawet opluć. AIDS jeszcze wtedy na dobre się nie rozkręciło. – Unosi brwi. – A mimo wszystko uważało się na te splunięcia. Ohydne były, takie grudki ze śmierdzących ust. Nie myli zębów, więc gniły im w pyskach.

– Dlaczego nie myli zębów?

Eddy wbija w nią wzrok.

– A jak pani myśli? Mówię o ludziach, którzy robili pod siebie, bo zapominali pójść do ubikacji. Wielu nie umiało czytać. Kurde, wielu nie potrafiło nawet zapisać swojego imienia. Jak mieliby myć zęby?

Lovisa spuszcza wzrok.

– Rozumiem.

– Ale i tak najgorzej było, kiedy próbowali drapać – ciągnie mężczyzna i patrzy na nią, żeby sprawdzić, jak to przyjmie. – Długie brudne paznokcie, z brudem nie wiadomo skąd. Wtedy trzeba się było trzymać z daleka. Prawdziwe siedliska bakterii. Rany od takich pazurów prawie zawsze były zakażone.

Unosi ramię i odwraca je do góry. Trzy czerwone paski ciągnące się od nadgarstka przez prawie całą długość przedramienia aż do zgięcia łokcia.

– Jedna z moich pamiątek z Lillhagen – mówi i unosi drugie ramię z czerwoną blizną na dole przy przegubie. – I jeszcze jedna.

Lovisa marszczy czoło i przenosi wzrok na niego.

– Zdaje się, że to była niebezpieczna praca?

– Ech. – Mężczyzna wzrusza ramionami. – Najdziwniejsze było to, że mimo wszystko lubiło się tych idiotów. Chyba było ich człowiekowi żal. – Bierze kęs cynamonki. – Nie byli przecież wiele warci. Jak jacyś obywatele drugiej kategorii. Coś pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem.

Lovisa przechyla głowę.

– Było aż tak źle?

– Tak. Było aż tak źle. Nie mogli o siebie zawalczyć. Nie mogli mówić za siebie ani komunikować tego, co chcieli. Tym, kto szeptał im do ucha, co mieli robić, był

raz Bóg, a raz diabeł. Czasem ich zmarły pies albo nienarodzone dziecko.

– Byli przecież chorzy.

– Mhm. – Kiwa głową. – Byli, byli.

Zapada milczenie i Lovisa je bułeczkę pogrążona w myślach. Eddy wyciąga grubą spierzchniętą rękę po filiżankę. Trudno sobie wyobrazić, że ta ręka karmiła chorych. Jednocześnie kobieta pamięta, z jaką czułością Eddy zajął się osą.

– Część była dość szalona, jak do nas przyjeżdżali. Zazwyczaj dawaliśmy im haldol. To ich uspokajało. – Kiwa głową i wkłada sobie do ust kostkę cukru. – Niektórzy byli dzicy i musieliśmy im podawać leki. Więc musieliśmy zakładać grube rękawice i ich obezwładniać. My trzymaliśmy ich za ręce i nogi, a salowy dawał zastrzyk w tyłek. Kiedy już go dostali, szybko się uspokajali.

– Tak, efekt jest zazwyczaj całkiem natychmiastowy – potwierdza Arvid i kiwa głową.

– Ci najdzikszy przyjeżdżali często pod eskortą policji. – Eddy patrzy na Lovisę. – Dalej to robicie?

– Nie sędę. Chyba nie ma już takich instytucji? Większość jest zamknięta na cztery spusty i wariaci muszą sobie radzić sami. Obecnie jest chyba tylko kilka łózek w Gunnilse?

– Tak, dla tych, którzy popełnili przestępstwa i mają zaburzenia psychiczne, tak. Ale ci inni. Ci, którzy są po prostu chorzy... – Eddy ssie kostkę cukru i młascze.

– Można się zastanawiać, gdzie się podziewają. Ani szpitala Świętego Jerzego, ani Lillhagen już nie ma. A może staliśmy się zdrowsi?

Eddy zaprzecza gestem.

– Nie sędę. Wielu wracało. Przyjmowano ich i wypuszczano. Może się ich nie znało, ale kojarzyło z widzenia. Sporo osób nigdy nie dałoby sobie rady w normalnym życiu. Z płaceniem czynszu za mieszkanie, robieniem zakupów czy gotowaniem albo nawet dbaniem o higienę. Zostawali bezdomnymi, narkomanami i alkoholikami. Albo może wszystkim naraz.

Unosi filiżankę i głośno siorbie kawę, a potem ssie kostkę cukru, pozwalając jej się powoli rozpuścić w ustach.

– To nie była lekka praca. Większość osób nie wytrzymała zbyt długo. Niektórzy kończyli nawet tego samego dnia, którego zaczęli. Przyjeżdżali rano

w świeżo wyprasowanych białych ubraniach i zadzierali nosa. Potem, po jakiejś godzinie albo dwóch, kiedy ubrania były pokryte wymiocinami, odchodami albo krwią, już nie byli tacy pyskaci.

Lovisę przechodzą dreszcze.

– To musiało być trudne. Dla wszystkich.

– Tak. Trzeba umieć rozróżnić prawdziwy świat i ten za murami. W Lillhagen było jak małe państwo w państwie, w którym lekarze mieli władzę absolutną. Było bardzo klasowo, tak można to ująć. Najwyżej stali lekarze. Potem ci z wykształceniem medycznym, a pod nimi opiekunowie. A najniżej w hierarchii pacjenci. Wszyscy mieli nad nimi władzę totalną. Robili z nimi dokładnie to, co chcieli. Protesty nie pomagały.

– Mówi pan tak, jakby w murach szpitala nie zawsze było dobrze.

Mężczyzna kręci głową.

– Wielu z tych, którzy wylądowali na psychiatrii, nigdy nie powinno tam trafić. Ta gałąź ochrony zdrowia przyciągała ludzi, którzy lubili władzę. Mam tu na myśli jakiś rodzaj patologii. Tutaj mieli szansę decydowania o bezbronnych, którzy byli zbyt słabi, żeby móc się postawić.

– Czy każdy z ulicy mógł zostać opiekunem?

– W zasadzie tak – potakuje. – Bardzo wielu z nas przeszło z branży budowlanej do służby zdrowia.

– Z budowlanki?

– Tak, w Lillhagen w latach siedemdziesiątych dość sporo budowano i niektórzy z nas, budowlańców, dostali ofertę pracy jako opiekunowie.

– Aha – mówi Lovisa z wahaniem w głosie – ale czy pracownicy budowlanki naprawdę nadawali się do opieki nad chorymi psychicznie?

Mężczyzna się śmieje.

– Oczywiście, że nie. Co my wiedzieliśmy o opiece nad ludźmi ze zniszczonym wnętrzem? Gówno. Ale mieliśmy mocne szczypce. I byliśmy silni.

Rozdział 38

Brinkåsen jest imponującym kompleksem i oprowadzając po nim, Sten Dalbo czuje się szalenie dumny. Czternaście ceglanych budynków w różnych kolorach, ustawionych na planie okręgu wokół zadbanego terenu przypominającego park, mieści sześć oddziałów leczniczych, gmach główny z wejściem i świetlicę. Każdy oddział mieszkalny ma własny wewnętrzny, otoczony ogrodem dziedziniec, po którym pacjenci mogą się swobodnie poruszać, a wielkie przeszklone partie w ścianach wychodzących na dziedzińce dają wrażenie światła i wolności. Podziemny korytarz łączy budynki z zapleczem technicznym, które obsługuje cały kompleks, i w ten sposób oddziela się personel administracyjny od pacjentów. W każdej części mieszkalnej jest miejsce dla od sześciu do siedmiu pacjentów, z których każdy ma własny pokój z toaletą i prysznicem.

Didrik mieszka w trzecim budynku. Po drodze do niego Stinę uderza to, jak jest głucho i pusto. Odwraca się do Stena Dalbo.

– Gdzie są wszyscy pacjenci?

– Na obiedzie. Potem zajmą się różnymi aktywnościami. – Milczy przez moment. – Jesteśmy na miejscu.

Drzwi się rozsuwają i Stina wstępuje do pokoju Didrika Mörcka z Davidem tuż za plecami. Zatrzymuje się i rozgląda. Potem patrzy z powrotem na drzwi. Widzi, że są otwarte, i otrząsa się z nieprzyjemnego wrażenia przebywania w zamknięciu. Pokoik jest urządzone spartańsko i bezosobowo, z łóżkiem, biurkiem, komodą i półką na książki, wszystko w tym samym jasnym drewnie. Nie ma tu ani jednego ubrania na wierzchu, żadnej gazety, nawet zdjęcia. Nie ma tu nic osobistego, co zdradzałoby, że mieszka tu jakiś człowiek.

Czy może to mieć związek z utratą pamięci przez Didrika? Ponieważ on sam nie wie do końca, kim jest, być może nie potrafi również wyrażać siebie za pomocą osobistych przedmiotów?

Stina robi kilka kroków do przodu i staje na środku pokoju. Ściany są pomalowane na biało i wzdłuż jednej z nich na całej długości wisi półka na książki.

Jest pusta, jeśli nie liczyć obrazka z trzema galopującymi końmi na zielonej łące. Didrik dorastał z końmi. Dokładnie tak jak ona.

Pod obrazkiem jest łóżko. Wąskie, osiemdziesięciocentymetrowe, zaścielone z wojskową dokładnością i przykryte brązową narzutą. Dwie puchate poduszki oparte o ścianę sprawiają, że łóżko może też funkcjonować jako kanapa. Przed oknem obramowanym limonkowymi firankami jest szczodra nisza, w której Didrik może usiąść i patrzeć na łąki i lasy rozciągające się na tyłach kompleksu.

Stina podchodzi do biurka. Jest czyste i schludne. Samotny długopis stoi w pionowym piórniku, a na czarnej podkładce biurkowej ze sztucznej skóry leży notatnik na spirali. Stina otwiera go i napotyka pustą kartkę.

Podnosi wzrok. Półka to jedyna rzecz w pokoju, którą można by nazwać chociaż trochę osobistą.

– Czy on dużo czyta? – pyta kobieta, podczas gdy jej wzrok wędruje po wszystkim, od biografii i instrukcji przez szwedzkie kryminały Nesslera i Mankella po bardziej klasyczną literaturę Strindberga i Tołstoja.

– Tak, dużo.

Coś jej świta. Na małej pustej powierzchni pomiędzy słownikiem Akademii Szwedzkiej a książką o architekturze stoi podwójna ramka z dwoma zdjęciami, nie większymi niż trzy na pięć centymetrów. Robi krok do przodu i wyciąga po nie rękę.

– Kto to jest? – pyta i odwraca się z ramką w dłoni.

Sten Dalbo poprawia okulary, podchodzi i staje obok niej. Tak blisko, że Stina czuje jego zapach, odrobinę zatechły, jaki unosi się ze zrobionego na drutach swetra, który który stanowczo zbyt długo leżał złożony w szafie bez wietrzenia. Odsuwa się.

– To są jego rodzice... – Psychiatra wskazuje jedno ze zdjęć wyszorowanym do czysta palcem z obgryzionym paznokciem.

Fotografia wygląda na zrobioną jakoś w latach siedemdziesiątych i przedstawia uśmiechniętą parę młodych ludzi przed wielkim czerwonym domem. – A to – jego palec przesuwa się na drugie zdjęcie – to Cherie Andersson.

Stina wzdryga się i odwraca do niego.

– Dziewczyna, którą zabił?

Lekarz potakuje.

– Ale co pan, do cholery, mówi? – nie dowierza policjantka. – Trzyma na półce z książkami zdjęcie dziewczynki, którą zamordował? Jak pan może na to pozwalać?

– No. – Lekarz zbliża dłonie do siebie i składa je przed sobą.

Stina patrzy na niego, a potem znów na ramkę. Długie jasne włosy, jedna dłoń uniesiona do ucha, żeby odsunąć je z twarzy. Jest trochę nieostre, ale Stina widzi, że ona się uśmiecha.

– Czy to jest właściwe? To znaczy, jaką on ma z tego korzyść? Przeżywa ponownie to, co z nią zrobił, kiedy na nie patrzy, czy co?

– Nie, nie. Tak absolutnie nie jest.

– Nie?

– Nie, naprawdę nie. – Sten Dalbo znów składa ręce przed sobą. – To miłość. Dlatego ma to zdjęcie.

– Miłość? – Kobieta cofa się o krok. – Co ma pan ma myśli?

Mężczyzna wzdycha.

– To dość skomplikowane, ale faktem jest, że Didrik ją kochał.

Stina unosi brwi.

– Dziwny sposób okazywania miłości.

– Możliwe, ale to niczego nie zmienia. On ją kochał.

– Skąd pan to wie?

– Powiedział to.

– A pan polega na wszystkim, co on mówi?

Dalbo patrzy na nią i wybiera brak odpowiedzi.

– Czy rodzice dziewczynki wiedzą o tym zdjęciu?

Dalbo zaprzecza.

– Nie, nie sędzę.

Stina wpatruje się w niego. Naprawdę próbuje zrozumieć, dlaczego on pozwala na coś takiego, ale po chwili dochodzi do niej, że nigdy tego nie zrozumie. Inną rzeczą, której również nigdy nie pojmie, jest to, jak Didrik Mörck mógł oszukać lekarza, że czuł do ofiary właśnie miłość.

– Gdzie jest jego komputer? – pyta David i rozgląda się wokół.

Psychiatra odwraca się do niego.

– Ach, trzymamy go pod kluczem. Ma wyznaczone godziny, w których wolno mu go używać.

– Czy wszyscy pacjenci mają własny komputer?

– Nie, nie wszyscy. Tylko ci, którzy w naszej ocenie mają z tego pożytek w swojej rehabilitacji.

– A jaki pożytek ma z tego Didrik?

– Didrik jest bardzo głodny wiedzy, mogę dodać, że wyjątkowo inteligentny. – Wskazuje półkę z książkami. – Uważamy, że komputer pozwala mu zakotwiczyć się w rzeczywistości i nadążać za współczesnością.

– Musi pan to wyjaśnić. Świat wirtualny nie jest rzeczywisty. Wręcz przeciwnie.

– Nie, ech, proszę mnie zrozumieć, jeśli jest się tu zamkniętym przez tyle lat co Didrik, to świat na zewnątrz staje się dość abstrakcyjny. Proste rzeczy, które pani czy ja uznajemy za oczywiste, są dla pacjenta zupełnie obce. Rozwój technologiczny postępował w galopującym tempie w latach, kiedy Didrik pracował nad swoją rehabilitacją, i jesteśmy przekonani, że komputer pozwala mu być ze światem na bieżąco. Naszym celem jest, mimo wszystko, to, żeby Didrik mógł wrócić do społeczeństwa.

Stina potakuje i rozumie logikę. Wie, co o tym myśli David, i dokładnie tak samo jak on nie jest pewna, czy to jej się podoba. Komputer i świat wirtualny mogą być dobre, ale w nieodpowiednich rękach mogą być po prostu śmiertelne.

Rozdział 39

Lovisa marszczy czoło. Czy Lillhagen zatrudniał niewykształconych pracowników budowlanki do opieki nad ciężko chorymi i zaburzonymi psychicznie pacjentami? Czy siedzący przed nią mężczyzna o prostolinijnej twarzy mógł swoimi grubymi brudnymi rękami podawać ludziom zastrzyki i ich upominać? Kręci głową i nachyla się do Eddy'ego.

– Czyli mówi pan, że po prostu wysłano was do opieki nad pacjentami chorymi psychicznie. Z budowy prosto na sale szpitalne?

Mężczyzna potakuje.

– Zupełnie bez przeszkolenia?

– No, niezupełnie. Wszyscy opiekunowie na psychiatrii musieli przejść trzydniowy kurs, żeby nauczyć się najważniejszych rzeczy. Czyli jak działały zamki, jak ścielić łóżka, podnosić i kąpać pacjentów, nie robiąc sobie jednocześnie krzywdy. Reszty, czyli jak wbić zastrzyk pacjentowi, żeby się uspokoił, uczyło się stopniowo. Ale, wie pani, nas, budowlańców, raczej nie zatrudniono ze względu na nasze umiejętności opieki nad ludźmi.

– Trudno było znaleźć wykształcony personel medyczny?

– Tak. Ci wykształceni nie uważali psychiatrii za najlepsze miejsce. Ale nie tylko to. Chcieli nas w Lillhagen. Byliśmy duzi i silni. Wiele razy w najcięższych przypadkach właśnie to było potrzebne.

– Ale czy to naprawdę było właściwe?

Eddy zaprzecza.

– Nie – odpowiada, spuszcza wzrok i zaczyna pocierać blat palcem wskazującym, raz do siebie, raz od siebie. – Nie wszyscy znaleźli się na właściwym miejscu – dodaje cicho. – Wręcz odwrotnie. Część była tam dla poczucia władzy. Lubili być ponad innymi. Jeden z najgorszych przyszedł jednocześnie ze mną. Sporo pracowaliśmy razem na budowie i wtedy nie znałem go za bardzo od tej strony, ale jak tylko wszedł za grube białe ceglane mury, pokazał swoją prawdziwą twarz.

Policjantka czeka, aż Eddy będzie kontynuował.

– To był ktoś, kto chciał kontrolować innych. Napawał się ich niszczeniem. –
Mężczyzna milknie. – Był zły do szpiku kości.

– To znaczy?

Jego palec zatrzymuje się na blacie i były opiekun patrzy na Lovisę.

– On i jego grupa zmuszali pacjentów do przeróżnych rzeczy. Tylko dlatego, że
uważali, że to zabawne. niezmiennie

– Na przykład do czego? – Coś przelewa się jej w żołądku i kobieta pochyla się
na krześle. – Może pan podać przykład?

Eddy potrząsa głową.

– Do bardzo wielu rzeczy. Nie ma co do tego wracać.

Lovisa znów się w niego wpatruje. Chce wiedzieć więcej. W jakim środowisku,
tak właściwie, znalazł się Didrik Mörck, kiedy w młodości trafił do Lillhagen i jaki
to miało na niego wpływ? To wszystko było megainteresujące.

Rozdział 40

Sten Dalbo bierze głęboki oddech i czuje, jak powietrze wpływa do jego płuc. Niezbyt dobrze, że policja zauważyła to zdjęcie. Powinien był pomyśleć o tym, żeby je schować. Ale za to z komputerem nie będzie go mogła złapać. Mają teraz techników od informatyki, którzy w pełni kontrolują, na jakie strony wchodzi pacjenci. Jak tylko o to prosi, produkują długie listy z wykazem ruchu Didrika w internecie. A on nie zauważył niczego niestosownego. Więc jeśli policjanci zapytają, jaką kontrolę mieli nad surfowaniem Didrika, będzie całkowicie spokojny.

Prostuje się.

– Nasz główny informatyk może dokładnie powiedzieć, co Didrik robił w cyberprzestrzeni. Oczywiście zablokowaliśmy strony, które uważamy za nieodpowiednie, oraz te po prostu nielegalne. Poza tym regularnie wchodzimy w historię przeglądarek pacjentów i je kontrolujemy. U Didrika nigdy nie było nic, do czego można by mieć zastrzeżenia. Główne powody, dla których korzysta z komputera, to codzienna prasówka i zdalny kurs programowania. Poza tym rozwija swoje główne zainteresowania, czyli jeździectwo i architekturę.

– Czy ma telefon? – pyta Stina.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Po prostu go nie potrzebuje.

Stina patrzy na niego z uniesionymi brwiami i lekarz widzi, że nie rozumie dlaczego.

– Nie miał do kogo dzwonić – wyjaśnia psychiatra. – Jedynym bliskim Didrika jest jego ojciec, ale nie utrzymują kontaktu. Odwiedził go tutaj może kilka razy, nie więcej. Poza nim nie ma nikogo.

– Ale wie pan, że Didrik ma korespondencyjnych znajomych, prawda?

– Tak, oczywiście. Ma. I to jest coś, do czego zachęcamy. Dobrze jest wyrobić sobie kontakty w świecie poza naszą społecznością. Ale to nie są prawdziwi przyjaciele, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Mieliście kontrolę nad tym, co pisał?

– Oczywiście.

– Mhm – odpowiada Stina. – A co pisał?

– Nooo, głównie o swoich hobby, czyli koniach i architekturze. Czasem też sporo o literaturze, która go zainteresowała.

– Architektura? – pyta David i wyciąga zdjęcie z teczki Stena Dalbo. – Czy rozpoznaje pan ten dom?

Lekarz bierze do ręki fotografię, poprawia okulary na nosie, podsuwając mostek palcem wskazującym, i przygląda się budynkowi długo i dokładnie. Dom wydaje mu się znajomy, ale nie może go rozpoznać.

– Nie – odpowiada, podnosząc wzrok. – A powinienem?

– Nie wiem. Powiedział pan, że Didrik interesował się architekturą. Dokładnie ten dom leży w dzielnicy Göteborga Örgryte. Dziś już tak nie wygląda. Zdjęcie jest stare i od czasu, kiedy je zrobiono, budynek przeszedł remont i dość mocno go przebudowano. Ale nas interesuje to, że Didrik go chyba zna, bo dawał właścicielowi, który też jest jego korespondencyjnym znajomym, rady, jak przebudować ziemiankę w ogrodzie, i jeśli chodzi o część szczegółów, wyrażał się bardzo konkretnie.

– I? – Sten Dalbo kręci głową i patrzy na Davida, nie rozumiejąc, o co chodzi. – Nie bardzo wiem, w czym problem. Nie widzę w tym nic zdrożnego.

– Nie ma problemu – dodaje Stina. – Didrik był bardzo szczegółowy co do pewnych kwestii, jak już powiedział David. A kiedy właściciel postąpił tak, jak radził Didrik, to znalazł ludzkie szczątki.

Sten Dalbo wzdryga się, nim udaje mu się powstrzymać reakcję ciała. Potem przypomina mu się artykuł w „Kvällspresen” i już wie, dlaczego dom ze zdjęcia wyglądał znajomo.

– Rozumiem – mówi potem i powoli kiwa głową. Czyli dlatego tu są.

Gdzieś zapala mu się czerwona lampka. W zeszłym tygodniu podczas seansu hipnotycznego Didrik mówił coś o zmarłym mężczyźnie. Ale nie zatrzymywał się

przy tym zbyt długo. Ma tak rozczłonkowane myśli. Nierzadko zdarza się, że podczas hipnozy mówi o czymś nieprawdopodobnym. Ale czasami wplątują się tam prawdziwe wydarzenia. Miewa ciemne myśli o torturach i brutalnych otręsinach. To tak straszne rzeczy, że raczej nie mógł ich wszystkich doświadczyć, ale możliwe, że część z nich przeżył w młodości i teraz powracają w formie fragmentów zbrodni. To powoduje, że nie da się stwierdzić, co wydarzyło się naprawdę, a co jest snem. Sam musi to przesiewać. Ale jak tylko skończą, usiądzie i przesłucha ponownie całe nagranie. W zależności od tego, co powiedziano, może przekazać je policji. Oni nie muszą wiedzieć wszystkiego.

Potem dociera coś do niego i serce zaczyna mu mocniej bić. Znalezione zwłoki mogłyby sprawić, że na konto Didrika zostałyby dodane kolejne morderstwo. Czuje motyle w brzuchu. Przypadek Didrika właśnie stał się jeszcze bardziej ekscytujący. Kto wie, do czego to doprowadzi. Jak się to skończy dla pacjenta, oczywiście. Ale także dla niego samego.

– Świetnie, że pan rozumie – mówi Stina Seger i wpatruje się w niego. – Bo my nie.

– Nie, to znaczy... – Macha rękami w przeczącym geście. Nie zamierza tego omawiać z policją. Nie teraz. Najpierw sam musi to posegregować i zobaczyć, co będzie dla niego najlepszym rozwiązaniem. – Nie rozumiem, co za tym stoi. Ale rozumiem, że państwo się zastanawiają.

– Jak duże zagrożenie, w pana ocenie, stanowi Didrik na wolności? – pyta Stina. Dalbo znów potrząsa głową i tym razem odpowiada zupełnie szczerze.

– Tak naprawdę nie wiem. Sporo muszę przeanalizować. Czuję pewien niepokój z powodu tego, że uciekł i że się otwierał, dodatkowo prawdopodobnie przestał brać leki.

Obgryza paznokcie i dodaje:

– Tak jak mówię. Najlepiej byłoby, gdyby państwo mogli go szybko znaleźć i przywieźć tutaj. – Patrzy Stinie prosto w oczy.

Nieprzyjemne spojrzenie, którym kobieta zdaje się go na wskroś przenikać.

Sten ucieka ze wzrokiem.

– Tak – dodaje. – Znajdźcie go i jak najszybciej tu przywieźcie. Dla bezpieczeństwa wszystkich.

Rozdział 41

Sten Dalbo zaprasza ich na lunch. W jadalni dla personelu Brinkåsen można wybierać pomiędzy grillowanym kurczakiem, makaronem a wegetariańską tartą. Zarówno David, jak i Stina wybierają kurczaka i szybko jedzą podczas drętwej konwersacji, wypełnionej momentami niezręcznej ciszy. Dziękują za kawę, żegnają się z Dalbo i z ulgą przechodzą przez bramę w stronę volvo.

David otwiera drzwi samochodu i przeklina gęsty ukrop, który w niego uderza.

– Oż kurwa, ale gorąco – mówi i cofa się o krok.

– Jak myślisz? Jak niebezpieczny jest Didrik Mörck? – pyta nieporuszona Stina i otwiera drzwi po stronie kierowcy.

Kolega wzrusza ramionami, a jego wzrok zatrzymuje się na młodej kobiecie po drugiej stronie ulicy. Na smyczy trzyma dużego brązowego psa i przypomina mu Karin. Mężczyzna czuje ucisk w gardle i przenosi spojrzenie na Stinę.

– No, wyduś to z siebie – mówi, drapiąc się po brodzie. – Nie wiem, czy jakoś szczególnie więcej dowiedzieliśmy się z tego, co opowiedział Sten Dalbo. Oczywiście, rozumiemy, że Mörck jest chory, ale miałem nadzieję, że powie nam coś, co pomoże nam go znaleźć. A zdaje się, że on wcale nie wie, co nakręca Didrika.

– Właściwie to zupełnie niepojęte. Facet tyle lat siedział w zakładach, a oni niczego nie rozgryźli.

David kręci głową z niedowierzaniem, czuje, jak słońce pali mu czachę, a jego wzrok ponownie wędruje w stronę młodej kobiety z psem. Zdążyła podejść do szczytu wzniesienia. Za kilkanaście kroków zniknie im z oczu. To ta szara bluzka. Taką samą nosiła Karin. Bluzka i długi ciemny kok mu ją przypominają.

– David?

– Co?! – pyta głośno i gwałtownie odwraca się w stronę Stiny.

Jej wzrok. Pytający. Szukający. I rozumie, jak źle to zabrzmiało.

– To znaczy „co” – powtarza, tym razem cicho.

– Tak, powiedziałam, że czuję, że to zajebicie ważne, żebyśmy go szybko znaleźli.

– Tak – przyznaje policjant.

Ostatnie spojrzenie i kobieta znika. Trudno mu pojąć, że minęło zaledwie parę miesięcy, od kiedy Karin stanęła przed nim i wydawała się nieskończenie mała i delikatna w jego wielkiej szarej bluzie z kapturem z niebieskim napisem LAPD na piersiach.

– Ale co się z tobą, do diaska, dzieje? – niecierpliwi się Stina i robi parę kroków w jego stronę. – Weź się, kurwa, ogarnij! Jesteśmy w środku dochodzenia, a ty bujasz w obłokach.

Spotyka jej wzrok. Niebieski i twardy. W jej spojrzeniu nie ma już pytania. Teraz pobłyskuje w nim stal. Chce wiedzieć.

Płakał. Nie wtedy, kiedy to powiedziała, tylko później. Kiedy był sam. Nigdy by tego przed kimś nie zrobił. Nie powiedział nikomu w pracy, głównie z powodu strachu, że się rozklei, kiedy inni okażą mu współczucie. Może powiedziała by Lovisie. Ona nie jest zbyt uczuciowa. Albo wyrzuciłaby oczami i powiedziała, że to minie i coś w stylu „tego kwiatu pół świata”. Daj sobie kilka tygodni, a wszystko będzie lepiej. David nie znosi zbyt dobrze litości i pocieszających słów. Ale Stinie powinien chyba powiedzieć. Ona ma prawo wiedzieć. Decyduje się. Nigdy nie będzie idealnej chwili. Teraz jest równie dobra jak każda inna.

– Rozwodzimy się – oznajmia krótko.

– Co?

– Ja i Karin się rozstaliśmy. – Wzdycha. – Nic bardziej skomplikowanego niż to.

Stała prosto przed nim, kiedy mu to powiedziała. Że już go nie kocha. Oczy zalały jej się łzami.

Już cię nie kocham.

Tylko tyle.

– Ale... dlaczego? – dziwi się Stina. – Myślałam, że...

David się śmieje.

– O to, dlaczego, musisz zapytać Karin. I ja też myślałem.

– O kurde.

Zapada milczenie i obydwójce patrzą na wznoszący się za parkingiem nowoczesny budynek z szarobrazowej cegły z przeszklonym podwieszanym dachem nad wejściem.

– Siądźmy sobie, a w tym czasie przewietrzmy samochód, co? – proponuje Stina po chwili i wskazuje ułożone jeden na drugim głązy objęte w żelazne szkielety, przypominające współczesną wersję kamiennego ogrodzenia. Wzdłuż ogrodu biegnie alejka z rachitycznymi drzewkami, które mogłaby – kiedy już podrosną – dawać samochodom cień. Ale na razie wystają tylko kawałeczek ponad maskę.

Czy on na pewno tego chce? Miał o tym pogadać. Czy da radę? Może Stina potrafi dać odpowiedź na pytanie, czy naprawdę da się tak szybko przestać kogoś kochać? Chociaż on to wie. Karin, oczywiście, nosiła to w sobie długo. To nie coś, na co po prostu pewnego dnia wpadła.

Była zmęczona, powiedziała mu, i odrzuciła go, kiedy chciał ją wziąć w ramiona i przytulić. Zmęczona tym, że zawsze to ona musiała być tą, która się wszystkim zajmowała. Tym, że nigdy nie mogła na niego liczyć i nigdy nie wiedziała, czy on przyjdzie do domu. Nigdy nie wiedziała, z kim był. Słyszała o nim i o tym, z kim się spotykał, wiele rzeczy. Przez niego nigdy nie mogła zmieniać planów. Nigdy nie było nikogo, kto by o niej pomyślał, więc w końcu zrozumiała, że musi to zrobić sama. Żeby przeżyć.

A w takiej sytuacji równie dobrze mogła taka być. Całkiem sama.

To, czego nie wie, to że on każdego dnia o niej myśli.

Widzi ją, kiedy spotyka dzieci, którym dzieje się krzywda. Starając się pocieszać rodziców zaginionych dzieci albo kobiety, które padły ofiarą przemocy i nadużyć, próbuje myśleć o tym, co by powiedziała. Była jego stałym punktem w życiu. To ona była tym, co czyste, piękne i gotowe. A mimo to robił to, co robił. Z innymi kobietami.

Popatrzył na nią. Wyprostował się i powiedział, że jeśli ona tego chce, to dobra. *Fine.*

– Mieszkacie jeszcze w domu? – Stina rusza w stronę ogrodzenia, żeby na nim usiąść.

David podąża za nią.

– Karin nadal tam mieszka, a ja się wyprowadziłem.

– To gdzie mieszkasz?

– W Stampen. Kolega wyprowadził się rok temu do Australii i udało mi się wynająć jego mieszkanie z drugiej ręki. Miałem trochę szczęścia. To znaczy szczęścia w nieszczęściu.

Myśli o nierozpakowanych kartonach. Wieczorem zrobi porządek, żeby mieszkanie było gotowe na jutro, kiedy przyjadą dzieci. Skręci łóżka i pościeli nowymi poszewkami.

– No to się porobiło – mówi Stina, podskakuje i siada na ogrodzeniu.

David staje obok, opiera się o kamienie, opuszcza głowę i patrzy w dół na czarny, szary i biały żwirek pod stopami. Pociera kark, czuje spięte mięśnie i zerka w górę na Stinę.

– Zdziwiona?

– Tak, zdziwiona. To znaczy... – Spotyka jego wzrok. – Zauważyłam, że coś było z tobą nie tak, ale nawet w najgorszych snach nie przypuszczałam, że o to chodzi. Zawsze myślałam, że jest wam ze sobą bardzo dobrze. Że się mocno kochacie.

David kiwa głową i czuje lekką bryzę na twarzy.

– Ja też tak myślałem.

Rozdział 42

Deszcz wrócił i okrył Göteborg szarym płaszczem. Przyszedł znikąd i pada tak mocno, że wielkie krople odskakują od asfaltu i ciągną ze sobą w wirujących strużkach kurz i śmieci, które szukają studzienek, by w nich zniknąć. Dan Kowalski zamyka za sobą drzwi samochodu i pędzi przez parking w stronę wejścia. Tam się zatrzymuje, chwytając za kołnierz kurtki i strzepuje największe krople z beżowego materiału, który zamókł na ramionach i plecach. Szare skarpety w beżowych sandałach są przemoczone do suchej nitki i z każdym jego krokiem stopy wydają klapiący dźwięk.

To ostatni dzień. Zarezerwował bilet lotniczy do Krakowa. Czuje motyle w brzuchu. To zupełnie szalone. Ale zrobi to. Naprawdę to zrobi.

Idzie dalej naprzód, wita się z dwiema recepcjonistkami, które zerkają na niego ospale znad swoich kubków z kawą. Zdaje się, że to spokojny poranek w gmachu policji. Winda przyjeżdża, więc Dan do niej wsiada, hałasując sandałami, i naciska guzik z trójką.

Gładkie stalowe drzwi zaczynają się zamykać i mężczyzna zauważa w lustrze odbicie swojej bladej twarzy. Unosi dłoń, żeby poprawić zmoknięte włosy, kiedy jakieś ramię wsuwa się do wewnątrz, a głos woła: „czekaj”.

Skrzydła się rozsuwają, a Stina Seger robi dwa szybkie kroki do środka. Odwraca się w stronę panelu, widzi, że trójka się świeci, a potem chwytając kurtkę i strzepuje z niej krople wody, nie zwracając na niego uwagi. Dan przesuwa się o krok o tyłu, żeby go nie opryskała, a potem mówi:

– Dzień dobry, Stina.

Kobieta odwraca się do niego.

– Oj, Dan! Cześć! Stoisz tu tak i się czaisz. – Wygląda na szczerze zaskoczoną. – Co za psia pogoda, nie? Ciekawe, skąd przyszła.

Nawet go nie zauważyła. Tylko weszła do windy i stanęła pół metra od niego. Ale on ją widzi. Mimo mokrych włosów przylizanych do rumianych policzków jest piękna.

– Właśnie się do ciebie wybierałam.

– Tak?

Stina wyjmuje z torebki chusteczkę i wyciera zwisającą jej z nosa połyskującą kroplę.

– Masz coś nowego?

– I tak, i nie – mówi Dan. – Przeanalizowaliśmy papierek po czekoladzie i tak jak myślałem, nic to nie dało. Nie było już na nim, prawda, żadnych śladów.

– Nie, okej.

Widzi, że jest zawiedziona, i nie podoba mu się to. Woli, kiedy oczy jej świecą, podczas gdy on prezentuje nowy dowód. Odchrząkuje.

– Ale znaleźliśmy w szkielecie resztki ołowiu.

– Ołowiu? – Stina zatrzymuje się w pół ruchu. – Co to niby oznacza?

– I to jest pytanie. Współcześnie nie używa się zbyt często ołowiu z powodu jego, prawda, szkodliwości i ostrzejszych przepisów o ochronie środowiska. Ale kiedyś był powszechnie stosowany w wielu produktach.

Stina kiwa głową i marszczy czoło.

– Na przykład benzynie, prawda?

– Tak. I w farbach, akumulatorach, materiałach izolujących przed promieniowaniem, ale też, prawda, w budownictwie. Jest mnóstwo innych rzeczy, które można by wymieniać.

Winda się zatrzymuje i drzwi rozsuwają.

– Ale skąd ołów w szkielecie? – pyta Stina, ruszając korytarzem.

Dan podąża za nią. Słyszy kłapanie. Wstydzi się go i próbuje nie odrywać od sandałów palców u stóp, żeby przytłumić ten dźwięk.

– Jest kilka sposobów.

Dan skinieniem pozdrawia Göranssona, który zmierza w ich stronę z kubkiem kawy w jednej ręce i segregatorem w drugiej. Przechodzi w tym roku na emeryturę i wyprawiają mu dużą imprezę pożegnalną. Dan jest zaproszony, ale najprawdopodobniej nie pójdzie.

– Mógł się tego nawdychać, a ołów mógł, prawda, przeniknąć do szkieletu przez płuca i krwiobieg. Ale większe cząsteczki dostają się do ciała z brudem, który osiadł na skórze albo ubraniach. Najczęściej zdarza się tak, że coś jest na dłoniach,

a potem wkłada się je, prawda, do ust, na przykład biorąc porcyjkę snusu, paląc albo jedząc palcami. Kiedy ołów już dostanie się do środka, jest magazynowany w szkielecie i bardzo wolno się wydziela.

Stina zatrzymuje się przed swoim biurem, kładzie rękę na klamce i odwraca się do Dana.

– Ale zakładam, że nie może do tego dojść podczas jednorazowego incydentu. Chodzi mi o to, że denat musiał być narażony na kontakt z większymi ilościami przez dość długi czas, żeby to było widoczne.

– Tak, przede wszystkim duże, prawda, ilości. – Dan kiwa głową. – Zgaduję, że pracował w środowisku, w którym był na niego bardzo narażony. W przeciwnym razie nie znaleźlibyśmy, prawda, śladów, a tak się stało, chociaż nie było tego bardzo dużo.

Kobieta potakuje, otwiera drzwi i przepuszcza go.

– Kiedyś akumulatory i benzyna były sporymi winowajcami – kontynuuje mężczyzna, przekraczając próg. – Ołowiu używano w benzynie, żeby zapobiegać stukaniu, ale można, prawda, powiedzieć, że zupełnie znikł na początku lat dziewięćdziesiątych. Akumulatory ołowiowe dalej istnieją, ale teraz już wiadomo, jak się z nimi obchodzić.

– Hmm, czyli benzyna i akumulatory. – Policjantka się zamyśla. – Siadaj.

– Dziękuję. Ołów był również bardzo powszechny w budowlance. W wielu rzeczach. Między innymi w ściankach biurowych jako izolacja dźwiękowa. W farbach, jak już, prawda, powiedziałem, ale też w fugach.

– Dobrze.

Przygląda się Stinie, kiedy kobieta zdejmuje kurtkę, otrzepuje ją i umieszcza na wieszaku na ścianie.

– Czyli ołów w szkielecie nie oznacza niczego więcej poza tym, że denat mógł wykonywać całą masę zawodów – podsumowuje Stina.

– Tak. Zrobiliśmy w raporcie zestawienie tych, które uważamy za najbardziej prawdopodobne. Tutaj. – Wysuwa mokrą teczkę w jej stronę, a ona ją odbiera.

– Dziękuję – mówi. – Chcesz kawy?

Dan patrzy na zegar. Chciałby. Nawet bardzo. Ale nie może.

– Niestety nie mogę. Nie mam czasu.

Ma kilka spraw do zrobienia, potem jedzie prosto na lotnisko Landvetter.
Niedługo, bardzo niedługo, jego życie przyjmie zupełnie nowy obrót.

Rozdział 43

Stina skręca do pokoju z kopiarką. Popycha nogą karton z papierami, wkłada raport Dana do maszyny i już ma wciskać zielony przycisk, kiedy widzi, że papier się zaciął. Przeklina idiotę, który to tak zostawił, uruchamia tryb szukania błędów, jednocześnie upominając się w duchu, że musi pamiętać o umówieniu wizyty u fryzjera dla Lilly i opłacie startowej Annie za udział zawodach.

Otwiera przednią część maszyny, kuca i zagląda do środka. Dlaczego akurat jej dzieciaki są takie? Dzieci jej przyjaciół oraz kolegów i koleżanek z pracy są zupełnie samodzielne. Gotują rodzinie obiady, sprzątają, myją auta i segregują skarpetki. Poza tym wiele z nich jest tak dużych, że w ramach swoistej podziękności za lata odwożenia i przywożenia w różne miejsca odbierają rodziców późno wieczorem, żeby nie musieli zamawiać taksówki. Dorabiają sobie, oszczędzają i jeżdżą na wakacje, które zupełnie sami sobie rezerwują. W każdym razie tego się dowiedziała z Facebooka.

Ale nie jej dzieci. Zatrzaszkuje przednie drzwiczki i otwiera tylne. I jeszcze do tego jej mama. Sprawa z nogą nie daje jej spokoju, bardziej, niż chce to przyznać, i martwi się tym, do jakiego wniosku dojdzie neurolog. Mama przeszła już sporo badań, a lekarze niczego nie potrafili znaleźć. Męczy ją to i nie jest jej z tym ani trochę dobrze.

– Jak ci idzie?

Odwraca się i patrzy w górę na Lenę Holm, która przed nią wyrosła.

– Masz problem?

– Mhm. – Stina odwraca się z powrotem w stronę kopiarki.

– To zadzwoń do Poolii. – Głosowi Leny towarzyszy głośny śmiech.

– Ej, ta reklama jest stara. Chyba z lat dziewięćdziesiątych – odpowiada Stina, która akurat odnajduje zassany papier i wyrывa go jednym szarpnięciem. Włącza maszynę, odwraca się do Leny i macha kartką.

– Naprawione.

– Dziękuję – mówi Lena i zgarnia ją sobie.

– Co do...

– To moje – dodaje Lena i odchodzi.

Stina bierze głęboki oddech i kręci głową. Mówi sobie, żeby nie tracić na Lenę Holm cennej energii. W ostatnich latach i tak zbyt wiele jej straciła.

Zabiera stosy papierów i idzie do sali konferencyjnej. Ponieważ ma zajęte ręce, naciska klamkę łokciem, a nogą otwiera drzwi.

– Cześć! – wita się z Lovisą i przesuwa wzrok na Davida.

Dlaczego nic nie powiedział o rozwodzie? Przez całe trzy miesiące. Wiele spraw stałoby się łatwiejszych, gdyby wiedziała. Nie musiałyby się zastanawiać, co się z nim dzieje, i wyciągać najprzeróżniejszych nieprawidłowych wniosków. Myślała, że są ze sobą bliżej, ale najwyraźniej się pomyliła.

Stawia kubek z kawą z głośnym stuknięciem i zrzuca wydruki na biurko. Siada i zwraca się do Lovisy.

– Nikt nie zadzwonił na sto czternaście-czternaście?

– Nikt, ani żywej duszy. Jest dokładnie tak, jak powiedział Hasse, kiedy z nim rozmawiałam.

Stina unosi brwi.

– Hasse?

– Tak, Hans Janzon. Wiesz, komendant wojewódzki. – Rzuca Davidowi spojrzenie, jakby się upewniała, czy jej słucha.

– Tak, wiem, kim jest Hans Janzon – odpowiada Stina ze zmęczeniem w głosie. Jeśli Lovisa sądziła, że im zaimponuje, rzucając nazwisko kogoś takiego jak komendant, to nie zna ich zbyt dobrze.

– Powiedział, że zawsze odzywa się garstka zwykłych szaleńców.

– Zgadza się.

Lovisa patrzy na nią tymi swoimi pytającymi oczami. Tymi, które zdają się mówić, że przyszła pora, by przekazać stanowisko komuś innemu. Czasami Stina ma ochotę przytrzeć jej nosa, ale wie, jak zostałyby to zinterpretowane. Oskarżono by ją, że boi się, że wkrótce przegoni ją nowa młodsza zdolniacha. Ale Lovisa niedługo się przeniesie. Uzyska podwójny dyplom uniwersytecki i przejdzie wyżej

w policyjnej hierarchii. To tylko kwestia czasu, a ona już się cieszy na ten dzień. Do tego czasu musi wytrzymać.

Jedyne, na co może mieć nadzieję, to że pewnego dnia nie obudzi się i nie odkryje, że Lovisa jest jej nową szefową. Tego Stina by nie zniosła. Po prostu nie. Wtedy prędzej zostawi tę pracę i obróci się na pięcie. W takiej sytuacji już wolałaby się zatrudnić jako ochroniarka w Securitas albo bramkarka w klubie.

– Ale tym razem nie dostaliśmy niczego konkretnego?

Zawsze ktoś się odzywa. Najczęściej ze spontanicznymi wskazówkami, które do niczego nie prowadzą, ale czasami z czymś wartościowym. W takim przypadku jak ten, ze starymi zwłokami i zbiegłym pacjentem szpitala psychiatrycznego, powinien do nich dotrzeć jakiś sygnał. Zwłaszcza coś na temat Didrika. Ktoś powinien był go zauważyć. Nie ma przecież żadnego przyjaciela, do którego mógłby się zwrócić, i nie mógł się po prostu zapaść pod ziemię.

– Nie – odpowiada Lovisa. – Ale udało mi się uzyskać trochę innych informacji. W mieszkaniu był lokator i znalazłam go.

– Dobrze – chwali ją Stina i podnosi wzrok. – Kto to jest?

– To Bengt Fredrik Kinde. Ma sześćdziesiąt cztery lata i od trzynastu lat mieszka przy ulicy Bronsfyndsgatan pięćdziesiąt pięć.

– Skontaktowałaś się z nim?

– Próbowałam, ale nie odebrał.

– Masz coś jeszcze na jego temat?

– Właściwie nie. – Lovisa zerka do notatek. – Jest singlem. Nigdy nie był żonaty. Urodził się w Norrköpingu i przeprowadził do Göteborga w siedemdziesiątym czwartym. W przeszłości parął się różnymi sprawami, ale od siedmiu lat prowadzi własną jednoosobową działalność gospodarczą, która, zdaje się, nie bardzo mu idzie. – Kręci głową. – Oprócz tego nic. Żadnych wpisów do rejestru dłużników, niekarany.

– Próbuj dalej się z nim skontaktować.

– Oczywiście – potakuje Lovisa. – Tak, oprócz tego, niestety, obawiam się, że nie mam zbyt wiele – kontynuuje, nie umiając ukryć zawodu w głosie. – Zdjęcie zębów mężczyzny z Marabou nic nie wniosło. Nie znaleźliśmy go w państwowej opiece dentystycznej, więc zaczęłam się dowiadywać w prywatnych gabinetach

i miałam nadzieję, że chodził do kogoś w publicznej ochronie zdrowia, ale puźło. Poza tym zadzwoniłam do każdego szpitala w Göteborgu i gminach ościennych w sprawie jego obrażeń, ale to też nic nie dało.

Stina kiwa głową.

– Musisz po prostu rozszerzyć poszukiwania na całą Szwecję.

– Tak, Hasse też tak powiedział. I tak zrobię. – Lovisa gładkim ruchem przejeżdża dłonią po ciemnym długim końskim ogonie i zerka do notatnika.

Stina ją ignoruje i mówi dalej:

– A zaginieni?

– Zrobiłam krótką listę, o którą mnie poprosiłaś. Pracuję według klucza, że szukamy mężczyzny w wieku trzydziestu lat. Po tym, jak usunęłam wszystkie kobiety i dzieci oraz mężczyzn w innym wieku i o innym wzroście, zostały mi trzy osoby, których zaginięcie zgłoszono od sześćdziesiątego piątego do dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Tylko trzy? – dziwi się Stina i unosi brwi. – To niewielu.

Lovisa potrząsa głową.

– Tak, ale żaden z nich nie miał ani blizn, ani zepsutych zębów.

– Hmm. – Stina łapie za stosy papierów. – Właśnie rozmawiałam z Danem i dostałam od niego ten raport. – Rozdaje każdemu po egzemplarzu. – Papierek po czekoladzie nic nie dał, ale za to znaleziono ślady ołowiu w szkielecie. Z tego powodu podejrzewamy, że mamy do czynienia z kimś, kto był w pracy narażony na kontakt z ołowiem. Dan załączył listę prawdopodobnych zawodów.

Stina zwraca się w stronę Lovisy.

– W jakich zawodach pracowali ludzie z listy, zanim zaginęli?

Lovisa szybko skanuje wzrokiem dokument.

– Student, ekonomista i konstruktor.

– Czyli żaden nie pasuje do listy Dana.

– Nie. Ale mogę przejrzeć pliki i zobaczyć, czy nie ma innego punktu styczności.

– Dobrze. Zrób tak. – Stina opiera brodę na ręce. – Podsumowując. Mamy zabitego mężczyznę z popsutymi zębami, ołowiem w szkielecie i blizną na twarzy po jakimś urazie.

– Dokładnie.

Stina rozkłada ręce.

– Kurde, mamy całą masę punktów zaczepienia. To dlaczego nie możemy go znaleźć? Dlaczego nikt go nie szukał?

– Może nie miał rodziny? – sugeruje David.

– Żadnej rodziny. Przyjaciół i pracy też nie. Ludzie nie znikają ot tak, niezauważenie, bez zgłoszenia policji zaginięcia przez kogoś z ich otoczenia. Ktoś się musiał, kurwa, zgłosić. – Znowu zwraca się do Lovisy: – A jak poszło ze zdjęciami?

– Na razie nic nie ma, ale technicy pracują dalej.

– Dobrze. Dopilnuj, żeby poinformowali nas tak szybko, jak tylko coś znajdą.

– Jeśli coś znajdą.

– Dokładnie. Naprawdę musimy coś zrobić, żeby znaleźć Didrika. Może to, na co natkniemy się w domu, nas na niego naprowadzi. Wysłano też ogólnokrajowe powiadomienie alarmowe, ale myślę, że on jest tu, w Göteborgu.

Rozdział 44

– David! – krzyczy Carita z recepcji. – Masz gościa. – Wskazuje ruchem głowy toaletę, z której akurat wychodzi jakaś kobieta. David obserwuje ją, idącą w jego kierunku, i uderza go, że wszystko w niej jest duże. Włosy, ciało, torebka, parasol. Nawet różowe kwiaty na sukience.

– Czy to pan David Salander? – pyta zaskakująco głębokim głosem i jej okrągłą twarz przecina szeroki uśmiech.

– David Sandberg-Saliba. – David się śmieje. – Nie Salander.

– Aha, no tak. Cissi Rolf to ja. Chciał się pan ze mną skontaktować. Byłam w pobliżu, więc zaryzykowałam i wstąpiłam.

To córka mężczyzny, który bywał na imprezach przy Daltorpsgatan. Policjant kiwa głową.

– Właśnie miałem coś zjeść. – Jedną ręką podnosi brązową papierową torebkę wypełnioną podwójnym hamburgerem i frytkami, a drugą plastikowy kubek z wystającą z wieczka słomką. – Ale skoro już tu pani jest, to możemy chyba sobie uciąć kilkuminutową pogawędkę.

Cissi Rolf idzie za nim, znajdują pusty pokój konferencyjny i siadają.

– Niechże pan je! – zachęca kobieta i ruchem głowy wskazuje papierową torebkę. – To przecież nie przeszkadza w rozmowie. Rozumiem, że miał pan sporo pytań o mojego ojca i imprezy.

Policjant kiwa głową i z wdzięcznością wyjmuję burgera i frytki. Żołądek krzyczy mu z głodu i mężczyzna bierze wielki kęs, żeby go uciszyć.

– Ojciec już nie żyje, ale był prawdziwym gawędziarzem. Kiedy usłyszałam, że przy Daltorpsgatan znaleźli ciało, przypomniało mi się, że mówił o tym adresie. Dobrze się go słuchało, ale szybko nauczyłam się, żeby traktować jego opowieści z przymrużeniem oka, bo lubił koloryzować. Ja... Czy mogę... – Wyciąga rękę i podbiera sobie dwie frytki, które wkłada potem do ust. Uśmiecha się. – Bardzo mnie kusiły.

– Proszę się częstować – mówi David i przysuwa opakowanie bliżej niej.

– Dziękuję. Tak właściwie to nie wiem, czy mam tak dużo do powiedzenia. Według taty często był tam dość duży rozgardiasz. Ludzie przychodzili i wychodzili. Dużo się piło. Tak, zażywało się też sporo czegoś innego, jak sądzę.

– Czego?

– Myślę, że sporo osób popalało marihuanę. Rozmawiamy w końcu o latach siedemdziesiątych.

– A staruszka, która była właścicielką? Co pani o niej wie?

– Była lekko zwariowana. Wydawało się, że nie interesuje jej, co się dzieje w jej domu.

– Była agresywna?

Cissi Rolf śmieje się i bierze jeszcze jedną frytkę.

– Tata opowiadał, że kiedyś uderzyła szpadlem w głowę jakiegoś obcokrajowca. Najwyraźniej często była na niego wściekła, ale nikt dokładnie nie wiedział o co.

– A mogła kogoś zabić?

Kobieta znów się śmieje.

– Bynajmniej. Pewnie, czasami się złościła i wtedy biła ludzi tym, co tam miała pod ręką, ale wszyscy się z niej śmiali. Była jak małe dziecko, które się wścieka, kiedy nie dostaje tego, czego chce. Ale wtedy dawali jej po prostu coś słodkiego do jedzenia, żeby impreza mogła toczyć się dalej. Niestety to wszystko, co mogę powiedzieć. – Rozkłada ręce. – Osobiście tam nie byłam.

– Przeglądała pani przedmioty ojca?

– Tak. Ale niestety nie znalazłam niczego, co miałyby coś wspólnego z tamtymi czasami.

David kiwa głową i wkłada do ust ostatni kawałek hamburgera, przeżuwa i przęłyka go zawiedziony. Tu też nic konkretnego.

Rozdział 45

Didrik podnosi wzrok. Dlaczego on się tak gapi? To coś, co porusza się w jego oczach. Jak jakiś pełzający w środku czarny wężyk. Ma zamiar się go pozbyć. Widzi to po nim. Pytanie, jak zamierza to zrobić. Didrik błądzi oczami.

– Masz. Spróbuj coś zjeść.

Patrzy na tackę, którą mężczyzna stawia na stole. Szklanka gęstego żółtego napoju i głęboki talerz z mięsną zupą. Co się w niej kryje? Mruży oczy.

– Co to jest?

– Coś na ząb. Gulasz i szklanka soku pomarańczowego. – Przysuwa bliżej talerz.

– Dobrze ci zrobią, Musisz jeść. Żeby mieć siłę.

Didrik nie jest w stanie patrzeć na węża, który pływa w jego tęczęwkach, więc odwraca głowę i wpatruje się w talerz. Próbuje powstrzymać skurcz, kiedy czuje, że się zbliża. Nie prosił o jedzenie. On je mimo to przynosi. To może oznaczać tylko jedną rzecz. Szybko zerka na stojącego przed nim mężczyznę.

Rozumie. On nie przychodzi z jedzeniem, żeby być uczynnym. Próbuje go uśpić. Albo otruć.

Didrik zerka na niego, stojącego kilka kroków dalej i czuwającego, żeby Didrik na pewno zjadł truciznę.

Podnosi łyżkę i powoli zaczyna mieszać zupę. Szuka śladów zmiażdżonych tabletek albo białego proszku, który spowoduje, że zaśnie. Zna wszystkie sposoby. Spędził w szpitalach wystarczająco wiele lat, żeby wiedzieć, w jaki sposób podać komuś leki tak, żeby tego nie zauważył. Jeden ze sposobów to rozrobienie sproszkowanych środków w jedzeniu albo picciu. Zazwyczaj bardzo skuteczny. Inny to wmieszanie ich w zastrzyk, który szybko wbija się w miękką skórę.

Byłby w stanie to zrobić? Didrik zerka na niego. Nie chce, żeby on zrozumiał, o czym myśli. Czy ma z tyłu za plecami gotową strzykawkę?

Zastyga, kiedy mężczyzna chwyta łyżkę i napełnia ją zupą.

– Masz – mówi i wyciąga ją w stronę jego ust. – Jedz.

Ręka jest stabilna, a zupa śmierdzi zgniłym mięsem i zdradą. Mężczyzna stoi tu i czeka, aż on zje. Judasz czeka. Wisi nad nim jak pajęczycyca, która chce, by wszedł w pułapkę, żeby mu wbić zatrute żądło. Patrzy na niego ośmiorgiem oczu. Jak tylko Didrik włoży pierwszą łyżeczkę do ust, rzuci się do telefonu i zadzwoni na policję, żeby po niego przyjechali i zabrali z powrotem.

Górna warga drga. W głowie swędzi. Czuje mrowienie i świąd, jak mnogość małych larw, które uwiły gniazdo w cebulkach włosowych.

Może wsypał to do soku?

Unosi szklankę i ogląda ją pod światło. Żółty napój. Żadnych śladów. Dobrze to ukrył.

– O co chodzi? Nie chcesz? Nie jesteś głodny? – pyta przebiegle gładkim głosem.

Judasz. Judasz. Judasz. Krzyki w głowie. Trzydzieści srebrników był wart Jezus. Ile jest on wart? Ile on dostanie za to, że go sprzeda?

Nie uda mu się. Z kim on myśli, że ma do czynienia? Didrik nie będzie jadł ani pił tego, co mężczyzna mu podaje. Nie jest głupi.

Sam się uda. Na polowanie.

Rozdział 46

Stina idzie wzdłuż korytarza z kubkiem kawy w jednej ręce i telefonem w drugiej. Jeden z butów uwiera ją w spuchniętą od gorąca stopę. Jak stare, dobrze rozchodzone buty mogą cisnąć? Zadzwoiła do domu i obudziła Lilly, bo miała wcześniej wstać, żeby pojechać na plażę do Åsy. Pomijając śmiech kilku kolegów przy windzie, na piętrze jest cicho i niespodziewany głos obok niej powoduje, że przechodzi ją dreszcz.

– Dzień dobry – wita się David, uśmiechając się. – Wyspałaś się?

– Nie, nie tak bym to ujęła. – Nie jest już na niego zła. Jest jej go tylko żal. Teraz w żołądku grasuje niepokój. Odezwał się wczoraj wieczorem, kiedy wsiedli do samochodu w drogę do domu z Vänersborga, i był tam jeszcze dziś rano, gdy się obudziła. Prześladowuje ją to, że dalej nie znaleźli żadnych śladów, ale czepia się jedyne jasnego punktu, który istnieje. Jeszcze nie znaleźli żadnego śladu tego, że Didrik Mörck powrócił do dawnej kariery. Mogło być o wiele gorzej. Na tym etapie mogli znaleźć pierwsze zwłoki, zgwałcone i okaleczone, pozbawione kończyn. To, że ich nie znaleźli, sprawia, że zadanie zdaje się wykonalne, ale Stina wie, że to walka z czasem. Istnieje spore ryzyko, że jeśli wkrótce nie znajdą Didrika, natrafią na coś innego.

– Sporo zagwozdek, co?

Stina potwierdza gestem, przywodzi kubek z kawą do ust i odskakuje, kiedy napój parzy w język.

– Właśnie rozmawiałem z mężczyzną, który prowadził samochód. Dalej był w szoku. Nie mógł zrozumieć, jak ktoś mógł po tym uderzeniu wstać, a potem udało mu się ukraść pojazd. Według niego Didrik powinien być martwy.

– Hm, może nie, mimo wszystko – mówi Stina, zatrzymuje się przy wysokim fikusie beniaminie, wkłada smartfona do kieszeni i zaczyna obierać roślinę z na wpół zwiędniętych listków. – Wiesz, mój dziadek zderzył się swoim volvo amazonem z łosiem w czasach, kiedy jeszcze nie zaczęto używać pasów bezpieczeństwa. Przebił przednią szybę własną czaszką, wyleciał do przodu,

przeleciał parę metrów i wylądował w rowie z wodą. Bez większych obrażeń. – Ścisła listki w dłoni i kręci głową. – Tylko kilka złamanych żeber. Dziwne rzeczy mogą się zdarzyć.

– Ale Didrik najprawdopodobniej coś sobie uszkodził. A wkrótce leki przestaną działać i wtedy dopiero naprawdę zaczniesz go boleć.

– Chyba będziemy mieć większe zmartwienia niż jego ból, kiedy leki się zmetabolizują. – Stina odwraca się do Davida. – Czy kierowca nie miał nam do powiedzenia niczego, co by nam coś dało?

– Nie. Był, tak jak mówię, w szoku. Opowiadał tylko o tym, jak doszło do wypadku. Didrik wyskoczył jak filip z konopi i ukradł mu auto. Cieszył się w każdym razie, że on przeżył.

Policjantka unosi brwi.

– Przynajmniej tak zakładamy.

– To prawda – potwierdza David skinieniem głowy. – Nie wiemy tego na pewno. Brak wskazówek może wynikać z tego, że leży gdzieś martwy.

– Tak – potakuje Stina z wahaniem. Patrzy, gdzie może wyrzucić zeschnięte listki, nic nie znajduje i strzepuje je do doniczki. – Może. Ale coś mi mówi, że on żyje. Niepokoi mnie, że nie wiemy, gdzie jest, i nie mamy pojęcia, co może zrobić. Nawet lekarz, który go leczy od siedmiu lat, nie umiał tego stwierdzić.

– Czy Lovisa powiedziała ci o facecie, którego wczoraj spotkała?

Stina zerka w górę. Fernandez nadbiega truchtem, tuż za plecami ma Göranssona, który w pełnym pędzie wciska na siebie brązową sztruksową marynarkę.

– Ostatnie podrygi? – woła do niego Stina i robi krok w bok.

– Tak, jeszcze tylko tydzień. Potem emerytura. – Mężczyzna ciężko oddycha.

Stina uśmiecha się, bierze łyk kawy i odwraca się do Davida.

– Kogo spotkała?

– Simonssonowie mieli w domu stolarza, który pracował jako opiekun medyczny w różnych szpitalach psychiatrycznych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, między innymi w Lillhagen. Przedstawił dość przerażający obraz tych szpitali, a Lovisa powiedziała, że jeśli nie było się chorym, zanim trafiło się do wariatkowa, to na pewno się nim tam stawało. Według niego zarówno

opiekunowie, jak i lekarze często byli po prostu sadystami, którzy robili sobie jaja z pacjentów i eksperymentowali z różnymi lekami.

– Didrik Mörck wylądował wtedy w zakładzie – mówi Stina.

– Dokładnie. Co wiemy na temat tego, na co był narażony za tymi murami? Może to tam narodził się Didrik morderca?

– Może tak? Nigdy nie wiadomo tak do końca, co uformowało człowieka. Didrik miał problemy już wcześniej, zanim trafił do Lillhagen. Kto wie, co mogłoby się stać, jeśli w dalszym ciągu mieszkałby w domu? Może nie doszłoby do żadnego z morderstw, ale równie dobrze mogło ich być o wiele więcej. Mam zamiar pojechać do jego ojca i z nim pogadać. Koledzy i koleżanki mogli coś przeoczyć. Chcę też, żebyśmy cofnęli się w czasie i dotarli do jego lekarza z Lillhagen.

Rozdział 47

Ostatni kawałek do gospodarstwa jest wyboisty. Wysypaną kamyczkami drogę pełną dziur i dołów odgradza płot z drutem kolczastym i krzakami jałowca. Stina wjeżdża na otwartą przestrzeń, gdzie zatrzymuje samochód i wyłącza silnik. Wysiada z auta, przeklina, kiedy trafia stopą w błotnistą kałużę. Strzepuje największą kroplę, przykłada rękę do czoła, żeby osłonić się od słońca, które ponownie wychodzi po porannym deszczu, i patrzy przed siebie na biały budynek mieszkalny. Pachnie mokrą ziemią i nawozem. Od strony czerwonej stodoły dobiegają ją odgłosy poruszających się w środku zwierząt. Konie? Czy to w dalszym ciągu jest stadnina, jak w czasach, kiedy dorastał tu Didrik?

Stina idzie w stronę domu i zatrzymuje się na zarośniętym skrawku trawnika, na którym wyciera błoto z mokrego buta, kiedy drzwi domostwa się otwierają. Mężczyzna wychodzi na schody i trzaska drzwiami. Wokół jego solidnych gumiaków kręcą się dwa duże czarne psy z kopiowanymi ogonami i uszami sterczącymi na baczność. Wielkie dłonie mężczyzny zwisają wzdłuż wysokiego szczupłego ciała, a on stoi zupełnie nieruchomo i przygląda się jej idącej w jego stronę.

– Znaleźliście go? – woła gospodarz, gdy Stina podchodzi bliżej, a w tym samym czasie jeden z psów donośnie szczeka, wyrywa się naprzód i biegnie w jej stronę.

– Przywołaj psa – syczy szybko Stina, niepewna, czy usłyszał ją pośród głośnego ujadania.

Mężczyzna na nią patrzy, a ona nie spuszcza z niego wzroku, chociaż pies już do niej dobiegł. Zatrzymał się. Stina kątem oka widzi, jak ją obwąchuje. Pod gładką czarną skórą widać grę mięśni. Kikut nie merda i z gardła dochodzi głuchy dźwięk.

– Niech pan przywoła – powtarza kobieta, nie patrząc w dół.

Mężczyzna przestaje patrzeć na Stinę, wkłada dwa palce do ust i gwizdże głośno i donośnie. Pies podskakuje, zawraca jak z bicia strzelił i energicznie biegnie z powrotem do swojego pana.

Stina wiedzie za nim oczami i oddycha z prawdziwą ulgą. Pies jest w każdym razie posłuszny i robi, co pan mu każe.

– Czy jest pan ojcem Didrika Mörcka? – pyta Stina.

– Zgadza się. Sven Mörck. Znaleźliście go?

Stina kręci głową.

– Jeszcze nie.

– Rozumiem.

Mężczyzna podnosi wzrok, omiata nim samochód, a potem podziurawioną drogę, którą przyjechała. Potem ponownie przenosi spojrzenie i pozwala mu się zatrzymać na niej. Twarz bez wyrazu. Pusta, bez emocji.

Odchrząkuje i spluwa.

– Tak, tak – odzywa się po chwili. – Pewnie pojawi się po jakimś czasie.

Stina podchodzi do schodów, kładzie dłoń na rozgrzanej słońcem poręczy z czarnej stali i stawia stopę na kamiennym stopniu. Ostrożnie. Psy tam są.

– Mamy szczerą nadzieję, że go znajdziemy. Proszę się nie martwić.

– Martwić? – Mężczyzna otrząsa się, słysząc jej słowa, i obydwie psy przymierzają się do ruchu. – Siedzieć! – wrzeszczy na nie, a potem patrzy na nią. – Ja miałbym się martwić? A to czemu, na miłość boską?

– No, hm – odpowiada Stina i przyciąga brodę do siebie. – Rozumiem przecież, że martwi się pan o to, że Didrik nie jest teraz pod opieką lekarską i nie przyjmuje leków. O to mi chodziło.

– Aha. – Gospodarz ponownie wzdycha i drapie się po szyi porośniętej szarym kilkudniowym zarostem. – Zmartwiony. Nie, nie ja. Wejdzie pani do środka?

Policjantka zerka na psy, które siedzą spokojnie i ją obserwują. Czy czują jej strach? Na pewno tak. Właściwie nie boi się psów, ale te wytresowane na stróżujące budzą w niej respekt. Jest pewna, że wystarczy jedno słowo Svena Mörcka, żeby się na nią rzuciły. Wbijają wzrok w szczupłe przygarbione plecy i idzie za nim, nie patrząc więcej na zwierzęta.

Wchodzą do uporządkowanego przedpokoju. Kurtki, kalosze i buty są schludnie poustawiane. Stina odpręża się, kiedy się orientuje, że psy zostaną na dworze.

Sven Mörck kroczy przez dom, nie zdjawszy kaloszy, a ona podąża za nim w stronę salonu. Dom jest wysprzątny. Szmaciane dywaniki w paski domowej

roboty leżą na wyszorowanych płynem do podłóg sosnowych deskach, ciemne drewniane meble bez drobinki kurzu wyglądają, jakby pochodziły z końca dziewiętnastego albo może początków dwudziestego wieku. Nie ma tu niepotrzebnych szpargałów, może z wyjątkiem dużego porcelanowego psa przy kominku, który ani trochę nie pasuje do tego pod każdym innym względem prostego wystroju.

– Proszę usiąść – odzywa się mężczyzna, wskazując zielony obity aksamitem fotel, podczas gdy on zajmuje miejsce naprzeciw na wysokim pomalowanym na niebiesko krześle pastorskim.

– Tak – mówi gospodarz, wyciąga gładko wypolerowaną srebrną puszczkę z kieszeni spodni i opukuje ją kostkami palców.

– Tak – odpowiada Stina i siada.

Przez chwilę siedzą w ciszy, podczas gdy mężczyzna otwiera tabakierę, wkłada do niej palce o brudnych paznokciach i zaczyna formować ciemną zawartość w kuleczkę. Ostry zapach dociera do jej nosa, który Stina lekko marszczy.

– Policja wczoraj tu była – zaczyna i dalej ugniata snus, nie spuszczać z niej wzroku. – Powiedzieli, że znaleźliście stary szkielet u tłustych kotów w centrum.

Stina kiwa głową, wysyłając kolegom poirytowaną myśl. Powinni być mądrzejsi i nie wyciągać przed ojcem Didrika sprawy ciała w ziemiance. Nie podali do publicznej wiadomości, że pomiędzy tymi dwiema sprawami istnieje jakiś związek. Przypomni im o tym. W ostrych słowach. Ale teraz nie ma powodu, żeby zaprzeczać temu, co już powiedziano.

– Sądzą państwo, że to Didrik go zabił?

– Akurat teraz nic nie sądzimy. – Stina głęboko wciąga powietrze. – Ale wiemy, że naprowadził nas na te szczątki.

– W takim razie to on? – przerywa mężczyzna i parska. – Czy myślicie tak z powodu jego choroby?

– Jego choroba nie ma z tym tak właściwie nic wspólnego. Raczej jego przeszłość i fakt, że naprowadził nas na ciało, powodują, że oczywiście chętnie bym się z nim spotkała i zadała mu parę pytań. Ale utrudnia to, ukrywając się.

Ojciec potrząsa głową i nawykłym ruchem wkłada grudkę pod górną wargę, tak że spore wybrzuszenie zniekształca mu twarz. Strzepuje okruszki, ocierając ręce

o spodnie, a językiem wciska używkę dokładniej na miejsce.

– Ukrywa się, tak. – Wypluwa paproch. – Zastanawiam się, jak on się czuje. Ledwo wie, jak wygląda normalny świat na zewnątrz. Szpital to jego dom i tak było od wielu lat.

Szpital? Czy on nazywa zamknięty zakład dla psychicznie chorych przestępców szpitalem? Udaje, że nie widzi rzeczywistości i tego, kim jest jego syn, czy widzi to w ten sposób?

– A może on uważa, że to jest jego dom – odpowiada Stina, rozglądając się wokół. – Tutaj dorastał.

– Mhm, może.

– Ale to panu nie przeszkadza?

Patrzy na nią i ponownie porusza językiem pod wargą.

– Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać?

– Hmm. – Policjantka rozgląda się po pokoju. – Może tu przyjdzie. Jeśli czuje się tu jak w domu.

– I?

– Nic, myślałam tylko...

– Tak, tak, chyba wiem, co pani pomyślała. Mówię, niech przyjdzie. Nie boję się mojego syna. Potrafię się nim zająć, jeśli się tu pojawi. A jeśli to zrobi, to państwa powiadomię.

Stina mu się przypatruje. Jego syn jest potworem, który zgwałcił i zamordował dziewczynę w niewiarygodnie okrutny i sadystyczny sposób. A mimo to on siedzi tutaj przed nią z największą kulką snusu pod wargą, jaką w życiu widziała, i mówi, że potrafi się zająć synem, jeśli on tu przyjdzie.

A ona rozumie dlaczego. Cokolwiek Didrik zrobił, jest jego dzieckiem. Patrzy na niego inaczej niż ona i inni ludzie. To nie morderca, sadysta i gwałciciel pojawiłby się w gospodarstwie. Tylko chłopiec. Jego syn.

Jak ona sama by zareagowała, gdyby to było jej dziecko? Gdyby Lilly albo Annie zrobiły coś tak strasznego. Czy ona też sprawiłaby sobie dwa dobermanów jak Sven Mörck? Może, ale tego się nigdy nie dowie. Jej dzieci nigdy by czegoś takiego nie zrobiły.

– Kiedy ostatnio widział się pan z Didrikiem? – zadaje kolejne pytanie i się odchyła.

– Niech sobie przypomnę... – Odchrząkuje. – To musiałyby być siedem lat temu.

– Ojej – reaguje Stina. – Aż tak dawno.

– Tak.

Milkną.

– Jak to się stało, że tak dawno temu?

– A po co mam się z nim spotykać?

– No, to w końcu pana syn. – Składa ręce. – Ale to pańska sprawa. Nie musi się pan tłumaczyć.

– Ach, tak! – odpowiada mężczyzna i znów językiem ubija snus pod wargą. – Myślałem, że dlatego pani tutaj jest. – Odchrząkuje. – Powiedziała pani, że kiedy go zabito? Szkielet, znaczy się.

– Nie udało się nam tego dokładnie określić, ale technicy mówią, że pomiędzy sześćdziesiątym piątym a dziewięćdziesiątym piątym rokiem. – Nawet jeśli czuje się pewna, że Mężczyzna z Marabou leżał tam od trzydziestu ośmiu lat, nie ma żadnego powodu, żeby mówić o tym Svenowi Mörckowi.

Ojciec Didrika powoli kiwa głową, nic nie mówiąc.

– Ma pani pojęcie, kto to może być?

– Nie, skąd bym miała mieć?

Odpowiedź przyszła trochę zbyt szybko, a może tylko jej się wydaje?

– Czy w tych latach nie zaginął nikt z przyjaciół Didrika?

– Nie. – Mörck potrząsa głową i ściąga kąciki ust. Nacisk na górną wargę rośnie i mężczyzna rozluźnia usta.

– I jest pan pewny?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo Didrik nie miał żadnych przyjaciół. – Dotyka językiem snusu. – Zawsze siedział z nosem w książkach. Ten chłopak umiał wszystko. Wszystko poza praktycznymi rzeczami. Potrafił rozwiązywać równania i wyjaśnić teorię względności Einsteina, ale nie umiał naprawić płotu ani jeździć traktorem. I absolutnie nie znał się na kontaktach interpersonalnych. Mogłaby pani zapytać

o cokolwiek i znałby odpowiedź. Ale nie potrafił przebywać z ludźmi. Jeśli ktoś coś do niego mówił, to po prostu spuszczał wzrok. Jediną bliską osobą, którą miał, była... – urywa i znów bawi się językiem.

– Była?

– Jediną przyjaciółką, którą miał Didrik, była Cherie. A przecież wiemy, co się z nią stało.

Stina powoli kiwa głową i przypatruje się mężczyźnie. Myśli, że tu oto siedzi człowiek, który przez te wszystkie lata wiele razy musiał bronić syna. Jest do tego przyzwyczajony. Robi to bez sentymentu i bez upiększania. Stina pochyla się i wyjmuje z czarnej teczki notatnik. Chwyta ołówek i puka nim w notes.

– Czy mógłby pan rozwinąć to, co przed chwilą pan zaczął. Co się stało tamtego wieczoru w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

– Tamten wieczór, tak. – Przejeżdża ręką po twarzy i palcami bawi się wargą. Potem wzdycha. – A co chce pani wiedzieć?

– No, może pan zacząć od dziewczyny. Mówi pan, że była jedyną przyjaciółką Didrika?

Rozdział 48

Lovisa zatrzymuje się przed drzwiami Davida. Bierze głęboki wdech i próbuje uspokoić puls, którego uderzenia czuje aż w szyi. Zamyka oczy i kilka razy przejeżdża dłońmi po udach, czuje, jak ich wewnętrzne części rozgrzewają się od pocierania. Teraz, kurde – myśli i otwiera drzwi.

Odchrząkuje i mówi to na wydechu, trochę szybciej, niż chciała.

– Był Duńczykiem.

David podnosi wzrok znad tony papierów i marszczy brwi.

Rozkłada ręce, sfrustrowana tym, jaki jest powolny.

– Wiemy, kim on jest. Mężczyzna z Marabou. Pochodził z Danii – powtarza i teraz nie może już powstrzymać uśmiechu, który już czekał w blokach startowych, odkąd uzyskała tę nowinę. – To dlatego nie znaleźliśmy go wśród rejestru osób zaginionych.

Teraz, kiedy już wiadomo, jest dla niej jasne, że to nie Szwed. Przy wszystkich znakach szczególnych Mężczyzny z Marabou znaleźliby go natychmiast, gdyby zaginięcie zgłoszono.

Rozwiązanie zawsze jest oczywiste, kiedy już nadejdzie. Ale to nic nie znaczy. To ona go znalazła. Nikt inny. Nie Stina. Nie David. To ona. Lovisa Douglas. Bierze głęboki oddech. Zmusza się do opanowania tego wszystkiego, co w niej buzuje i chce się wydostać na zewnątrz. Wyluzuje. Nie wolno jej pokazać, jaka to dla niej wielka rzecz.

– Nazywa się Viggo Hansen – dodaje i przesuwa dłonią po włosach. – Zaginięcie zgłoszono latem siedemdziesiątego siódmego – ciągnie.

David pochyla się i opiera łokcie na biurku. Lovisa widzi błysk w jego oczach.

– W tym samym roku, w którym zmarła Cherie Andersson.

– Tak – potwierdza Lovisa. – W tym samym, w którym zmarła Cherie i w którym Didrik uciekł z Lillhagen.

Teraz twarz Davida promienieje. Przez kilka dni była ciemna i ponura, ale w tym momencie jakby wróciło słońce. Wie, co on czuje. To paralizujące uczucie stania i dreptania w miejscu, a potem, zupełnie niespodziewanie, otwiera się nowy świat, a adrenalina zaczyna płynąć, kiedy cel jest coraz bliżej.

I po bólu! Dokładnie jak w reklamie. Chce jej się śmiać. Chce tańczyć i wykrzyknąć swoje szczęście. Ale oczywiście tego nie robi.

– Kto zgłosił zaginięcie? – pyta kolega.

– Jego rodzicie w Helsingorze.

– A co robił w Szwecji? Wiemy to?

– Tak – potakuje Lovisa. – Pracował tu.

– Dlaczego nikt nie zrobił zgłoszenia w Szwecji, skoro wiedzieli, że tu był?

– O to samo zapytałam podczas rozmowy z nimi. Chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałam. Duński jest tak piekielnie trudny. – Śmieje się krótko. – Nie zgłosili, bo nie wiedzieli, że był w Szwecji. Ostatnim razem, kiedy się do nich odezwał, mówił, że był w drodze do Australii. A to było pół roku wcześniej. Faktem jest, że pewnie wcale by za nim nie zatęsknili, gdyby nie to, że Viggo obiecał wrócić na pięćdziesiątkę ojca. Kontakty rodzinne ograniczały się do okrągłych urodzin i pogrzebów.

– Tak, Loviso. – David odchyła się do tyłu na krześle. – Zdaje się, że znaleźliśmy naszego Mężczyznę z Marabou.

Nareszcie jakoś posuwają się do przodu. Dzięki niej. Najmłodszej i najmniej doświadczonej w zespole. Teraz, kiedy go zidentyfikowali, uda się im pójść dalej. Może nawet będą mogli zamknąć tę sprawę przed końcem tygodnia i początkiem urlopu.

– Jak na to wpadłaś? – pyta dalej policjant.

– To przez gazetę.

– Jaką gazetę?

– Na zdjęciu.

Daje jej znak głową, żeby mówiła dalej.

– Siedziałam nad wszystkimi zdjęciami, przeczesywałam je milimetr po milimetrze i na jednym zauważyłam jakąś gazetę. Coś się nie zgadzało, więc poprosiłam techników, żeby się temu bliżej przyjrzel.

– Aha, czyli to technikom zawdzięczamy identyfikację? – David kiwa głową. Lovisa zastyga. Co on właśnie powiedział? Technikom? To oni zbiorą laury? Nigdy, kurwa, w życiu. To jej zasługa.

Pochyliła się do niego.

– Jak już mówiłam, zauważyłam, że coś się nie zgadza, i okazało się, że to była duńska gazeta. Uderzyło mnie, że nie znaleźliśmy tej osoby po prostu dlatego, że nie była ze Szwecji. Więc poprosiłam duńskich kolegów po fachu o spis zaginionych i *voilà*, tam go znalazłam.

– Dobra robota. Nareszcie go mamy.

– Dziękuję – odpowiada. – Tak, to zajebiste uczucie, że nareszcie możemy ruszyć dalej.

– No to co o nim wiemy?

– Jak już mówiłam, nie miał zbyt dobrego kontaktu z rodzicami, więc nie mogli nam powiedzieć, gdzie pracował. Najwyraźniej Viggo był prawdziwą złotą rączką i pracował tam, gdzie go potrzebowano. Pamiętając o ołowiu w szkielecie, prześledziłam listę Dana z możliwymi zawodami. Robotnik budowlany był w pierwszej piątce. Udało mi się połączyć go z firmą budowlaną, która nazywa się Ljungströms Bygg AB. A teraz najlepsze. – Uśmiecha się szeroko. – Ljungströms Bygg AB to jedna z firm, które pracowały przy budowie nowego pawilonu szpitalnego w Lillhagen, otwartego w siedemdziesiątym piątym. Kiedy skończyli, Viggo zwolnił się z Ljungströms Bygg i przebranżowił na opiekuna medycznego na psychiatrii. Jeśli posprawdzasz listy, na pewno znajdziesz tam jego nazwisko.

David gwizdże i Lovisa czuje zimny dreszcz przeszywający ją wzdłuż kręgosłupa. Sieć zaczyna się zaciskać. Zbliżają się do rozwiązania. Jeszcze nie pracowała przy sprawie tej rangi, więc to naprawdę mocne.

Trzyma w górze kartkę z wydrukiem kiepskiej jakości.

– To spójrz tu. – Wskazuje na jednego z mężczyzn. – To jest Viggo Hansen. Znany również jako Mężczyzna z Marabou.

Kładzie na biurku zdjęcie przedstawiające trzech mężczyzn po trzydziestce stojących przed rusztowaniem i wskazuje jednego z nich. Choć fotografia jest stara i niezbyt ostra, wyraźnie widać bliznę po prawej stronie twarzy. Szpeci

i nadaje jej nieprzyjemny wyraz. Taki, który odstrasza małe dzieci i sprawia, że nastoletnie dziewczyny odwracają głowy.

– Policzek.

– Nom. – kiwa głową Lovisa. – Ta blizna dość dobrze pasuje, prawda?

David potakuje.

– Według rodziców nabawił się jej kilka lat wcześniej w bójce, kiedy pracował na budowie w Kopenhadze. Rana była poważna i po tym zmieniła mu się osobowość. Nagle stał się wredny.

David podnosi wzrok i czeka na kontynuację.

– Udało mi się dotrzeć do jednego z lekarzy, który pracował w Lillhagen jednocześnie z Viggiem. Oscar Berenrot. Może się z nami spotkać za jakąś godzinę.

David śmieje się krótko i podnosi do góry żółtą karteczkę. Imię i nazwisko Oscar Berenrot i numer telefonu są na niej zapisane czarnymi literami. Lovisa patrzy na niego pytająco.

– Właśnie miałem zadzwonić do tego samego doktora Berenrota. Był lekarzem Didrika Mörcka, kiedy to się wydarzyło.

Rozdział 49

Stina przygląda się Svenowi Mörckowi. Siły jakby go opuściły. Siedzi teraz przed nią, stary i zgarbiony, bez sił w szarym spojrzeniu. Zmęczony. Myśli o tym, że przed nią z tego zużytego fotela, w którym ona siedzi, patrzyło na mężczyznę wielu policjantów, zarówno w mundurach, jak i po cywilu. Prześledziła akta i wyczytała pomiędzy wierszami, że niektórym było go żal i postępowali z nim taktownie, a niektórzy byli wprost nieprzyjemni.

Zastanawia się, jak ten biedny człowiek zdołał przetrwać te wszystkie lata. Najpierw stracił żonę. Potem syna. Żadnego z nich naturalną śmiercią, wręcz odwrotnie, w najgorsze z możliwych sposobów. Jak się wtedy czuł? Czy czas stanął dla niego w miejscu, kiedy znalazł żonę w wannie na górze? A może zatrzymał się, kiedy jego syn przyniósł zakrwawioną i pobitą Cherie?

Mężczyzna wzdycha i patrzy na nią poczerwieniałymi oczami.

– Ta dziewczynka, tak. Nie tylko Didrik ją znał. Wszyscy ją znaliśmy. Cherie była u nas w domu prawie jak córka. Ze wszystkimi się przyjaźniła. Kiedy tu wpadała, w tych czterech ścianach rozbrzmiewał śmiech. Nie dało się jej nie lubić. Taka była. Ale miała ciężko. Pochodziła z rodziny z problemami. Rodzice się rozwiedli i matka znalazła nowego mężczyznę, który... – Marszczy czoło i przejeżdża po nim dłonią.

– Który?

– Tak, napastował ją w sposób, w jaki... – Wierci się z obrzydzeniem na krześle i odchrząkuje. – W jaki nie powinien. Jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

– To znaczy seksualnie?

– Tak. – Wielkie dłonie z plamami starczymi mocno chwytają za podłokietniki, a żyły nabrzmiewają. – Nigdy mi tego nie powiedziała, ale się domyśliłem. Byłem taki zły, rozumie pani. Było mi jej żal. Chciałem ją uściskać. – Powoli kręci głową. – Ale nigdy się nie odważyłem. Bałem się, że źle to odbierze. – Milknie, a potem mówi dalej: – To Didrik ją znalazł.

– Znalazł? Jak to?

– Spała w stajni. Albo dokładniej: na górze, na strychu na siano. – Gestem pokazuje w stronę budynków gospodarczych. – Wydaje mi się, że chciała jak najczęściej być z dala od domu. Didrik wpadł na to, że zaczęła sobie tam na górze mościć posłanie. Na ścieżce wentylacyjnej na górze pod pułapem. Pościeliła sobie śpiworem i poduszką, miała latarkę i kilka gazet do czytania. Wiedzieliśmy, że tam bywa, ale udawaliśmy, że nie mamy pojęcia. Didrik miał w zwyczaju potajemnie zanosić jej jedzenie. Myślał, że niczego nie zauważyłem.

Uśmiecha się melancholijnie.

– Była ładną dziewczyną. W wieku Didrika. Trochę młodsza. Długie blond włosy. Zawsze uważałem, że przypomina księżniczkę z bajki. – Jego wzrok staje się jakby miękniejszy, a głos łagodniejszy. – Taka była, powabna, piękna i krucha. Taka była Cherie. Krucha, a jednocześnie najsilniejsza z nas wszystkich.

Stina patrzy w dół na stopy i przesuwa je na dywanik w paski. Czuje się jak intruz w pamięci tego człowieka.

– Chłopak był w niej zakochany – ciągnie dalej. – Chodził za nią jak psiak, gdziekolwiek poszła. Była jedyną osobą, która mogła sprawić, że wyciągał nos z książek i mówił jak normalny, rzeczowy człowiek.

Mężczyzna znów potrząsa głową. Puszczą podłokietniki i wciska snus głębiej pod wargę.

– To był ciężki czas. Wozilem syna od jednego lekarza do drugiego. Jeden mówił to, drugi tamto. Konowały, co oni tam wiedzą – mówi, a ton głosu mu się zmienia, staje się oschły i zimny. – Jednocześnie próbowaliśmy udawać, że wszystko jest w normie. Ale ani trochę takie nie było.

– Został pan z tym wszystkim zupełnie sam?

– Tak. Na początku nie. Ale później tak. Jego matka nie dała sobie rady. Zostawiła nas. – Pociera czoło, tak że łokciem trafia w lampę stojącą, a plisowany abażur chwieje się na boki. Mówi dalej, nie rzucając na niego ani spojrzenia. – A może i dobrze.

– Dlaczego?

– To stamtąd to przyszło. Wszystkie te jego rozmyślenia i problemy. Miał to po niej. Nikt z mojej rodziny nigdy nie był słaby na umyśle. Wie pani, ona się zabiła. – Przestaje mówić i znów przejeżdża językiem po zębach. – To Didrik ją znalazł.

Tam leżała. – Podnosi rękę i pokazuje na górę. – W łazience. Podcięła sobie nadgarstki w wannie. Tyle krwi. – Wbija wzrok w Stinę.

– Ile lat miał wtedy Didrik?

– Miał około siedemnastu, osiemnastu lat. – Stary Mörck dalej kręci głową. – Ciężko mu było. Melancholijny był już wcześniej, ale po tym stał się wręcz dziwny.

– Przeżycie czegoś takiego to dla każdego trudna sprawa. Jeśli już wcześniej było źle, to coś takiego musi to jeszcze pogorszyć.

– Tak – odpowiada Mörck i odwraca wzrok. – To jasne.

– Czy ma rodzeństwo?

– Nie. Didrik nam wystarczył. Nie miałyby siły na jeszcze jednego dzieciaka. Nawet na niego nie miała przecież siły.

– Rozumiem.

– Kiedy przyszła do nas Cherie, zaczął za nią chodzić jak szczenię. Jak tylko ją widział, oczy mu się świeciły. Najpierw się ucieszyłem. Nareszcie chłopak trochę odżył. I pomyślałem, że może on też wyjdzie na ludzi. To dlatego pozwalałem jej tu być. Ale to nie miało sensu. I tak po prawdzie, po co on jej był? Ona piękna jak marzenie, a on chuderlawy, zaczytany i niezdarny chłopak, który miał niezbyt poukładane w głowie.

– Odrzuciła go?

– Nie, wcale nie – zaprzecza. – Nie potrafię sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek powiedziała coś niemiłego. Zawsze była do rany przyłóż. To jedna z takich osób, które rzadko się spotyka. Ktoś, kto jest piękny nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz. Dbała o niego, tak samo jak o konie i psy. Tylko że serce nie sługa. Jakkolwiek przyjazną duszą by się było. Nie można się zmusić do zakochania. Ale... – Kiwa głową do przodu i do tyłu. – Myślę, że lubiła Didrika, chociaż nie w ten sposób, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

– Tak, rozumiem.

– To było dla chłopaka trudne – kontynuuje mężczyzna. – Zawsze kiedy nie miał przy sobie Cherie, chodził w tę i w tę i burczał coś pod nosem. Czasami nawet pokrzykiwał i wymachiwał rękami w stronę czegoś, czego my nie widzieliśmy. Głosów, które słyszał w głowie. W końcu zdecydowałem, że musi trafić do

szpitala. Rozmawiałem z nim o tym, chciał wyzdrowieć i uwolnić się od głosów. Myślał sporo o matce i o tym, że nie chciał skończyć tak jak ona. Cherie obiecała przyjeżdżać i odwiedzać go tak często, jak to możliwe.

Cieężko wzdycha.

– Ulżyło mi, kiedy zniknął z domu. Dobrze było poczuć, że otrzymał pomoc, i nie musieć się codziennie bać, że znajdę go tak jak jego matkę. Dało mi to trochę wytchnienia. Aż do tamtego wieczoru.

Chowa twarz w dłoniach, a potem przejeżdża nimi po włosach, tak że siwe kosmyki stają dęba. Stina myśli, że on nigdy nie zapomni tamtego dnia.

– Proszę opowiedzieć.

Mężczyzna powoli kiwa głową.

– Siedziałem tu, w domu. – Wskazuje na jej miejsce. – W fotelu, w którym pani teraz siedzi.

Policjantka wierci się i przechodzi ją zimny dreszcz, tak jakby patrzył na nią ktoś, kogo nie może zobaczyć.

– Nagle po prostu tam stanął. – Mörck unosi rękę i wskazuje gestem. Stina wzdryga się, odwraca, patrzy na wąską wnękę drzwiową i przez chwilę wydaje się jej, że stoi tam Didrik ze sztywną i zakrwawioną Cherie w ramionach.

– Tam stał i ją trzymał. Blond włosy miała zmierzwiłone i zakrwawione.

Zasłania twarz wielkimi dłońmi.

– Od razu zrozumiałem. Zrozumiałem, że to właśnie tego się obawiałem. Coś się przestawilo i stało się coś o wiele gorszego, niż sobie mogłem wyobrazić.

Opuszcza ręce i wpatruje się niewidzącym wzrokiem w ścianę ponad jej głową. W oczach coś na chwilę migocze. Policjantka chce wyciągnąć rękę i położyć na jego dłoni, ale się powstrzymuje.

– Widział go pan w drzwiach z zakrwawioną Cherie w ramionach i pana pierwszą myślą było, że Didrik coś zrobił? – pyta. – Jak mógł pan być tego taki pewien? Czy to nie mógł być wypadek?

– Nie. – Zaprzecza gestem. – Żaden wypadek. Kiedy ich zobaczyłem, zrozumiałem, że to właśnie na to czekałem. Kilka godzin wcześniej zadzwonili ze szpitala i powiedzieli, że uciekł. Jak tylko dostałem ten telefon, wiedziałem, że coś się stanie. Wiedziałem. Proszę mi wierzyć. Wiedziałem.

Stina kiwa głową.

– Siedziałem tu ze wzrokiem wbitym w nich, kiedy usłyszałem, jak ona westchnęła, i zrozumiałem, że jeszcze pod tą mięsistą zakrwawioną masą tliło się życie. Byłem sam w gospodarstwie i próbowałem pomóc, jak tylko mogłem.

Policjantka wie, co Didrik zrobił Cherie, i może sobie tylko wyobrazić, jakie to uczucie trzymać jej lekkie ciało w ramionach. Czuć, jak wzięła ostatni zachrypnięty wdech, i patrzeć w oczy, którym zabrakło łez.

Mężczyzna rozkłada ręce.

– Ale nie znam się na pierwszej pomocy. Próbowałem coś robić, ale prawie nie odważyłem się jej dotykać. Więc zadzwoniłem po karetkę, a kiedy wróciłem, Didrik znikł.

– I nie wie pan, dokąd poszedł?

– Ależ wiem. Pobiegł do lasu. Znaleźli go w Skatås. Błąkającego się, zakrwawionego i burczącego pod nosem jak jakiś szaleniec. Powiedział, że niczego nie pamięta. Lekarze potwierdzili, że coś takiego może się stać. To pewnego rodzaju mechanizm obronny, którym dysponuje ciało. Wyparcie, że dokonano się tak strasznego występkę, bo wiedząc o tym, nie da się żyć.

Stina kiwa głową.

– Czy Cherie zdążyła coś powiedzieć?

Mężczyzna powoli potrząsa głową.

– Próbowała, ale to nie były normalne słowa. Dziwne, zniekształcone dźwięki, których nie dało się rozszyfrować.

– A Didrik? Powiedział coś?

– Płakał. Powiedział, że wiedział, że tak będzie.

– Nigdy pan nie wątpił w to, co się stało?

Mężczyzna zaprzecza.

– Nigdy.

– Skąd może pan być taki pewny?

Patrzy na nią długo, nic nie mówiąc. W końcu wzdycha i wstaje z krzesła.

– Zakładam, że równie dobrze może pani sama zobaczyć.

– Co zobaczyć?

– Chwileczkę.

Unosi rękę i wychodzi z pokoju. Stina słyszy jego ciężkie kroki na trzeszczących deskach i inny dźwięk, kiedy są tłumione przez szmaciany dywanik. Zatrzymują się i słysząć jakby otwieranie szuflady. Robi się cicho. Powoli szuflada się zamyka, a gospodarz wraca do pokoju.

– Tutaj – mówi i wyciąga rękę przed siebie. – Tu pani zobaczy, jakiego potwora wyhodowałem we własnym domu. Zrozumie pani, dlaczego nie chcę odwiedzać syna.

Rozdział 50

Oscar Berenrot jest niski, chudy i lekko przygarbiony pod beżowym swetrem. Stopy obute w papucie dźwięcznie szurają, kiedy podchodzi do gabinetu, który leży na śmierdzącym stęchlizną parterze ceglanej willi przy Sehlstedtsgatan w Björlandzie. Wskazuje im drogę do ciemnego, wyłożonego boazerią pokoju z obrazami przedstawiającymi morze na ścianach i tam zaprasza Davida i Lovisę, żeby usiedli na kanapie. On natomiast wybiera miejsce za biurkiem, które jest równie ciemne jak wszystko inne w pomieszczeniu.

David kładzie aktówkę na stoliku i siada z głośnym skrzypnięciem w suchym skórzanym obiciu. Dalej jest na siebie zły. Jak, do kurwy nędzy, mógł przegapić to, że Cissi Rolf powiedziała, że na imprezach bywał obcokrajowiec? Powinien był pójść tym tropem i może szybciej udałoby się zidentyfikować Vigga Hansena. Nie popełnia takich błędów. To do niego niepodobne. Jedyne, co może sobie wyobrazić, to że ta sprawa z Karin ma na niego większy wpływ, niż sobie wcześniej uświadamiał. Tak czy owak, zdarzyło się to raz i już się więcej nie powtórzy.

Patrzy na Berenrota, który sadowi się na krześle za biurkiem i wyjmuje z kieszeni spodni pomietą chusteczkę, by wytrzeć nią wilgotne oczy.

– Jest pan chory? – pyta David.

– Nie, nie. – Głos lekarza ma zaskakująco stanowcze brzmienie jak na to, że wydobywa się z tak niewielkiego ciała. – To tylko odpływ z kanalików łzowych nie działa tak, jak powinien. Taka przypadłość na starość, po prostu.

David się rozgląda.

– Czy dalej przyjmuje pan pacjentów?

– Nie – odpowiada Berenrot i odchrząkuje.

David się uśmiecha. Sądzi, że Berenrot nie mówi prawdy, i decyduje się to wykorzystać.

– Niech pan posłucha, doktorze – mówi, odchyła się i zakłada nogę na nogę. – Ze względu na to, że stracił pan prawo do wykonywania zawodu, byłoby to

niefortunne. Nie będziemy tego dokładniej sprawdzać, jeśli będzie pan dziś pomocny i odpowie na nasze pytania według pana absolutnie najlepszej wiedzy.

Berenrot kiwa głową, nic nie mówiąc.

– Dobrze. – David wstaje, zabiera ze sobą teczkę, podchodzi do biurka i kładzie przed lekarzem dwa zdjęcia. – Poznaje pan tych mężczyzn?

Berenrot ponownie wyciera się pod oczami i nawykłym gestem chowa chusteczkę. Potem nachyla się po okulary, zakłada je, unosi zdjęcia i w ciszy się im przygląda.

Zaledwie chwila mija, nim zerknie w górę i wskaże palcem na fotografię na wierzchu.

– To jest mój były pacjent, z czasów, kiedy byłem lekarzem w Lillhagen. Nazywał się Didrik Mörck. Pamiętam go bardzo dobrze. – Kiwa głową sam do siebie. – Nie dlatego, że robił koło siebie dużo hałasu, kiedy u nas był, tylko z powodu tego, co zrobił później. – Zerka w górę. – Ale to pewnie państwo wiedzą?

– Tak, tak, wiemy – potwierdza David.

Mężczyzna kładzie palec na drugim zdjęciu.

– Pamiętam też tego człowieka. Nie był pacjentem, tylko pracował jako opiekun. Niestety nie przypominam sobie jego imienia – mówi i marszczy czoło.

– Viggo Hansen?

– Właśnie. Tak się nazywał, tak. Przydatny chłop. Taki, któremu robota paliła się w rękach. Tylko szkoda jego twarzy. Trochę nieprzyjemnie się na nią patrzyło.

Odchyła się i zdejmuje okulary.

– Co może pan o nim powiedzieć? – pyta Lovisa.

– To ja go zatrudniłem. W tamtych czasach nie mogliśmy przebierać tak jak dziś. Silne chłopcy były potrzebne w opiece psychiatrycznej i nie zawsze tak łatwo było ich znaleźć. On był jednym z tych, którzy przyszli z budowlanki. Nie byli wybredni. Cieszyli się tylko, że dostali nową robotę, kiedy zostali bez starej.

Pozwala wzrokowi zatrzymać się na czymś na ścianie za nimi, a potem wraca. Coś mu się przypomina.

– Kiedy teraz o tym myślę, to przypomina mi się, że z całą pewnością obydwaj mężczyźni odeszli z Lillhagen mniej więcej jednocześnie, ale nie pamiętam

dokładnie kiedy.

– Latem siedemdziesiątego siódmego?

Doktor powoli kiwa głową, wyławia chusteczkę i ponownie wyciera łzawiące oczy.

– Mogło tak być. Bardzo dobrze pamiętam twarze i imiona. Z latami jest, niestety, gorzej.

– Czyli Didrik Mörck był pana pacjentem w Lillhagen? – upewnia się David.

– Tak, zgadza się.

– Pamięta pan, co się stało, kiedy opuścili to miejsce?

– Tak – odpowiada powoli. – Didrik po prostu uciekł. Nie uważaliśmy go za jednego z tych najniebezpieczniejszych, więc nigdy jakoś bardzo go nie szukano. Myślę, że zadzwoniliśmy w kilka miejsc, ale niewiele więcej się wydarzyło. Potem było inaczej, oczywiście.

– Tak, no przecież – wtrąca Lovisa.

Doktor unosi brwi i patrzy na nią.

– Tak. Jeślibyście go trochę intensywniej szukali, to może teraz jedna dziewczyna byłaby jeszcze żywa.

Powoli kiwa głową.

– Tak, bardzo źle się stało. Ale nikt z nas tego nie przewidział.

– Co najlepiej pamięta pan na temat Didrika? – pyta dalej David.

Lekarz potrząsa ramionami.

– Jeśli mam być szczerzy, to tak naprawdę nie bardzo nam się podobało, że był u nas w Lillhagen. Nie żeby był kłopotliwy z powodu agresywnego zachowania, nic z tych rzeczy. Odwrotnie, często przebywał sam ze sobą. Ale z jakiegoś powodu wielu pacjentów dziwnie się przy nim czuło i go unikało. Miał wokół siebie jakąś aurę. Jakiś taki niepokojący wygląd, który zabijał nastrój i to sprawiało, że wielu naszych podopiecznych robiło się niespokojnych. Osoby w tym stanie często zdają się na intuicję i są wrażliwe na fluidy i niewypowiedziane słowa. A potem zrozumieliśmy dlaczego. – Ponownie wyciera łzy. – Ale czemu nie rozmawiają państwo bezpośrednio z nim? Stamtąd, gdzie teraz jest, daleko nie ucieknie. Siedzi w Brinkåsen, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Już nie. Uciekł stamtąd trzy dni temu.

– Ach, tak? – reaguje lekarz ze zdziwieniem.

– Pisano o tym w gazetach i mówiono w wiadomościach.

– Wyjechałem na kilka dni i nie miałem dobrego dostępu do wiadomości. Ale jak to się stało? Myślałem, że ucieczka z Brinkåsen jest niemożliwa.

– Nie mogę się wdawać w szczegóły, jednak zanim uciekł, ujawnił, gdzie ten człowiek jest pogrzebany. – David pokazuje na zdjęcie Vigga Hansena. – Zabity jakoś pod koniec lat siedemdziesiątych.

Lekarz powoli kiwa głową i wyciera łzy.

– I sądzą państwo, że miał coś wspólnego z zabójstwem?

– Wiele na to wskazuje. Zniknęli mniej więcej w tym samym momencie z tego samego miejsca. Didrik naprowadził nas na jego grób. To nie zbyt daleko idący wniosek, że te sprawy się ze sobą wiążą. Jak dobrze, według pana, się znali? Mogli spędzać razem czas?

– Bynajmniej – odpowiada szybko Berenrot.

– Dlaczego nie?

Kręci głową.

– To pytanie jest absurdalne. Dlaczego jakiś opiekun i pacjent mieliby się kolegować? Chyba nikt o tym nie słyszał.

– Dlaczego?

– Z kilku powodów. Po pierwsze, personelowi nie wolno było nawiązywać jakiegokolwiek prywatnego kontaktu z pacjentami. Poza tym nikt nie spędzał czasu z Didrikiem. Najlepiej czuł się we własnym towarzystwie i wśród książek. Po drugie, opiekunowie, którzy by przestawali ze swoimi podopiecznymi... Nie, to bynajmniej nie byłoby właściwie.

– Proszę to odwrócić w takim razie – proponuje Lovisa. – Czy mogli być wrogami?

Mężczyzna powoli odkłada okulary na biurko.

– To interesujące zagadnienie, które wydaje się o wiele bardziej prawdopodobne.

Rozdział 51

Dan Kowalski i jego rodzice opuścili Polskę, kiedy Dan miał trzy lata, i od tamtej pory pojechał do ojczyzny tylko raz. Siedem lat temu na pogrzeb dziadka. Był zimny i szary zimowy dzień na początku grudnia i wszystko, co pamiętał, to że zmarł i czuł się obco. Teraz, tego ciepłego lipcowego przedpołudnia, powietrze jest zupełnie inne. Jest ciężkie i tak przygniecione zanieczyszczeniami i spalinami, że trudno się oddycha. Prawie tak, że zatyka nos. Nie podoba mu się to.

Wylądował na lotnisku w Krakowie przed trzema godzinami, pół godziny później niż planowo. Pojechał do centrum taksówką i zameldował się w hotelu Novotel, naprzeciwko Wawelu. Dla uspokojenia nerwów uciął sobie szybki spacer na Rynek Główny i z powrotem. Potem zamówił nową taksówkę do znajdującego się tuż poza miastem kompleksu budynków mieszkalnych, który mocno kontrastował z pięknymi starymi zabudowaniami w starszej części centrum. Tu króluje wysokość, szarość i brak kolorów.

Teraz stoi w małej trzęsącej się windzie i czeka, aż ta zabierze go na szóste piętro. Patrzy w nieduże lustro i przygląda ręką włosy. Czuje się zarówno zdenerwowany i spięty, jak i podekscytowany.

Kiedy winda zatrzymuje się z szarpnięciem, skręca go w żołądku. Wysiada i jest na galerii z czworgiem drzwi. Patrzy na nazwiska na tabliczkach, a potem na karteczkę w rękę. Podchodzi do drzwi, unosi rękę i puka.

Mija około sekundy, potem drzwi się szeroko otwierają. Zanim zdąży coś powiedzieć, dwoje mocnych ramion wciąga go do ciemnego mieszkania.

Rozdział 52

Sven Mörck wyciąga w stronę Stiny poślódką kopertę z brązowymi plamami. Policjantka podnosi wzrok i ich oczy się spotykają.

– Co to jest?

– List.

– Tak, to widzę – odpowiada i bierze go do ręki. – Ale co to za list?

Mężczyzna nic nie mówi. Odwraca się tylko i ciężko siada na krześle. Podnosi głowę i patrzy na Stinę.

– Znalazłem go w jej ubraniach. Miała go w kieszeni.

Nagle koperta w jej dłoni pali i wydaje się ciężka.

– To od Didrika. – Milknie i upycha językiem snus. – Opisuje, co ma zamiar z nią zrobić.

Stina wbija w niego wzrok i czuje, jak gęsia skórka pokrywa jej ramiona.

– Wszystko opisuje. Tortury i inne diabelskie rzeczy.

Dopiero teraz w pełni rozumie, co on tak naprawdę mówi. Unosi list i macha nim.

– Ależ co pan mówi? Miał go pan przez cały czas?

Mörck potwierdza gestem.

– Dlaczego nie dał go pan policji?

– To prywatne.

– Prywatne? – Stina czuje zawroty głowy. – List do ofiary napisany przez mordercę i gwałciciela, który twierdzi, że nic nie pamięta. Jak to, kurwa, może być prywatne?

– Złapaliście go przecież. Wsadziliście za kratki. To chyba wystarczy.

Stina próbuje uspokoić szybki oddech.

– Muszę to ze sobą zabrać. Pan to rozumie, prawda? Muszę go dać naszym technikom, żeby mogli przeanalizować zawartość. Ten list może być bardzo ważny. Może wypełnić luki, których nie udało się rozwikłać przy rekonstrukcji.

– Tak.

Kobieta wstaje, ostrożnie trzymając kopertę.

– Czy ma pan plastikowy woreczek, do którego mogłabym go włożyć?

– Oczywiście.

Kiedy mężczyzna wraca, Stina bierze od niego torebkę i obserwuje go w ciszy.

On pochyla kark.

– Co się teraz stanie? To znaczy ze mną?

– Tak naprawdę to nie wiem. – Jest zła, ale jednocześnie jej go żal.

Sven Mörck otrzymał surowszą karę, niż prawo kiedykolwiek mogłoby przewidzieć.

Rozdział 53

David Sandberg-Saliba pochyla się na kanapie.

– Dlaczego to prawdopodobne, że Didrik poróżnił się z kimś z personelu?

Oscar Berenrot zdejmuje okulary i wkłada jeden zauszniak do ust. Ssie go przez chwilę, chrząka i je odkłada.

– Żeby to pojąć, trzeba zrozumieć ówczesną opiekę psychiatryczną, która trzydzieści, czterdzieści lat temu wyglądała zupełnie inaczej niż dziś. Cały aparat służby zdrowia przechodził zmiany. Na początku dwudziestego wieku nastąpiła olbrzymia ekspansja opieki nad umysłowo chorymi i właściwie każdy był leczony, niezależnie, czy tego potrzebował czy nie. Duże szpitale psychiatryczne były jak małe samowystarczalne społeczności. Podejście też było takie, że żadnego pacjenta z psychozą nie da się wyleczyć, i nie interesowano się zagadnieniami terapii. Ale w latach siedemdziesiątych wahadło się przechyliło i chciano przejść do otwartej opieki i zamknąć wielkie molochy. To właśnie stało się trochę później, w latach osiemdziesiątych, kiedy placówki mniej lub bardziej opróżniono z pacjentów. Nie było tak prosto zmienić sposób myślenia. Niektórzy mieli trudności z nadążaniem i chcieli pozostać przy starym systemie. W Lillhagen dość szybko przyjęliśmy nowe metody, oparte w większym stopniu na terapii. Próbowaliśmy rehabilitować i wypisywać podopiecznych, kiedy większość uznawała to za niemożliwe. Niestety otwarta opieka zdrowotna nie działała zbyt dobrze, bo rejonowe ośrodki nie dostały takich pieniędzy, jakich potrzebowały, i pacjenci mieli się źle.

– Ale nie odpowiada pan na pytanie. Dlaczego Didrik miałby mieć wrogów wśród personelu?

– Lillhagen było dobrym szpitalem. Ale będę szczery i powiem, że czasem bywało tam ostro i część pacjentów musiała dla swojego dobra być do pewnych rzeczy zmuszana. Trzeba też być świadomym, że mieliśmy tam wiele najtrudniejszych przypadków. Było ciężko i może istniały wyjątki, ale w większości przypadków opiekunowie i pacjenci się nie lubili. – Wzdycha. – Ale, tak jak mówię, to było ponad trzydzieści lat temu. Moje życie było pełne ludzi,

k którzy przychodzili i odchodzili, i nie mogę sobie przypomnieć, żeby coś szczególnego miało się wydarzyć pomiędzy nimi dwoma.

– Rozumiemy. A pamięta pan coś o Viggu Hansenie?

– I tak, i nie. – Drapie się po czole. – Jak już mówiłem, zapamiętałem go jako kogoś, kto załatwiał sprawy. Poza tym ciężko pracował. Często brał podwójne zmiany. Pochodził z Danii i sądzę, że do Szwecji przyjechał, żeby pracować. A nie po to, żeby sobie tu życie ułożyć. Kiedy się nie pojawił, przyjąłem, że wrócił do domu. Nie było w tym nic dziwnego. Opiekunowie przychodzili i odchodzili. Część zostawała na kilka miesięcy, a inni tylko na dzień. Ale Viggo był tu długo, a poza tym uważnie przyglądał się pacjentom. Nie było to tak częste w tamtych czasach, nie u ludzi z jego historią.

– Co ma pan na myśli?

– Z grubsza rzecz biorąc, opiekunów można podzielić na dwie kategorie. Jedna to ci, którzy rzeczywiście chcieli pracować w służbie zdrowia i czuli powołanie. Nie było ich zbyt wielu. W każdym razie nie u nas, w Lillhagen. Ci drudzy to ci, którzy wzięli tę pracę tylko dlatego, że potrzebowali pieniędzy. Często były to osiłki, szukaliśmy właśnie takich, żeby dali sobie radę z pacjentami.

– A Viggo był silny?

– Tak, był.

– Chociaż należał do pierwszej kategorii?

– Nie. – Mężczyzna kręci głową. – Nie sądzę, żeby miał powołanie. Ale dobrze mu szło z pacjentami. Robili, co im kazał. Osiągał rezultaty. Lekarze go doceniali.

– A wie pan, jak osiągał te rezultaty?

Doktor wzrusza wąskimi ramionami i znów wyciera łzy.

– Żyliśmy w osobnych światach. Nie wtrącałem się do jego pracy, a on nie wtrącał się do mojej.

– O ile rozumiem, część opiekunów dosłownie nie nadawała się do tej roli?

– Na pewno mogli się tacy zdarzyć. Nie mam jednak w pamięci, żeby Hansen wyróżniał się w jakiś negatywny sposób.

– I nie wie pan, co się z nim stało?

– Jak powiedziałem, zniknął, a to nie było nic nadzwyczajnego.

– Jak długo u was był?

– To było tak dawno temu. Ponad trzydzieści pięć lat temu. Wielu ludzi się przewinięło, zarówno opiekunów, jak i pacjentów. – Znów zaprzecza gestem. – Nie pamiętam dokładnie. Ale według naszej miary było to dość długo, więc jakiś rok albo kilka lat.

David kiwa głową.

– A Didrik? Co może pan o nim powiedzieć?

– Ach, Didrik. Nasz poczciwy Didrik. – Berenrot odchyła się na krześle. – Didrik był trudny. Chociaż był kłębkiem nerwów, którego chcieliśmy się pozbyć, był jednym z niewielu interesujących pacjentów. Nigdy nie zrozumiałem tego, co zrobił tej dziewczynie, i chciałbym się dowiedzieć dlaczego. Jak już mówiłem, nie był lubiany. Miałem z nim sporo pogadanek i pamiętam, że często mówił o tym, że musi iść za swoim przeznaczeniem.

– A co było jego przeznaczeniem? – dopytuje Lovisa.

– Długo myślałem, że to oznaczało, że chciał, by spotkał go ten sam los co matkę. Ona popełniła samobójstwo, wiedzą państwo.

David i Lovisa potakują.

– Ale kiedy spędziłem z nim trochę więcej czasu, mówił, że jego przeznaczeniem było robienie strasznych rzeczy. Stale chodziło mu to po głowie. Myślał o sprawach, o których nie chciał myśleć. Słyszał też głosy. Wmawiał sobie różne rzeczy. Okropieństwa, sądził, że wydarzyły się w szpitalu. Z jego udziałem. Był paranoikiem i myślał, że inni go śledzili i chcieli skrzywdzić. Pamiętam, że nawet sam siebie okaleczył, pokazał siniaki i oskarżył o to innych. W końcu zrobiło się tego za dużo.

– I nie udało się państwu sprawić, żeby przestał o tym myśleć?

Psychiatra zaprzecza.

– Nie. W końcu stało się tak, jak mówił. Dopuscił się czegoś okropnego. To było jak samospełniająca się przepowiednia. Przecież zabił swoją dziewczynę.

– Dziewczynę?

– Nooo, w każdym razie tak ją nazywał. Ona oczywiście nie była jego dziewczyną, ale pamiętam, że był w niej bardzo zakochany. Rozchmurzał się tylko wtedy, kiedy się ją wspominało, i było widać, że pod tą powierzchnią kryło się coś ludzkiego. Faktem jest, że to, co się stało, było dla mnie szokiem. Nie mieściło mi

się to w głowie, ale może to tylko pokazuje, jak bardzo trudno odczytywać ludzi z takim zespołem symptomów. Jeśli urojenia są wystarczająco silne, nie istnieją granice tego, do czego tacy jak Didrik Mörck są zdolni.

Rozdział 54

Stina parkuje samochód na jednym z siedmiu miejsc dla odwiedzających i idzie wzdłuż placu zabaw. Jakiś brudny dzieciak pełza na czworakach po piaskownicy pełnej niedopałków, słońce pali cieniutkie ciemiączko. Dwie dziewczyny stoją i rozmawiają, obydwie z papierosami w rękach, w krótkich podziurawionych dżinsowych szortach i koszulkach, które odsłaniają biżuterię w pępkach. Kolczyki. Współczesna odpowiedź na przekłute uszy w jej czasach. Nie mogła się do tego przyzwyczaić i oburzyła się, kiedy Lilly przyszła do domu i powiedziała, że też by chciała. Ale zrozumiała, że gdyby z nią nie poszła i nie dopilnowała, żeby to było porządnie wykonane, córka i tak zrobiłaby sobie piercing w pępku. A wtedy może poskutkowałoby to infekcją w niezbyt sterylnym salonie.

Poszła więc z nią. Siedziała obok i trzymała córkę za rękę, kiedy wykolczykowany i mocno wytatuowany młody mężczyzna uszczypnął ją nad pępkiem i przeciągnął przez skórę grubą igłę. Bolało ją, ale narzędzie było wysterylizowane. A młody człowiek na każdym etapie zwracał uwagę na zmianę rękawiczek. W ten sposób usprawiedliwiała decyzję towarzyszenia córce. Ku jej radości ten typ ozdoby nie był już tak modny i zauważyła, że na brzuchu córki obecnie najczęściej nie było biżuterii. Poza tym Annie przestała jej o to suszyć głowę.

Rozgląda się. Jest w dzielnicy Hisings Backa. Kilka lat temu było tu sporo problemów. Okolica stała się posegregowana społecznie. Zyskała złą opinię w ciągu niemal jednego dnia. Młodzież protestowała przeciwko biedzie i beznadziei i miała za mało sensownych rzeczy do roboty. Zamiast tego podpalała samochody. Rzucała kamieniami w wozy strażackie. Groziła policji. Środowisko, w którym gangi miały się wspaniale i gdzie ulice nie były bezpieczne.

W pewnym okresie jej umundurowani koledzy i koleżanki spędzali tu dużo czasu, a spółka mieszkaniowa Poseidon w ostatnich latach sporo zainwestowała w renowację domów i pracowano nad poprawą warunków życia mieszkańców. To

przyniosło korzyści. W okolicy zrobiło się o wiele lepiej, nawet jeśli nie wszystkie problemy zostały rozwiązane.

Cherie spędziła tu swoje krótkie życie. Stina myśli o liście, który teraz jest u techników, i ponownie kieruje wzrok na dziecko, które teraz ma zamiar włożyć do buzi piasek.

– Hej! – woła do kobiet. – Uważajcie na dzieciaka. Ona je piasek.

Patrzą na nią, ale ona idzie dalej. Myśli, że może kiedyś Cherie też tam siedziała, szczęśliwie nieświadoma tego, co ją miało spotkać. Jeśli nie spotkałaby Didrika, może właśnie ona byłaby w drodze do piaskownicy po swojego wnuka.

Dom, do którego zmierza Stina, nie został jeszcze odremontowany. Szyba z boku drzwi do klatki jest rozbita i nikt się nie pofatygował, żeby pozbierać odłamki. Policjantka przechodzi przez drzwi, potem idzie schodami na pierwsze piętro i dzwoni.

– Policja – mówi, wyciągając legitymację, kiedy słycać otwieranie. – To ja wcześniej dzwoniłam. Stina Seger.

Kobieta patrzy na dokument przez szczelinę w drzwiach i kiwa głową. Przymyka i Stina słyszy, jak łańcuszek szeleści i uderza o framugę.

To matka Cherie, Jackie Andersson, stoi przed nią w podniszczonych dżinsach i krótkiej kurteczce ze sztucznej skóry założonej na białą tunikę. Włosy ma cienkie i tak zniszczone na tlenionych końcówkach, że wokół jej mocno umalowanej twarzy zostało tylko kilka cienkich kosmyków. Mimo to Stina jest w stanie odnaleźć w twarzy piękne rysy i widzi, że to po matce Cherie odziedziczyła urodę.

Spogląda na nią i czuje wdzięczność z powodu tego, że Jackie Andersson nie musiała czytać listu. Może to jednak dobrze, że Sven Mörck przez tyle lat utrzymywał jego istnienie w tajemnicy. Chociaż matka wie, przez co musiała przejść jej córka, nic nie dorównałoby sile okropieństwa szczegółowych i zaplanowanych opisów, które morderca sam wymyślił i przelał na papier. Przechodzi ją dreszcz i podąża do kuchni za kobietą.

– Tak, co mam powiedzieć. To cholernie ciężkie – mówi kobieta, kiedy Stina zajmuje miejsce przy stole z pękniętym porcelanowym kubkiem po brzegi wypełnionym stanowczo za mocną czarną kawą.

– Myślałam, że dziewczę miało się u nich dobrze, na gospodarstwie. Przecież kochała konie. Zwierzęta były jej całym światem i chciałam tylko, żeby dobrze się

miała.

Jackie trzęsącą się ręką unosi kubek z kawą do ust. Stina widywała to już wcześniej i wie, co robi z ciałem długoletnie nadużywanie alkoholu. Nalana, opuchnięta twarz z czerwonymi naczynkami w okolicy nosa. Brzuch nieco zbyt duży jak na chude nogi, którym trudno utrzymać równowagę. Dokładnie tak jak u Jackie Andersson.

– Cherie była moim ulubionym dzieckiem. Tak, tak, wiem. – Jackie odstawia kubek i unosi w stronę Stiny postarzałą dłoń z krótkimi pomalowanymi na czarno paznokciami. – Nie wolno tak mówić. Ale nie mogę się powstrzymać. Była taka kochana. Nie taka jak inne dzieci, które chciały ode mnie tylko pieniędzy, papierosów i napitków. A ja wiedziałam, że była rozsądna, nie głupia jak inni, i dlatego miałam odwagę puszczać ją do tego gospodarstwa.

Stina powoli kiwa głową.

– Czy wtedy też mieszkaliście tutaj, w Bace?

– Tak, a jakże! – odpowiada kobieta z dumą w głosie. – Mieszkam tu, od kiedy przeprowadziłam się do Göteborga. Wprowadziliśmy się w siedemdziesiątym pierwszym, kiedy osiedle było nowo wybudowane. Ale teraz może będę musiała się wyprowadzić. Wszystko remontują, a czynsze robią się cholernie wysokie. Zwykłych ludzi nie stać na mieszkanie tutaj, a niedługo dotrą do mojego bloku.

– Skąd pani pochodzi?

– Z Karlstadu.

Stina potakuje i rozgląda się dookoła. Dziura na wysokości kopnięcia w brązowych drzwiach z drewna okoumé, brudne naczynia w zlewie, bożonarodzeniowe firanki dalej wiszą w oknie. Sufit jest pożółkły od nikotyny, a z szafki pod zlewem wydobywa się nieświeży zapach. Mieszkanie, które zajmuje Jackie Andersson, nie jest przytulnym gniazdkiem i daleko mu do czystości.

Stina zagląda do pokoju za kuchnią. Są tam zielona skórzana kanapa i stół z imitacji marmuru, a na nim karton po pizzy, puszki po piwie i puste szklanki. Tego wszystkiego najprawdopodobniej nie widzi kobieta, która jest, albo raczej była, mamą Cherie, bo to jej codzienność.

– Więc Cherie też tu mieszkała?

– Tak, a jakże! – potwierdza Jackie i prostuje się.

– Jak trafiła stąd do gospodarstwa w Mölnlycke?

Jackie Andersson wkłada mały palec do ucha i drapie się.

– A diabli wiedzą. Te wszystkie koniary się znały. Sporo przebywała w stajni w Alleby pod Torslandą. Domyślam się, że pojechała tam z kimś stamtąd.

Stina patrzy do zeszytu, a potem znów na kobietę.

– Co prawda Cherie miała już szesnaście lat, kiedy przeprowadziła się do gospodarstwa w Mölnlycke, nie była małym dzieckiem, ale muszę zapytać, czy rozmawiała pani kiedykolwiek ze Svenem Mörckiem na temat tego, że tak dużo czasu tam spędzała.

Kobieta gapi się na nią.

– Rozmawiała? – Kaszle i bierze łyk kawy. – Oczywiście, że z nimi rozmawiałam.

– Wie pani, że córka mieszkała na strychu w stodole?

– Ale, nie... – Kobieta chwyta za paczkę papierosów, która leży przed nią na stole. – Nie, tu się pani myli, bo tam nie spała. Mieszkała w ich wielkim pięknym domu. Tak mi powiedziała. Miała wielki piękny pokój z białymi firankami i zupełnie własne biurko.

– Oni nie wiedzieli nawet, że tam była, dopóki nie zauważyli, że ukrywała się na strychu na siano. Potem pozwolono się jej wprowadzić.

Kobieta oblizuje usta, wytrząsa z paczki papierosa i przykłada go do ust drżącą ręką.

– Uciekła stąd.

Stina na nią patrzy.

– Ale pani wiedziała, prawda?

Rozdział 55

– Był pan świadkiem ekspertem podczas procesu – mówi David do Oscara Berenrota i kładzie ręce na blacie.

Policjant przeczytał protokół: lekarz wypowiedział się kilka razy w roli eksperta na temat psychiki Didrika Mörcka. Relacjonował, że Didrik był w głębokiej depresji z cechami paranoidalnymi i zamykał się w sobie. Co poprzedzało zabójstwo dziewczynki, nie mógł powiedzieć, ale możliwe, że panicznie zareagował na jakieś wydarzenie, którego nie mogli zidentyfikować. Przeżycie miało sprawić, że wpadł w stan podobny do psychozy, przez który stracił kontakt z rzeczywistością i się od niej odciął. Zgadzało się to z tym, co mówił Sten Dalbo.

– Zgadza się – potwierdza lekarz, wycierając poczerwieniałe łzawiące oczy. – Wezwano mnie na świadka-eksperta w charakterze lekarza oskarżonego, żebym przekazał moje spojrzenie na sprawę. Wszyscy chcieli wyjaśnień, jak to się mogło stać.

– Rozumiem – odpowiada Lovisa. – Ale czego nie rozumiem, to że kilka osób, między innymi pan, zeznało, że Didrik kochał Cherie Andersson. Jak mógł w takim razie zrobić to, co zrobił, i co się musiało stać, żeby to wywołać? To znaczy nie zabił jej po prostu w afekcie. Takie coś można by jeszcze jakimś cudem zrozumieć. Ale to były tortury. I to rozwlekłe.

– Tak, można uważać, że to dziwne. – Berenrot odchyła się na krzesło biurowym i połowę twarzy przysłania mu cień. Druga połowa jest oświetlona, a światło pada na jego łzawiące oko, co powoduje, że policzek jest zniekształcony i ma czerwone plamy. Tak jakby okolica wokół oka była mięsistą masą. – Muszę zatem powiedzieć to, co powiedziałem wtedy – kontynuuje. – Jedyne, co mogę sobie wyobrazić, to że dziewczyna go w jakiś sposób zawiodła. Wcale nie jest pewne, że rzeczywiście tak było, wystarczyłoby, by Didrik wyrobił sobie takie przekonanie, i w ten sposób stało się to jego rzeczywistością. Wielokrotnie trudno mu było oddzielać prawdę od fantazji, co częste u ludzi z jego objawami.

– Co takiego mogła zrobić? – pyta David. Zawód może mieć wiele postaci. Ten najczęstszy to zdrada. Drapie się po karku. Jeszcze gorzej, jeśli zdrada zyskuje dodatkowy smaczek, gdy dopuści się jej z przyjaciółką żony. Patrzy w dół na telefon. Esemesy od niej tam są, złożone na kupkę. Nigdy nie przestają przychodzić. Jest idiotą. Pieprzonym idiotą. Jak mógł to zrobić Karin?

– Nie da się tego stwierdzić – mówi Berenrot. – To mogło być, jak mówiłem, coś, co Didrik sobie wmówił. Był przecież w niej zakochany, ale nie sądzę, żeby ona odwzajemniała jego uczucia. Sądzę, że pewnie lubiła Didrika, ale zupełnie platonicznie. – Milknie i myśli. – A może i nie lubiła, naprawdę nie wiem. Raczej chyba było jej go żal. Obydwoje byli chyba zagubionymi duszami, których ścieżki się przecięły, i wydawało im się, że będą się sobą opiekować. Może już nie chciała więcej tam bywać. Kto wie. – Mężczyzna z wysiłkiem prostuje przygarbione plecy. – Możliwe, że to było powodem, dla którego Didrik zrobił to, co zrobił.

– Czyli nie pamięta pan, żeby stało się coś szczególnego?

Berenrot marszczy czoło.

– W ostatnim czasie Didrik nie chciał się z nią spotykać. Przy jakiejś okazji słyszałem, jak krzyczał, że jej nienawidzi i nigdy więcej nie chce mieć z nią do czynienia. Pamiętam, że pomyślałem, że to dziwne i że najwyraźniej coś się stało. A co to było, mogę tylko spekulować.

David kiwa głową i odchyła się na kanapie, a sztywne skórzane obicie pod nim trzeszczy.

Co zrobiła Cherie Andersson, żeby Didrik tak ją potraktował? A może nic nie zrobiła? Może Didrik Mörck sobie coś wmówił. Odbija mu się kwasem i wykrzywia mu twarz w grymasie. Nieżyt żołądka przypomina o sobie. Jej ostatnie godziny życia. Nie rozumiejąc dlaczego, zgwałcona i torturowana przez kogoś, kogo wzięła pod własne skrzydła. David poprawia się na kanapie i czuje, że od pleśni w powietrzu zaczyna mu się przytykać nos.

– Sądzi pan, że Didrik mógł też zabić Vigga Hansena? – pyta.

– Czysto hipotetycznie. – Oscar Berenrot pochyla się do światła i wyciera oko. Myśli przez chwilę. – Gdyby mnie pan zapytał, czy sądziłem, że Didrik był w stanie zrobić to, co zrobił z dziewczyną, pewnie odparłbym, że nie. A jednak do tego doszło i dlatego powiedziałbym, że to wcale nie takie nieprawdopodobne, że zabrał na tamten świat również swojego opiekuna. Chociaż trudno mi sobie

wyobrazić, jak Didrik miałby sobie dać z tym radę. Był chuderlawym chłopakiem bez cienia mięśnia, a Viggo Hansen był jego przeciwieństwem. Prawdziwy chłop jak dąb.

– Wie pan, gdzie mógłby pójść?

– To znaczy teraz? Po ucieczce?

– Tak.

– Niestety. – Lekarz potrząsa głową. – Nie wiem. Mieszkał w różnych instytucjach przez tyle lat, że raczej nie ma kontaktów na zewnątrz. Zakładam, że rozmawiali państwo z jego ojcem? To znaczy, jeśli on jeszcze żyje.

– Tak, rozmawialiśmy z nim.

– I on nic nie wiedział?

– Nie.

Oscar Berenrot kiwa głową, znowu wyciera mokre oczy i sztywno zbiera się do wstania.

– Niestety nie mogę państwu pomóc. Nie złapaliśmy żadnego kontaktu przez te wszystkie lata, więc nie mogę nic powiedzieć. Ale jeśli chcą państwo mojej rady, to proszę go znaleźć, zanim będzie za późno.

– Co ma pan na myśli? – pyta David.

– Istnieją osoby... Jak to powiedzieć... Didrik to ktoś, kto przynosi nieszczęście. Niektórzy ludzie po prostu tacy są. Jego matka, ta dziewczyna. Możliwe, że również Viggo Hansen. Nie sądzę, żeby to się na tym skończyło. Obawiam się, że kiedy zaczną państwo kopać, znajdą państwo więcej.

Rozdział 56

– Uciekła stąd – powtarza pogardliwie Jackie Andersson. Zapala wytrząśniętego z paczki papierosa i głęboko się zaciąga. Mocno wydycha dym i strzepuje popiół na talerzyk przepelniony niedopałkami. – Dlaczego Cherie miałyby uciekać z domu? Było jej tu przecież tak dobrze.

– Naprawdę? – dąży Stina. – Czy naprawdę było jej tu dobrze?

– Tak, to jasne. – Jackie miesza papierosem wśród petów. – Dlaczego miałyby się tu nie czuć dobrze? Jedzenie w brzuchu i ubrania na grzbiecie. Czego więcej mogła chcieć?

Stina kaszle. Chociaż sama od czasu do czasu zapali cygaretkę, uważa, że dym w małej kuchni zaczyna być męczący i trudno nim oddychać. Wstaje.

– Czy mogę otworzyć? – zwraca się do Jackie i odwraca w stronę okna.

– Nie da się. Zgłaszałam to pieprzone okno co najmniej sto razy, ale właściciel jest leniwym skurczybykiem. Chyba zresztą nie chce tu przyjść. Zobaczyłby wtedy to czarne miejsce pod wykładziną, która obluzowała się w łazience, i plamę wilgoci w sypialni. Mają gdzieś stare domy. Chcą tylko remontować i budować nowe. To skandal. Po prostu skandal. – Strzepuje ponownie popiół i macha papierosem. – Musi pani otworzyć to małe z boku. Lufcik.

Stina odsuwa firankę ze skrzatami, chwyta za klamkę i otwiera tak szeroko, jak tylko się da, by strumyczek świeżego powietrza mógł się dostać do środka. Potem siada i patrzy do notatnika.

– Poznała pani w tym okresie nowego mężczyznę, prawda?

Jackie zaciąga się głęboko i kaszle. Charczący, mokry kaszel. Wzrusza ramionami.

– Myśli pani o Bennym. Mężczyzna to dużo powiedziane. No, nie był wart funta kłaków, że tak powiem. Chlał na umór, do cholery. A te pieniądze, które wygrał w lotto, szybko zniknęły, więc tak.

– Więc skończyło się?

– Tak. Był pieprzonym dupkiem. Najpierw się przymilał, ale potem, kiedy już się wprowadził, pokazał swoją prawdziwą twarz. Prałam jego brudne ubrania i gotowałam mu. Co za to dostałam? Figę z makiem. Przehulał całą wygraną w lotto, nie dając mi z tego nic.

– Wie pani, czy przystawiał się do Cherie?

– To najgłupsze, co...

Stina patrzy jej głęboko w oczy. Proste i twarde spojrzenie. Kobieta milknie, ucieka wzrokiem i znów kaszle. Drapie się po policzku.

– Łatwo pani tu przychodzić i oskarżać mnie o to, że nie troszczyłam się o moje dziecko. Może powinna pani zamiast tego pojechać do tego gospodarstwa w Mölnlycke. Jeśli uważa pani, że Cherie miała paskudne dzieciństwo, to nic w porównaniu z tym, jakie miał Didrik. Ja w każdym razie nie oddałam mojego dzieciaka do domu wariatów.

– Byłam w Mölnlycke i znam przeszłość Didrika. Nie jestem tu po to, żeby panią o cokolwiek oskarżać. Sama mam nastoletnie córki. Wiem, że to nie jest proste.

– Nic pani nie wie. Tylko się pani wydaje. Powiem tak, wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko trzymała się z daleka od tego Didrika. On się stał jej nieszczęściem.

Macha papierosem w powietrzu i zostawia ślad szarego dymu.

– Żyłaby dziś. Po co on jej był? Nie rozumiem.

– Ludzie czasem się wzajemnie znajdują. Chcą mieć kogoś, do kogo będą się mogli garnąć. Jak Cherie i Didrik.

– Ale nie ogarniam, czemu on to zrobił. – Patrzy na Stinę pytającym wzrokiem.

– Cherie była dla niego dobra. Dbała o niego. Ale potem coś się stało. Może zmęczyło ją to, że on się zawsze trzymał jej spódnicy. Ja ją w każdym razie rozumiem. Czasami zastanawiałam się, co ona w nim widziała i do czego, do cholery, on jej był potrzebny. Wie pani, Cherie była prawdziwą ślicznotką. Pokażę pani.

Podnosi się i wraca z albumem ze zdjęciami, otwiera go. Staje obok Stiny, a woń alkoholu przesącza się przez dym papierosowy. Wskazuje na zdjęcie.

– Proszę zobaczyć, jaka była ładna. Wykapana ja w jej wieku. Też byłam szkolną pięknnością, dokładnie tak jak Cherie. Byłam Łucją. Zawsze zapraszali mnie na

wszystkie imprezy. – Milczy przez moment. – Nie miałam w życiu łatwo, ale Cherie mogła stać się kimś. Gdyby nie ten pierdolony szaleniec.

Potrząsa głową.

– Ona zawsze była taka miła i o wszystkich dbała. O wszystko, co żywe, zarówno o ludzi, jak i zwierzęta. Powinna była się trzymać od niego z daleka. Ale nie, gdzieżby! Nie Cherie, nie. Ona musiała tam być i pomagać.

– To piękna cecha charakteru u człowieka. Chodzi mi o chęć pomagania innym.

– Piękna cecha charakteru – przedrzeźnia Stinę i prycha. – A co jej to dało? Nie, nic pani do tego. Powiem tak: pilnuj siebie, będziesz w niebie.

– Spotkała pani kiedyś Didrika Mörcka?

– Tak. Czasami go tu ze sobą przywlekała. Nie mówił zbyt wiele. Głównie stał w korytarzu jak siedem nieszczęść, kiedy ona brała coś z pokoju.

– Spotkała pani kiedyś przyjaciół Didrika?

– Przyjaciół? – Śmieje się ochryplym głosem. – Nie miał przyjaciół. Miał tylko Cherie. – Macha papierosem. – No, może jeszcze tego geja, no.

Stina unosi brwi.

– Geja? Ma pani na myśli, że miał kolegę? Który był homoseksualny?

Kobieta potakuje.

– Tak, był tu raz. Wysoki szczupły chłopak. Pamiętam, że zapytałam o niego Cherie, czy coś było pomiędzy nią a tym wysokim, ale wtedy ona tylko się roześmiała i powiedziała, że nie podobają mu się dziewczyny.

– Pamięta pani, czy powiedziała, jak się nazywał?

– Nie, nie powiedziała – zaprzecza kobieta i strzepuje popiół.

– A pani nic więcej nie pamięta na jego temat? Na przykład jak wyglądał albo co powiedział?

– Nie. Ale był trochę starszy od Cherie i Didrika. – Zaciąga się głęboko i powoli wypuszcza dym. Siedzi tak przez moment w ciszy, a potem spotyka wzrok Stiny. – Wie pani, mam dreszcze, jak o tym myślę. To ten pieprzony dom wariatów, w którym zamknął go jego ojciec. Na co to było? Co? – Wymachuje papierosem w stronę Stiny. – Czy nie mógł być w domu? Cherie czasami o tym mówiła. Co on tam miał. Ci opiekunowie. Tfu, co za okropne porąbane typy. Opiekunowie. – Wypluwa z siebie to słowo. – To chore, że w ogóle mogli się tak nazywać. Byli

przecież bardziej porąbani niż te czubki. Psychopaci, całą zgrają, jeśli mnie zapytać.

Rozdział 57

Lovisa patrzy na Davida i jego pizzę z kebabem i dodatkowym sosem, który wije się białą spiralą po parującym połyskującym mięsie. Śliska cieknie. Patrzy na swój talerz i wzdycha. Zielona sałata jest zwiędnięta, a krewetki to te małe z puszki, bez smaku. Ale czego można się spodziewać, zamawiając sałatkę w pizzerii? Unosi szklankę z wodą do ust i pije. Odstawia ją z głośnym stuknięciem i patrzy na Davida.

– Można się trochę przerazić, słysząc o tym, jak podobno kiedyś było na psychiatrii. – Wbija widelec w sałatkę, wkłada porcję do ust i zaczyna gryźć.

– Zgadzam się – odpowiada David. – Ta izolacja. Jak własny świat, do którego podrzucano chorych niechcianych ludzi i pozbywano się problemów. – Odcina trójkąt pizzy i chwytą go palcami. – Pewnie, że Didrik był chory, kiedy tam trafił w latach siedemdziesiątych. Tu nie ma o czym gadać. Ale to środowisko bynajmniej też nie było zdrowe.

Policjantka obserwuje go, kiedy bierze kęs, gryzie i zlizuje kroplę sosu, która została w kąciку ust. Przebija widelcem lichutką krewetkę.

– I przez ponad trzydzieści pięć lat był w tym świecie. Pytanie, czy on kiedykolwiek wyzdrowieje i będzie można go wypuścić.

– I kto o tym zdecyduje?

David odcina kolejny kawałek.

– W siedemdziesiątym siódmym orzeczenie o przymusowym umieszczeniu w zakładzie zamkniętym wydawano po sporządzeniu opinii sądowo-psychiatrycznej.

– Czyli trzeba ponownie przejść przez proces wydawania opinii?

– Tak, ale decyzja należy do głównego lekarza, czyli Stena Dalby. Sprawa Didrika nie jest opatrzona rozpoznaniem nadzwyczajnym. Jeśliby tak było, to sąd, a nie lekarz decydowałby o zwolnieniu i przepustkach.

– Czyli w teorii on tam może siedzieć przez całe życie? A wszystko zależy od Dalby?

– Tak. Umieszczenie w zakładzie zamkniętym nie jest ograniczone czasowo. To potrzeba leczenia decyduje, ile będzie trwało – wyjaśnia David.

Lovisa wkłada do ust zmęczony listek sałaty i przeżuwa go. Zastanawia się, jak to by było, aż tak zależeć od czyjejś dobrej woli. Cała przyszłość Didrika Mörcka opiera się na decyzji Dalby. System wydaje się bardzo uznaniowy.

– To też mocno krytykowano, ponieważ czas leczenia wiele razy był znacznie krótszy niż kara więzienia za taki sam typ przestępstwa. Średni czas przymusowego leczenia dla morderców ze stwierdzoną niepoczytalnością to około czterech i pół roku, podczas gdy większość skazywanych na więzienie odsiaduje siedem lat kary.

– Zgadza się. Ale czas opieki zdrowotnej dla przestępców ze schizofrenią tak naprawdę przekracza czas bycia w więzieniu wszystkich innych kategorii przestępstw z użyciem przemocy.

– Ach, tak? – Lovisa cichnie na chwilę, a potem mówi dalej: – Mörck siedział w różnych zakładach przez tyle lat. Zastanawiam się, jak by sobie poradził w prawdziwym świecie.

– Tak, chyba najlepiej dla wszystkich, włącznie z nim samym, jeśli zostanie w Brinkåsen.

Smartfon plumka, Lovisa bierze go do ręki i odczytuje wiadomość od Stiny. Potem patrzy na Davida.

– To Stina. Spotkała się z matką Cherie, która mówi, że Didrik miał kolegę, który kiedyś był u Cherie w domu. Według matki był od nich trochę starszy i był homoseksualny.

David gryzie i przełyka jedzenie.

– Myślisz, że Didrik też miałby taką orientację?

– Tego nie napisała. Ale chce, żebyśmy przejrzyli karty pacjentów z Lillhagen. Mogli się tam poznać.

– Tak. Zdaje się, że Didrik miał dość skąpe towarzystwo. Miał przyjaciółkę Cherie, a oprócz tego chyba tylko siedział na zmianę w domu i w Lillhagen.

– Chodzi ci o to, że chciał tam wrócić?

– Może. – Odkłada widelec i opiera się o krzesło. – Może było tam coś albo ktoś, kogo chciał spotkać?

Rozdział 58

Słońce jest wysoko na niebie, kiedy Stina otwiera furtkę i idzie w górę ścieżki. Melodia *Forever and ever* Demisa Roussosa wylewa się z otwartych okien czarnego parterowego domu, a ona uśmiecha się i przyspiesza kroku. Miękki głos przywołuje wspomnienie bezpieczeństwa z dzieciństwa i podoba się jej, że rodzice nadal słuchają tego odzianego w tunikę dużego Greka. Zawsze mieli własny specyficzny gust. Demis Roussos, Nana Mouskouri połączona z fletnią Pana i operetkami. Jest całkowicie pogrążona w myślach o muzyce lat dziecięcych, kiedy dociera do niej sygnał telefonu.

– Hej, Stina. Tu Birgit. Z Narodowego Centrum Medycyny Sądowej. – Głos jest jasny i wyraźny. – Chciałaś, żebyśmy zadzwonili, jak tylko zdążymy zerknąć na list. Właśnie to zrobiliśmy i doszliśmy do wniosku, że to nie Didrik go napisał.

– Nie? – Stina zatrzymuje się i odwraca w stronę ulicy.

– Nie. Wysłałam tobie i Davidowi całą opinię w mailu, ale tak na szybko doszliśmy do wniosku, że to niemożliwe, by to był on. Jest zdecydowanie za dużo różnic. W charakterze pisma, ale też w sposobie wyrażania się.

– Ale kto to w takim razie był?

Birgit się śmieje krótko.

– Na to niestety nie mogę ci odpowiedzieć.

Stina się zastanawia.

– Czy mógł to napisać Duńczyk?

– Nie analizowaliśmy pisma pod kątem takich okoliczności. Dlatego nie mogę na to bezpośrednio odpowiedzieć, ale oczywiście temu też możemy się przyjrzeć.

– A co myślisz?

– Czysto spontanicznie mówię: nie. Musiałaby to być osoba z Danii, która bardzo dobrze zna szwedzki, bo o ile sobie przypominam, nie widziałam żadnych oznak tego, że napisał go nie-Szwed.

– A co powiedziałybyś o tym, kto go napisał?

– No, zawsze byliśmy ostrożni z wydawaniem innych opinii niż te czysto porównawcze, ale uważam, że osoba była rozżłoszczona, kiedy to pisała.

– Osoba?

– Tak, nie mogę powiedzieć, czy to napisane przez mężczyznę czy kobietę.

– Aha. – Stina milknie, a potem pyta dalej: – A zazwyczaj możecie?

– Raczej nie, zawsze można się pokusić o zgadywanie i są badania, które pokazują, że wprawny grafolog trafia dobrze w mniej więcej siedemdziesięciu procentach przypadków. Ale akurat ten charakter pisma jest naprawdę ambiwalentny, jeśli chodzi o zwyczajne parametry. Dlatego bardzo trudno powiedzieć, czy to kobieta czy mężczyzna. Ale jak wspomniałam, masz całą analizę na mailu. Przeczytaj ją i daj mi znać, czy chcesz jeszcze o coś dopytać.

– Dobrze. Dziękuję.

Stina kończy połączenie, przechodzi kilka ostatnich kroków po ścieżce i z uśmiechem zatrzymuje się przed drzwiami.

– Halo! – woła, chowając komórkę.

– Hej, Stina! – mówi tata, podchodząc do niej. – Jak dobrze, że mogłaś przyjechać.

– Jasne. – Patrzy na niego. Na twarz. Spięta. – Kupiłam coś słodkiego do kawy. – Niepewnie wyciąga przed siebie torebki z minicynamonkami i pączkami w cukrze. – I sałatkę dla mnie na obiad.

Ojciec kiwa głową i odsuwa się na bok.

– Wejdz.

Stina zdejmuje buty i stawia je na dobrze znanej wycieraczce. W domu pachnie świeżo zaparzoną kawą, a wzrok policjantki pada na akt ślubu na ścianie. Zatrzymuje się, liczy i zauważa, że za dwa lata rodzice będą obchodzić pięćdziesiątą rocznicę. Myśli, że trzeba to uczcić. Pięćdziesiąt lat to dużo. Złote gody. Może wybiorą się we wspólną podróż? Całą rodziną. Byłoby bardzo miło. A dziewczynom też na pewno by się spodobało.

Wchodzi do kuchni. Mama siedzi przy stole w kuchni z rękami opartymi o blat tuż przy niebieskim fiołku afrykańskim w białej doniczce. Stina stawia plastikowe pudełko z sałatką na stole, podchodzi do mamy i przytula ją, niewielkie ciało drży. Odsuwa ją od siebie i patrzy na nią. Czerwone podpuchnięte oczy i napięte usta.

– Co się stało? – pyta. – Smutno ci?

Mama potakuje i podnosi chusteczkę do oczu.

– Usiądź – mówi tata i wysuwa dla niej krzesło.

Patrzy na nich oboje i czuje, jak wzbiera w niej niepokój.

– O co chodzi? – Przeskakuje wzrokiem od jednego do drugiego. – Martwicie mnie.

Tata kiwa głową.

– Usiądź – powtarza, a kiedy mama pochlipuje, kładzie jej dłoń na ramieniu.

Stina cofa się o kilka kroków i ciężko siada przy stole. Jej ojcu, najbardziej opanowanemu i zrównoważonemu mężczyźnie, jakiego zna, drży dolna warga.

– Mówcie – dopomina się krótko.

Ojciec nabiera powietrza.

– Dostaliśmy odpowiedź od lekarza. Postawił diagnozę.

– Jaką? – Stina zakrywa usta dłońmi. Dźwięki melodii przywołują wspomnienia i kobieta tak mocno przygryza wargę, że czuje smak krwi. Teraz to nastąpi. To, co przeczuwała.

– Wiesz, że mama zrobiła w ciągu ostatniego półrocza całe mnóstwo badań. Pobrano jej biopsję szpiku, zrobiono test na boreliozę, tomografię komputerową i badania mięśni. A teraz dostaliśmy informację. Ma tak zwaną chorobę neuronu ruchowego.

Stina potrząsa głową. Nie wie, co to jest. Ale brzmi poważnie.

– To niedobrze – odzywa się mama i kładzie trzęsące się ręce na stole. – Mam ten najgorszy typ.

Stina znów patrzy raz na jedno, raz na drugie z nich.

– Gun ma... – Ojciec milknie. – Ma SLA.

SLA. Trzy małe literki jak wyrok, które nazywają to, na co cierpi jej matka. Trzy literki, które przypieczętowują jej los.

Słyszała o nich wcześniej. W pamięci pojawia się obraz. Dziennikarka z telewizji. Napisała książkę. I zrobiono dokument. Sparaliżowało ją. Ale co było potem? Nie pamięta tego.

Co to oznacza?

– To... – Ojciec urywa. – To choroba, która atakuje motoneurony w mózgu i rdzeniu kręgowym. Komórki są uszkodzane i w końcu niszczone. Mięśnie zanikają i powoli człowiek staje się sparaliżowany.

Stina patrzy na mamę. Swoją mamę. Tę, która zawsze tak na siebie uważała. Zdrowo jadła. Ćwiczyła. Dbała o siebie. Pewnie, kiedyś paliła papierosy jak wszyscy, ale rzuciła, gdy okazało się, że szkodzą. Jak właśnie ona mogła na to zachorować?

– Co teraz będzie?

Rodzice spoglądają na siebie, a mama przechyla głowę i wyciąga rękę do Stiny.

– Nie wiemy. Jeszcze bardzo wiele rzeczy się nie wyjaśniło. To zupełnie świeże.

– Ale nie można nic zrobić? Lekarstwa? Muszą być leki, które mogą pomóc.

Mama kręci głową.

– A ćwiczenia? – Stina walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać. – Wzmacnianie mięśni?

– Nie.

– Ale... Coś...

Mama patrzy na nią, nic nie mówiąc. Stina wstaje z krzesła, obejmuje ją. Trzyma tę ciepłą małą istotę. Czuje zapach jej ulubionych perfum Cinnamon i dygot, w który łkanie wprawia jej ciało.

Stina odczuwa pustkę. Mama. Ta, która zawsze była obecna. Ból z powodu tego, że miałyby ją stracić, był nieznośny, a myśl o tym, w jaki sposób to miało się wydarzyć, przez długą i rozwleczonej w czasie śmierć pełną lęku i cierpienia psychicznego, powoli ją rozdziera.

Rozdział 59

Lovisa odgryza kawałek czekolady i patrzy na poustawiane wzdłuż ścian zakurzone kartony ze starymi kartami pacjentów. Wzdycha i drapie się po głowie. Archiwum Lillhagen nie było zdigitalizowane. Kiedyś rozpoczęto prace, ale po tym, jak zdecydowano o likwidacji szpitala, nie chciano przeznaczać środków finansowych na dawnych pacjentów, którzy, jak liczone, i tak mieli sobie dać radę sami. Dlatego istnieje jedynie fizyczna dokumentacja, która przez kilka dekad stała w archiwum w jakiejś zakurzonej piwnicy. Dostarczono ją wczoraj po południu i Lovisa przegrzebała mniej więcej jedną czwartą, poszukując człowieka, który był w domu Cherie w towarzystwie jej i Didrika.

Teraz siedzi na starym biurku, macha nogami, pije coca-colę i myśli o tych wszystkich ludzkich losach ukrytych w pudłach. Tak właściwie to niesamowicie fascynująca lektura. Obcy świat, który z nich wyrasta, przydaje krwi i kości czarno-białym zdjęciom i lakonicznym notatkom w dokumentacji medycznej. Procedury lecznicze nierzadko były odrażające. Często powtarzały się zanurzania pacjentów na długi czas. Mniej więcej godzinna kąpiel byłaby w porządku, ale to straszne, kiedy chorzy musieli tak leżeć godzinami, dniami, a nawet tygodniami. W jednym z przypadków ktoś był w wodzie tak długo, że skóra odpadła i pacjent zmarł.

Lovisa dziwi się temu, jak wielu pacjentów poddano lobotomii, ale kiedy to sprawdza, okazuje się, że w latach czterdziestych i pięćdziesiątych była to powszechna forma leczenia, którą stosowano u agresywnych, niespokojnych i zaniedbanych pacjentów. Lobotomia oznaczała, że wiercono pacjentowi w skroni otwór i jednym ruchem przecinano połączenie pomiędzy płatem czołowym a resztą mózgu. Po zabiegu uciążliwi pacjenci stawali się pasywni oraz ulegli i łatwiej było się nimi zajmować.

Najpierw uważała, że szczytem niesprawiedliwości było wykonywanie tej procedury na kimś, kto był zaniedbany, ale kilka teczek później poczuła się głupio, zrozumiałwszy, że pojęcia używano do opisu niedbających o higienę osobistą i określenie nie odnosiło się do ich wyglądu.

Elektrowstrząsy, czyli ECT, były innym rodzajem metody używanej w celu pacyfikowania pacjentów. W szpitalach nie przykładano się szczególnej wagi do integralności osobistej, tylko po prostu przyciskano pacjenta do leżanki i przypinano. Potem poddawano zabiegowi za zasłonką, bezpośrednio na oddziale, bez narkozy czy środków rozluźniających. Osoba przypięta doznawała tak mocnych skurczy, że ciało wyginało się w łuk, co często skutkowało złamaniami. Ale personel nie uważał, żeby to grało jakąś rolę, ponieważ pacjent i tak później niczego nie pamiętał.

Pozostałe zabiegi, na które Lovisa natyka się w dokumentacji, to podawanie insuliny, co wprowadzało pacjentów w śpiączkę, oraz różne typy lekarstw, takie jak środki nasenne, uspokajające i zawierające opium. Używano również lekarstw wywołujących gorączkę u podopiecznych z silnym lękiem i schizofrenią.

Lovisa odgryza kawałek czekolady i powoli przeżuwa. Do tego przerażającego świata trafił Didrik Mörck, kiedy jako niestabilny dziewiętnastolatek stracił matkę. Tak, nie tylko stracił, ale i zobaczył w domu w wannie z podciętymi żyłami. Nawet jeśli w porównaniu z kilkoma dziesięcioleciami wcześniej metody leczenia za czasów Didrika były bardziej humanitarne, pozostało sporo rzeczy, które nigdy nie byłyby odpowiednie dla młodego chorego człowieka.

Patrzy na zegarek. Jest kwadrans po szóstej. Siedziała przy kartach, od kiedy wróciła z przerwy obiadowej, i najprawdopodobniej jeszcze przez wiele godzin będzie tak siedzieć. Wkłada do ust ostatni kawałek czekolady, oblizuje palce, zeskakuje z biurka i podnosi następny karton.

Ale myli się. Ponieważ już w następnym pudle to znajduje. Imię albo związek, którego istnienie wydedukowała Stina.

Rozdział 60

Trawnik jest dobrze przycięty i w ostatnich oddechach dnia połyskuje niemalże na szmaragdowo. Stać tu? Takie podobne, a jednak nie. Didrik wciąga słodki wieczorny zapach białych kwiatuszków jaśminowca. Słodki. Usypiający. I dobrze mu znany. Pamięć zapachów to jest to, co ciało nosi w sobie najdłużej. Pozostała mu, kiedy inne wspomnienia go opuściły.

Ostrożnie zmienia pozycję. Noga i plecy go dręczą. Ból wrzyna się głębiej, aż do kości. Powstrzymuje Didrika. Zniekształca jego myśli, odrąbuje wszystkie ścieżki myślowe, które chcą się wydostać na wierzch i na zewnątrz. To dlatego tu jest. Z powodu bólu. Ale również dla czegoś innego. Ale czego? Robi krok w bok, kiedy słyszy głos.

– Kto tam?

Wzdryga się.

– Znikaj stąd. Nie ma tu nic do oglądania – odzywa się dalej pewny siebie głos.

Powoli się odwraca, mocno trzymając kulę. Boli i boli. Chwył zaciska się na upačkanej rączce. Unosi dłoń i przygląda się jej. Jest czerwona. Od krwi. Czuje na twarzy rwanie. Skóra jest sztywna, przenosi palce do góry i rozdrapuje paznokciami policzki. Wytrysnęło coś ciepłego. Ciężka srebrna kula uderzyła o mięso. Uderzał i uderzał, aż ciało oddało ostatnią konwulsję i opadło na dywan, odsunął stół z taką siłą, że szklana miska się stłukła, a kolorowe żelki z chrzęstem rozsypały się po podłodze.

Widzi przed sobą twarz. Okrągłą i krzyczącą. Nie zdradzi go. Twarz staje się kimś innym. Okrągła zmienia się w sercowatą. Krótkie siwe włosy robią się długie i blond, potargane i zmierzwione krwią i brudem.

– Ale... – słyszy głos. Jest w nim zdziwienie. – Przecież to ty.

Znów rwanie. Stop. Skończ. Ból, ten przekłety ból.

– Didrik? Didrik Mörck?

Słyszy swoje imię i nazwisko. Mężczyzna stojący przed nim wie, kim on jest. Skąd może wiedzieć? Zdradzono go? Potem sobie przypomina. Zdrajca nie może nic zrobić. Judasz jest martwy. Leży na podłodze, odpoczywa we własnej czarnej krwi.

– Co ty tu robisz?

Nie odpowiada mężczyźnie, który przed nim wyrasta. Czuje tylko tępy ból i usypiający zapach jaśminowca.

– Boli cię? – pyta mężczyzna i ruchem głowy wskazuje jego nogę.

Boli? Patrzy na kończynę. Spuchnięta i zniekształcona. Tak. Boli. Przerazający ból. To dlatego tu jest. U lekarzy. Prawda?

– Źle się czujesz?

Ręka do twarzy. Paznokcie do policzka. Skurcze. Nie potrafi ich opanować.

– Chcesz na chwilę usiąść?

Usiąść? Gapi się na mężczyznę, który robi krok w jego stronę. Duży. Rozumie. Wie, czego on chce. Nie uda się. Nie chce z powrotem. Nigdy. Już to przeżył. Nigdy więcej.

Krzyki dzwonią mu w głowie. Ból. Uczucie niebytu. Wszystko na niego spada, jakby biegł ścieżką zdrowia pod ciężkimi pałkami, które biją i biją. Wszystkie emocje. Wszystko, co musiał wytrzymać.

Twarze migoczą mu przed oczami. Spocone, ciepłe i czerwone. Potem inne. Te wymęczone i krzyczące. Ból. Taki ból.

Pięść w twarz. Smagnięcie po nogach. Przymus. Więcej krzyku. Zamyka oczy. Nie chce pamiętać tamtych lat. Chce się pozbyć wszystkich wspomnień.

– Zwłoki w ziemiance – mówi dalej mężczyzna. – Chciałeś, żebyśmy je znaleźli?

Zwłoki w ziemiance. Ziemianka. Odwraca się i patrzy w stronę czarnej dziury, która wyziera pomiędzy krzakami jak krzyczące usta olbrzyma. Coś chce wyjść na zewnątrz. Coś jest tam w środku. W ciemnościach.

– Tak. – Nie wie dlaczego, ale to wydaje się właściwe. – Chciałem.

Kiwa głową.

– Ale... Dlaczego?

Gapi się na niego. Wielkie okrągłe niebieskie oczy. Postawne ciało. Tęższe niż jego. Wielkie ręce. Didrik kwiczy i zapada się w sobie. Ręce mogą wyrządzić

krzywdę. Ręce mogą wcisnąć ci twarz pod wodę tak, że nie da się oddychać. Ręce mogą cię zmusić do tego, co nie do pomyślenia. Mogą uderzać i ranić. Mogą szczypać, rozrywać, drapać i przecinać. I ręce mogą zabijać. Zabijać.

– Dlaczego chciałeś, żebyśmy go znaleźli?

– Nie wiem – syczy szybko. Nie chce go dłużej słuchać. Tych wszystkich pytań. Przecież on nie wie. Nie pamięta.

Czy nie może go zostawić w spokoju? Nie może się cofnąć? Czego on chce? Czy nie może być przez moment cicho? Didrik nie słyszy swoich myśli. Dlaczego tu tak właściwie przyszedł? Co on tu robi? Rozgląda się. Co tu jest?

– Skrzywdziłeś go?

Didrik gapi się na niego. Zrobił mu krzywdę? Krzywdę? Komu? Co się dzieje z jego twarzą? Zaczyna się zapadać.

To, co jasne, blond. Uśmiech. Nieprzyjacielski. Zniekształca się. Zmienia się w inną twarz. Łagodne rysy kochanej osoby się deformują. Robią się zakrwawione. Czerwone. Spuchnięte. Krzyki czerwonych ust. Zmasakrowanych. Nóż przebija się przez mięso.

Nie chce widzieć.

– Nie wiem! – Słyszy swój krzyk. – Musisz mi pomóc.

Kulejąc, podchodzi do przodu i chwyta mężczyznę.

– Stop! Puść go! – Dochodzi go głos kobiety. – Zadzwoiłam po policję. Jest w drodze.

Zastyga. Czuje ciało mężczyzny pod swoimi rękoma. Wie, do czego jest zdolny. Co zrobił wcześniej. Wie, co znów może zrobić.

Rozdział 61

David ochlapuje twarz wodą. Kładzie ręce na umywalce i ciężko się o nią opiera. Brzuch się buntuje. Napina się, burczy i przelewa. Zgaga pali. Znów nieżyt żołądka. Kilka lat temu zrobił gastroskopię i nie chce tego powtarzać. To kurewsko nieprzyjemne. Najpierw znieczulenie w gardle, rosnące jak wielka kula, której nie da się przełknąć. Korek w ustach, w który wpuszcza się przewód z kamerą, a potem dalej przeciska się go przez przełyk do żołądka i jelit. Odruch wymiotny, w momencie kiedy na ekranie można oglądać wnętrze własnego ciała. To absurdalne. Odbija mu się i zerka na komórkę. Bez odpowiedzi. Teraz tego żałuje. Dlaczego to zrobił? Przecież było za późno. Mimo to z nadzieją czeka na jej odpowiedź.

Wyciera ręce w ręcznik papierowy i z trzaskiem zamyka drzwi.

– Aha, to tutaj jesteś. – Słyszy za sobą głos.

Odwraca się i spotyka wzrokiem z dyżurującą, którą dziś jest Lena Holm. Nie wygląda na zadowoloną. To może mieć coś wspólnego z jej nowym przezwiskiem. Od poniedziałku mówią na nią Śmieciowa Lena i możliwe, że uważa go za współwinnego.

– Byłam u ciebie, a tam pusto – oznajmia kobieta i nie da się nie usłyszeć oskarżenia w głosie.

– Tak? I?

– Dobrze być dostępnym.

– Tak, ale do cholery, człowiek musi czasem pójść do kibelka. Prawda?

– Hm.

Gapią się na siebie.

– A o co chodziło? – pyta w końcu David.

– Dostaliśmy wezwanie o Mörcku.

Policjant zastyga.

– Był w domu lekarzy, Simonssonów.

– No kurwa. Czemu od razu nie powiedziałaś?

– Próbowałam... – dodaje Lena i wsuwa dłonie do kieszeni.

– Ktoś jest ranny? – pyta David i nie jest pewien, czy chce znać odpowiedź.

– Nie wiem.

David zamyka oczy i czuje, jak przelewa mu się w brzuchu.

– Jadę tam. – Rusza w stronę windy, a ciche kroki Leny depczą mu po piętach.

– Czy Mörck tam jeszcze jest? – rzuca przez ramię.

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje ci się? – reaguje ostro i wciska przycisk przywołujący windę. – Jak to nie wydaje ci się? Przecież musisz to, kurwa, wiedzieć, skoro przyjąłeś ten telefon.

– Miałam tylko krótki kontakt. – Kobieta zatrzymuje się, zakłada ręce na piersiach i opiera się ramieniem o ścianę. – Rozmawiałam z żoną. Była bardzo zdenerwowana i odłożyła mi słuchawkę. Kiedy próbowałam oddzwonić, było zajęte.

– Wysłałaś tam radiowóz?

– Nie, a miałam?

David wzdycha. Drzwi windy rozsuwają się i mężczyzna wchodzi do środka.

– Wyślij tam najbliższe auto i zadzwoń do Stiny – mówi, wciska guzik do garażu, a Lena znika za drzwiami.

Truchtem dobiega do auta, ledwie zdążył usiąść i włączyć silnik, kiedy dzwoni Stina.

– Słyszałeś, nie? O Mörcku – pyta od razu, kiedy on odbiera. – Jesteś w drodze, tak?

– Tak.

– Spotkamy się na miejscu.

– Tak. – David wciska gaz, wyjeżdża z ciemnego garażu w jasną letnią noc. – Jak, kurde, mamy zająć się Mörckiem, jeśli jeszcze tam jest? Myślisz, że można przemówić mu do rozsądku czy mamy go obezwładnić?

– Nie wiem, naprawdę. Musimy być przygotowani na wszystko. Myślę, że błędem byłoby oczekiwać z jego strony jakiejś logiki – kontynuuje Stina. – Raczej sądziłabym, że leki już dawno przestały działać.

– Zastanawiam się, gdzie on się podziewał.

– Musiał nocować u kogoś w domu. Był odcięty od rzeczywistości przez tyle lat, że ledwo by sobie poradził. Możesz sobie wyobrazić, jak byłoby wrócić do społeczeństwa po trzydziestu ośmiu latach, tyle się pozmieniało. – Milczy, a potem ciągnie: – Wiesz co, rozłączmy się, żebyśmy mogła zadzwonić do Brinkåsen. Może Dalbo będzie w stanie dać nam kilka rad, jak mamy się z nim obchodzić.

Rozdział 62

To imię i nazwisko Melkera Fagerlinda jest w karcie. Melker, wysoki agent nieruchomości, który sprzedał dom przy Daltorpsgatan z ciałem w ziemiance, był zatem pacjentem Lillhagen. Lovisa patrzy przed siebie. Co to znaczy?

Przebiega wzrokiem po dokumentacji i widzi, że po raz pierwszy przyjęto go do szpitala jako osiemnastolatka w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku. W kolejnych latach aż do siedemdziesiątego siódmego wielokrotnie tam wracał i wypisywano go z jakąś niejasną diagnozą. Kilka razy wspomniano homoseksualność, ale, Lovisa marszczy czoło, chyba nie mogli go kłaść do szpitala psychiatrycznego tylko z tego powodu? To się chyba nie zgadza? W historii choroby zapisano, że wydawało się, że chciał się z tego wyleczyć.

Przypomina sobie, jak siedzieli u niego w domu. Jak z dumą zakomunikował, że jest homoseksualny. Ale mówił też, że możliwość bycia tak otwartym i wolnym jest wyzwalająca i że w pewnym okresie tak mocno wypierał swoją orientację, że ożenił się z kobietą. Czy zaprzeczenie było tak silne, że próbował się nawet na to leczyć?

Ale dlaczego nie powiedział niczego o Lillhagen? Musiał raczej zauważyć i zrozumieć związek z domem? Może nie przy pierwszym spotkaniu, ale potem, kiedy przeczytał, że Didrik uciekł. O ile Didrik nie zabrał ze sobą do mieszkania Cherie kogoś innego, Fagerlind powinien był zrozumieć, że należy ją poinformować.

Lovisa przegląda teczkę z notatkami lekarzy, zaświadczeniami, raportami i białoczarным zdjęciem młodego poważnego Melkera, który w krótkiej, dobrze uczesanej fryzurze wpatruje się prosto w obiektyw. Był tam też cienki niebieski notes podpisany imieniem Melkera. Otwiera go i czyta. To zeszyt z poezją. Piękne krótkie wiersze spisane schludnym staroświeckim charakterem pisma. Rozpoznaje je z obrazu na ścianie, który wyróżniał się prostotą w obficie zaaranżowanym wnętrzu. Powoli kartkuje poźółkłe strony i kiedy dociera do ostatniej, widzi, że krawędź jest wyszczerbiona, tak jakby jedną wyrwano.

Rozdział 63

– Znaleźliście go? – To pierwsze pytanie, które Sten Dalbo zadaje Stinie.

– Tak myślę – odpowiada policjantka i przestaje uderzać o kierownicę palcami. – Dostaliśmy zgłoszenie. Jest w ogrodzie, w którym znaleziono ciało.

Słyszy, jak Dalbo wciąga powietrze.

– Ojoj. On... – Milknie. – To znaczy, czy ktoś...

– Czy ktoś co? – pyta Stina i omija rowerzystę, który przejechał zbyt blisko bocznego lusterka po stronie pasażera.

– Tak, to znaczy, czy coś się stało?

– Nie wiem dokładnie, co się dzieje. Jestem teraz w drodze na miejsce. Dzwonię, żeby zapytać, jak mamy się zachowywać, jeśli okaże się, że on tam jeszcze jest.

Sten Dalbo milczy.

– Halo! – woła Stina i skręca w Södravägen, jedzie wzdłuż Heden, na którym rozgrywa się kilka meczów piłki nożnej. – Nie mamy całej wieczności. Co może nam pan poradzić? Mamy być autorytarni, pokorni, krzyczeć, prosić? Co robić? Co będzie najlepsze?

– Rozumiem pani pytanie, jest uzasadnione. – Głos wrócił do zimnego i powściągliwego tonu. – Moja rada to spróbować go odczytać. Trudno mi definitywnie powiedzieć, co mają państwo robić, ponieważ nie wiem, w jakim on jest stanie, głównie ze względu na leki, ból i splątanie. Didrik Mörck to inteligentna osoba. Sporo powyżej średniej. Ale jednocześnie wiele zmiennych sprawia, że wątpię, czy w tej sytuacji można przemówić do jego intelektu.

– Tak, mimo wszystko jest szaleńcem.

Sten Dalbo kaszle po drugiej stronie.

– Dobrze – przyznaje Stina. – Chyba złe słowo. Ale radzi pan, żebyśmy odczytali sytuację i zachowywali się adekwatnie do niej.

Lekarz wzdycha.

– Tak, mniej więcej, tak.

A więc znów zero pomocy, myśli Stina i zmienia pas.

– Okej – odpowiada i ściąga osłonkę, żeby niskie wieczorne słońce nie raziło jej w oczy. Potem ulega impulsowi. – Skoro już mam doktora na linii, czy Didrik kiedykolwiek wspominał podczas waszych rozmów Vigga Hansena?

– Viggo Hansen? – Lekarz milczy przez chwilę. – Nie – odpowiada z wahaniem. – Nie przypominam sobie. A kto to jest?

– Opiekun medyczny z Lillhagen. Zaginął wtedy, kiedy Didrik uciekł w siedemdziesiątym siódmym.

– Och! – Mężczyzna milczy przez chwilę. – Czyli sądzą...

– Nic nie sądzimy – przerywa mu Stina i pędzi obok samochodu wypełnionego po brzegi raggare, którzy wystawiają za szyby ręce trzymające puszki z piwem. – Próbujemy tylko analizować. Nawet jeśli Didrik nigdy nie wspominał Vigga Hansena, może mówił bardziej ogólnikowo o jakimś opiekunie?

– Hm, Didrik w zasadzie nigdy szczególnie dużo nie mówił o wcześniejszym życiu. Ma z tego czasu fragmentaryczne wspomnienia i często nie da się oddzielić prawdziwych od sfabrykowanych.

– Czyli nie przypomina pan sobie, żeby mówił o jakimś konkretnym opiekunie? – upiera się Stina. – O kimś, kogo bardzo nie lubił i kto go źle traktował?

– Nie, ale skoro to pani mówi... Wydaje mi się, że... – Milczy. – Momencik. Wyjmę jego akta.

W słuchawce robi się cicho i Stina patrzy na przesuwaną się za szybą letni wieczór. W hali Scandinavium odbywa się jakieś wydarzenie. Wychodzi stamtąd gęsiego sznureczek lekko ubranych ludzi. Za dziesięć minut beznadziejnie będzie się tamtędy przebijać.

Wjeżdża na rondo przy Korsvägen, przepuszcza tramwaj i widzi, że przed wejściem do restauracji Incontro wije się kolejka. Potem rusza z piskiem opon, mija główne wejście do parku rozrywki Liseberg, wokół którego w ten letni wieczór krąży tłum w szortach, koszulkach na ramiączkach i krótkich sukienkach. Niektórzy trzymają pod pachami nagrody, a inni po prostu się snują.

To dziwne, że wszystko tak zwyczajnie toczy się dalej. Jej mama ma SLA. Umrze. A ona siedzi tu i jak gdyby nigdy nic goni przestępców. Łzy napływają jej do oczu.

– Tak, halo. – Głos Stena Dalbo wraca.

Stina chrząka.

– Tak, jestem.

– Kiedy powiedziała pani o opiekunach, zaświtało mi coś z tyłu głowy, co musiałem sprawdzić. Tak jak mówię, wyłuskanie tego, co w rozmowach z Didrikiem jest rzeczywistością, to skomplikowana sprawa, ale faktycznie mówił o pewnej osobie z czasów Lillhagen, którą oceniam jako prawdziwą. Ale nigdy nie wspominał Vigga Hansena z imienia i nazwiska.

– A jak ta osoba się nazywała?

– Nigdy nie padło żadne nazwisko. Ale wydaje się, że ten opiekun był jedyną osobą z tamtych czasów, którą Didrik naprawdę lubił. Miałem wrażenie, że uważał go za kogoś w rodzaju przyjaciela.

Policjantka przypomina sobie słowa ojca Didrika. Powiedział, że nie miał przyjaciół. Nie miał dokąd pójść. Kiwnęła głową sama do siebie. Może się mylił? Ale potem przypomniały jej się słowa matki Cherie. Co ona powiedziała? Opiekunowie byli większymi psychopatami niż pacjenci. Didrik miał tam naprawdę ciężko. Ale według Stena Dalby miał tam kolegę. Matka Cherie mówiła o wysokim mężczyźnie, który był razem z nimi u niej w domu. Czy to u niego się ukrywał?

– Czy ma pan jeszcze coś, o co moglibyśmy się zaczepić?

– Nie, niestety.

– Dobrze. – Milczy. – Tak, w takim razie nie można zrobić o wiele więcej, niż mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Tak, jesteśmy tu, gotowi go przyjąć, kiedy wróci.

To doprawdy pocieszające, myśli Stina, ale mówi:

– Dobrze, dziękuję bardzo.

– Nie ma za co.

Jak tylko Stina się rozłącza, dzwoni telefon. W samochodzie rozbrzmiewa wysoki i szybki szczebiot Lovisy.

– To nie Didrik napisał list.

– Wiem.

Lovisa milknie.

– Wiesz? – powtarza po chwili zawiedziona.

– Tak, wcześniej zadzwonili do mnie z centrum NFC. Zrobili analizę i powiedzieli, że to niemożliwe, żeby to był on.

– Aha. – Głos jest oschły. – A czy NFC potrafiło stwierdzić kto to?

– Nie.

– To ja to powiem. To Melker Fagerlind. Wiesz, agent nieruchomości.

– Co?

Stina słucha Lovisy opowiadającej o poszukiwaniach w archiwum i o zeszytach z wierszami.

– Widziałam, że ostatnia strona była wyrwana, i zaraz to połączyłam. Kiedy porównałam tę poszarpaną krawędź i charakter pisma, od razu widziałam, że perfekcyjnie do siebie pasują.

– O kurwa – mówi Stina. – Musimy go przesłuchać.

– Jadę tam teraz.

– Nie. Nigdzie nie jedziesz. Poczekasz na nas – rozkazuje Stina, skręca przed willą Simonssonów i parkuje. – Dostaliśmy zgłoszenie o Mörcku i przyjedziemy, jak tylko będziemy gotowi.

Rozłącza się, składa osłonkę przeciwsłoneczną i patrzy w lusterko. Łzy zmieszane z czarnym tuszem zaschły pod oczami, więc zwilża palec i ściera największy brud, ale nie da się zmasać wyraźnych cieni, które zostawił niepokój. Wysiada z auta w tym samym momencie, w którym David podjeżdża z tyłu i wyłącza silnik.

Robi krok w jego stronę, ale zatrzymuje się w połowie, kiedy słyszy podniesione zdenerwowane głosy i nagle jakaś kobieta krzyczy.

Rozdział 64

Tym razem drzwi nie otwierają się tak szybko. Uśmiech też nie jest taki radosny, szeroki i biały jak ostatnio, kiedy Melker Fagerlind staje przed nią w czerwonych chinosach z podwiniętymi nogawkami i białej lnianej koszuli luźno opadającej na biodra. Wyciąga do niej żyłastą opaloną w solarium rękę.

– Dzień dobry, panie Melker! – wita się Lovisa i ściska jego dłoń, nie uśmiechając się. – Wydaje mi się, że mamy sporo do omówienia.

Mężczyzna kiwa głową i opuszcza ramiona. Zignorowała słowa Stiny o tym, żeby zaczekać. Melker nie jest niebezpieczny. Nie ma powodu czekać na Stinę i Davida, myśli Lovisa, ponownie idąc za nim przez ciemne przypominające buduar mieszkanie do tego samego pokoju, w którym wcześniej siedzieli. Tym razem nie zaproponował ciastek i herbaty w cienkiej porcelanie w kwiatki. Jedyne, co stoi na stole przed fotelem, to na wpół pusty kieliszek szampana, który unosi w jej stronę w geście toastu, przystawia sobie do ust i wypija na jeden raz. Potem patrzy na nią, nawet nieco przekornie jej zdaniem, nerwowo chichocze, chwytając butelkę i napełnia kieliszek musującym napojem. Znow go unosi.

– Zakładam, że pani się nie napije?

Lovisa potrząsa głową. Siada i kładzie torebkę z boku fotela.

– Nie będę owijać w bawełnę. Dotarłam do różnych informacji. – Patrzy na niego. – Musi mi pan to i owo wytłumaczyć.

Mężczyzna sztywno kiwa głową.

– Na początek. Rozumiem, że był pan pacjentem Lillhagen. Zgadza się?

On ponownie potakuje.

– Przebywał pan tam jednocześnie z Didrikiem Mörckiem. Znaliście się?

– Tak, znałem Didrika. – Nagle pochyla się, zasłania rękami twarz i szlocha. – Biedny, biedny Didrik.

Policjantka pozwala mu na to, a po chwili mężczyzna na nią zerka. Kręci głową i krzyżuje ręce na sercu.

– Wiem, że powinienem był to powiedzieć, zrozumiawszy, że to on uciekł. Ale nic o tym nie wiedziałem, kiedy była pani u mnie po raz pierwszy. Wtedy pytała mnie pani tylko o nieruchomość. Dopiero potem. – Milczy. – Ale rozumie pani, że to czasy, o których najchętniej bym zapomniał. Chcę je całkowicie wymazać z pamięci. Lata w Lillhagen. Były takie... – Zamyka oczy. – Okropne. Pod każdym względem.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlaczego? – powtarza głośno, a potem upija z kieliszka. – Droga pani Loviso, powiem pani wszystko, tak żeby, miejmy nadzieję, pani zrozumiała. – Przekręca kieliszek, wodzi oczami bez celu i zaczyna opowieść. – Przyjęto mnie do Lillhagen. Nie byłem chory. Nie tak naprawdę. Ale w tamtych czasach było inaczej. Pochodziłem z religijnego domu. Rodzice podchodzili do homoseksualizmu jak do choroby i grzechu. A społeczeństwo też było inne niż teraz. – Pochyla się, zdejmuje espadryle, podnosi nogi i siada w pozycji kwiatu lotosu. – Homoseksualizm był w Szwecji nawet uznawany za przestępstwo, aż do tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. W tamtych czasach można go było używać jako diagnozy, żeby przetrzymywać homoseksualistów w szpitalach psychiatrycznych, aż nie stali się – robi palcami cudzysłów – zdrowi. Nie chce się wierzyć, że to prawda, ale próbowano leczyć, kastrując albo sterylizując, by pozbawić popędu seksualnego, a pośrednio homoseksualizmu. – Przewraca oczami. – Wie pani, co jeszcze robiono? Testowano terapię, w ramach której pacjenta poddawano elektrowstrząsom za każdym razem, kiedy pokazywano mu zdjęcie osoby tej samej płci. Wie pani, odruch warunkowy. Jak psy Pawłowa. – Ponownie pije z kieliszka. – Były też inne metody. RFSU polecało między innymi preparaty hormonalne. Czasami stosowano nawet lobotomię.

Lovisa patrzy na niego.

– Ale pana położono po raz pierwszy w sześćdziesiątym pierwszym – mówi. – Wtedy nie było już tych metod.

– Ależ część z nich jeszcze była. I proszę nie wierzyć, że społeczeństwo nagle zaakceptowało homoseksualistów. Albo że moja rodzina to zrobiła. Co to, to nie. Dopiero w latach siedemdziesiątych to się zaczęło zmieniać. Wie pani, droga pani Loviso, że aż do siedemdziesiątego dziewiątego homoseksualizm postrzegano jako chorobę psychiczną? Tak, wiem. – Potrząsa głową z zamkniętymi oczami. – Nie

chce się wierzyć, że to prawda, ale tak było. To były straszne lata mojego życia. Okropne lata. Droga pani Loviso, nawet nie może sobie pani tego wyobrazić. Moi rodzice oddali mnie do szpitala po raz pierwszy już jako osiemnastolatka. Był rok sześćdziesiąty pierwszy. Potem wypisywano mnie i przyjmowano aż do siedemdziesiątego siódmego. Miałem wtedy trzydzieści cztery lata i podjąłem decyzję, że już wystarczy. Miałem dosyć. Poznałem Berit, oczywiście przez rodziców, kobietę zorganizowaną i całkiem zwyczajną. Pobraliśmy się i to był mój sposób na pokazanie światu, że jestem zdrowy. – Napęlnia kieliszek. – Oczywiście nie układało się. Nie można w taki sposób zaprzeczać samemu sobie. Kiedy poznałem Oliviera, sprawił, że odważyłem się na ten krok. Ja i Berit rozwiedliśmy się i nareszcie mogłem żyć prawdziwym i szczęśliwym życiem. Po raz pierwszy od urodzenia mogłem być sobą.

Lovisa patrzy na niego, nic nie mówiąc.

– Tak było i najchętniej zapomniałbym o tamtym czasie. Jednak miałem zamiar się do pani odezwać. – Pochyliła się w jej stronę i uśmiecha tymi sztucznymi białymi zębami. – Ale mnie pani wyprzedziła.

– Oczywiście, że tak – odpowiada policjantka, nie odwzajemniając uśmiechu. – Wie pan coś o Didriku Mörcku i Viggju Hansenie? Znał pan ich?

Mężczyzna wzdycha, ściąga usta i znów się odchyła.

– Droga pani Loviso. Widzę, że jest pani na mnie zła.

– Nie, nie jestem zła. Chcę tylko znać prawdę.

– O Didriku i Viggju? Hm, Didrik był po prostu małym nieszczęśnikiem, który przypadkiem wpadł w wielkie ohydne szpony Hansena. Ten Duńczyk był wstrętnym demonem, który lubił się pastwić nad pacjentami. Próbowałem Didrikowi pomóc na tyle, na ile się dało, ale to nie było łatwe.

– A list?

– List? – patrzy na nią i Lovisa ma wrażenie, że widzi błysk w jego oczach, kiedy znów unosi kieliszek szampana.

Wbija w niego wzrok.

– Och, wie pan dokładnie, o który list mi chodzi.

Rozdział 65

Sten Dalbo jeszcze przez chwilę trzyma rękę na słuchawce, a uczucie upojenia rozchodzi się po jego ciele. Twarz rozpływa się w uśmiechu, kiedy patrzy na ścianę z oprawionymi dyplomami przybitymi w perfekcyjnie prostej linii. Wkrótce Didrik wróci. Jego całkowicie własna żywa zagadka.

Sten odchyła się na krześle i powoli huśta. Nie chce go stracić. To on zawsze jest tematem numer jeden na spotkaniach networkingowych. Wszyscy za każdym razem pytają, czy są jakieś postępy i jak się z nim pracuje. To Didrik robi z niego interesującą osobę. Kogoś, z kim koledzy i koleżanki po fachu chcą dyskutować i wymieniać doświadczenia.

Ucieczka była blamażem. Ale po tym, jak dokładnie tę sprawę przemyślał, zrozumiał, że będzie mógł to obrócić w coś przemawiającego na swoją korzyść. Co takiego sprawiło, że idealny pacjent nagle zechciał uciec? Pytanie, które dodatkowo mogłoby podkreślić nastrój. Mogłoby powiedzieć, że z Didrikiem coś zaczęło się dziać. Terapia zaczynała przynosić skutki.

Uśmiecha się i oczami wyobraźni widzi, jak koledzy na niego patrzą. Z podziwem oczywiście. Bo niewielu może się pochwalić taką wytrwałością jak Sten Dalbo. Przesłuchał nagranie z hipnozy. Didrik mówił o martwym człowieku. Mówił o złości, poharatanych twarzach, krwi i kryjówek pod ziemią. Tak, większość to oczywiście wytwory fantazji, ale było w nich ziarno prawdy. Teraz Sten to rozumie. Didrik mówił o tym ciele w ziemiance.

Psychiatra przesłuchał nagranie dwa razy i zastanawiał się, czy mógłby coś do ugrać, gdyby je oddał policji. Po tym, jak przemyślał wszystkie za i przeciw, doszedł do wniosku, że go nie przekaże. Ta cała Stina Seger mówiłaby, że to szkoda, że nie połączył faktów i nie oddał im materiału natychmiast. Trafilyby z tego powodu do ich raportów jako nieskory do współpracy, a tego by nie chciał. Absolutnie nie ma ochoty figurować w żadnych policyjnych rejestrach.

Gdyby ta cała Seger miała inne podejście, była nieco pokorniejsza, może wtedy dałyby jej materiały. Ale nie, tak naprawdę sama jest sobie winna.

Odsuwa krzesło od biurka. Tak, faktycznie było coś na rzeczy z Didrikiem, a on będzie w tym uczestniczył do samego końca. Wszystko to wprowadziło go w dobry humor. Tak dobry, że może nawet nagrodi się krótkim spacerem na oddział siódmy, gdzie zawsze jest coś, co na niego czeka. Nie przejmuje się tym, że jest apatyczna. Przecież to nie jej osobowość go interesuje. Pomysł na stworzenie oddziału dla młodych kobiet był naprawdę przedni. Teraz zawsze jest tu jakieś młode ciało z uszkodzonym mózgiem, które nie może mu odmówić, kiedy przychodzi.

Podnosi się i uśmiecha. Niedługo znów wszystko będzie tak jak zawsze. Didrik wróci na stałe, a jego własna przyszłość jako króla Brinkåsen będzie bezpieczna.

Rozdział 66

Lovisa wyjmując kopię listu i podaje ją Melkerowi.

– Co to jest? – pyta mężczyzna, nie patrząc na papier.

– To list, który opisuje, w jaki sposób Cherie miała zostać zamordowana – mówi Lovisa i pochyla się po zeszyt. – List, który jest napisany na kartce wyrwanej z tego notatnika, tym samym charakterem pisma. Pana charakterem pisma, Melkerze. To pan to napisał.

Lovisa przytrzymuje w powietrzu list i zeszyt, ale on się upiera, żeby nie patrzeć, tylko wyciąga dłoń i odsuwa je w jej stronę.

– Tak, to ja to napisałem... – Głos mu się załamuje, a mężczyzna kładzie rękę na piersiach. – Ten przeklęty list.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem? Czy to pan chciał to wszystko zrobić?

Mężczyzna otwiera szeroko oczy, które robią się szkliste i wypełniają łzami.

– Nie – mówi cicho. – Nie, nie, nie. Nigdy bym tego... Mała kochana Cherie. Piękna kochana istota. Kiedy sobie o tym myślę...

– Ale dlaczego pan to napisał?

Melker ciężko wzdycha.

– Napisałem to, bo mnie zmuszono.

– Zmuszono? Ale jak?

– Hansen mnie szantażował. Groził, że powie, że zgwałciłem trzech chłopców w Lillhagen. A oni zgodzili się złożyć obciążające mnie zeznania, tak bardzo się go bali. Nikt by mi nie uwierzył. Byłem tylko gejem. Więc zgodziłem się napisać ten przeklęty list. Zaszedłem już wtedy tak daleko w swojej tak zwanej terapii, że mogłem wychodzić ze szpitala, kiedy tylko chciałem. Wiedziałem, że wystarczyło, bym powiedział, że zostałem wyleczony i że miałem Berit, żebym mógł odejść. I tak też się stało. Postanowiłem zostawić to życie za sobą i stać się normalny. Ożenić się z Berit i mieć dzieci. Zostać szarym człowiekiem.

Lovisa wzdycha.

– Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, do czego ten list miał być użyty?

– Nie. A właściwie tak. Pewnie, że tak. Wiedziałem, jak Viggo się zabawiał, próbując zniszczyć Didrika, więc raczej pomyślałem, że miał jakiś paskudny plan. Ale nigdy nie przypuszczałem, że mógłby znaleźć sposób, by skłonić Didrika do zrobienia tego. Nigdy. Didrik był taki zakochany w małej Cherie. – Kręci głową. – W jaki sposób Viggo go złamał, żeby zrobił te wszystkie... straszne rzeczy... nie rozumiem tego. W końcu wygrał. Zniszczył Didrika i zrobił z niego złego człowieka.

– Wie pan, że ciało, które znaleźliśmy przy Daltorpsgatan, to ciało Vigga?

Mężczyzna potakuje.

– I rozumie pan, że musimy znaleźć Didrika?

– Tak.

– Gdzie on może być?

Melker wzrusza ramionami.

– Czy był u pana?

– Nie, naprawdę nie – mówi z naciskiem. Milknie, a potem się rozpromienia. – Wiem. Sprawdźcie u Eddy'ego.

Lovisa marszczy czoło.

– U Eddy'ego?

– Tak, u Eddy'ego. Był jedynym opiekunem, do którego Didrik się garnął. Zawarli jakiś pakt. Nie wiem, czy to było naprawdę, czy tylko w głowie Didrika, ale Eddy mimo wszystko zbliżył się do Didrika na tyle, na ile się dało.

– Wie pan o nim coś więcej? Gdzie mieszka? Jak się nazywa, oprócz tego, że Eddy?

– Nazywa się Kinde. A tak właściwie ma na imię Bengt Fredrik.

Lovisa wbija wzrok w mężczyznę. Bengt Fredrik Kinde przy Bronsfyndsgatan pięćdziesiąt pięć. Lokator staruszki, która sprzedała dom Simonssonom. Ten sam Eddy, który pomógł Simonssonom w pracach stolarskich. Lovisie kręci się w głowie. Bengt Fredrik Kinde. Eddy. To ta sama osoba. Jest w domu Simonssonów. Lokator, który miał w mieszkaniu list zaadresowany do Vigga Hansena. Viggo, okrutny opiekun z blizną na twarzy. Znał Vigga. I zna Didrika. Nie potrafi tego poskładać. Wpatruje się w Melkera.

– Wiedział pan, że to on mieszkał w piwnicy, tak?

Melker kiwa głową i zawstydzony patrzy w podłogę. Lovisa wstaje.

– Był pan pomocny, ale nie do końca. Jeśli odezwałby się pan do nas z tymi wszystkimi informacjami wcześniej, może już znaleźlibyśmy Didrika.

– Już pani idzie? – zerka na nią.

– Tak.

– Co teraz będzie?

– Będziemy dalej szukać Didrika. A gdyby jeszcze coś się panu przypomniało, chcę, żeby pan do mnie natychmiast zadzwonił. Dobrze?

Melker potakuje.

– Muszę iść. Spiesz mi się.

Mężczyzna podskakuje z fotela na równe nogi i odprowadza ją. Zanim zamyka drzwi, Lovisie wydaje się, że znów widzi w jego oczach ten błysk, ale ignoruje go, wyjmuje smartfona i wyszukuje numer Stiny. Kładzie palec na przycisku i już ma dzwonić, kiedy się powstrzymuje.

Nie, myśli.

Nigdy, kurde, w życiu.

Dlaczego miałyby dzwonić do Stiny? Zdenerwowałyby się tylko, że Lovisa tu przyjechała. Potem przejęłyby sprawę i przypisała sobie całą zasługę rozwiązania dochodzenia.

Nie, myśli znowu i wkłada komórkę do kieszeni. To jest jej szansa. Jeśli znajdzie Didrika Mörcka, Stina nie będzie mogła jej nic zarzucić. Poza tym jej przyszła kariera wyglądałaby o wiele bardziej obiecująco. To ona znalazła Vigga Hansena, dzięki niej mogli go zidentyfikować. A teraz znajdzie Didrika Mörcka. Jeśli tak będzie, to do cholery, na własną rękę rozwiązałyby całe śledztwo.

Zbiega po szerokich kamiennych schodach, a dźwięk kroków odbija się od ścian. Posada ministry sprawiedliwości nagle wydaje się naprawdę w zasięgu ręki. Kiwa głową i uśmiecha się. Yes, myśli podekscytowana i wybiega na ulicę w stronę bmw mini.

Rozdział 67

Stina widzi Arvida i Juliette Simonssonów idących w jej stronę z dwoma policjantami w mundurach.

– On tu był! – krzyczy Juliette, a Stina ledwo ją poznaje. – W naszym ogrodzie. W naszym domu. Dlaczego go nie złapaliście? – Głos przechodzi w szloch i kobieta nieświadomie poprawia włosy, wołając dalej: – Jak on może być wciąż na wolności? Szalony morderca. Przecież mógł... no, nie wiem co. – Zanosi się płaczem.

– Już, już – uspokaja ją Arvid, obejmuje ramieniem, które ona z siebie strzepuje, i rzuca mu przez łzy wściekłe spojrzenie.

– Co się stało? – pyta Stina i zatrzymuje się przed nimi.

Arvid ponownie obejmuje Juliette, przyciąga ją bliżej do siebie i zaczyna opowiadać.

– Ech, nic groźnego. Siedzieliśmy w domu i oglądaliśmy telewizję, kiedy zobaczyliśmy, że ktoś jest w ogrodzie. Najpierw pomyśleliśmy, że to znowu jakaś ciekawska osoba, która chciała tu przyjść pooglądać ziemiankę. Kilka takich już tu wcześniej było i rzeczywiście, wkurzyłem się, mówiąc wprost, i wyszedłem, żeby ją przegonić.

– Tak – dodaje Juliette. – I wtedy zobaczyłem, że to był Didrik Mörck.

– Jakie sprawiał wrażenie? – pyta David i odwraca się do Arvida.

– No, co by tu powiedzieć. Był wyraźnie rozkojarzony. Szukał pomocy. Poza tym cierpiał. Naprawdę bardzo. Było to po nim widać. Miał zranioną nogę. Nogawka była rozerwana i zauważyłem, że noga była wzięta w łubki. Wyglądało, jakby sam je sobie założył. Nie czuje się dobrze. Wydaje mi się, że jest na granicy. Nie bierze już leków, prawda?

– Tak myślimy.

– Był zupełnie niezborny. I zakrwawiony.

– Tak, i chwycił Arvida, a ja wtedy krzyknęłam, że zadzwoniłam po policję. Kiedy to usłyszał, przestraszył się i pobiegł. No, to znaczy, pobiegł to za dużo powiedziane. Pokuśtykał na tyle, na ile potrafił. Miał laskę, którą się podpierał.

– Proszę poczekać. Powiedziała pani „zakrwawiony”. Czy noga krwawiła?

– Nie – mówi powoli lekarz. Potem kontynuuje: – Musiał mieć jakieś inne obrażenia. Skąd w przeciwnym razie byłaby ta krew? – Kręci głową. – Powinienem był go zatrzymać. Źle się stało, że pozwoliłem mu odejść.

Stina potrząsa głową.

– Nie, postąpił pan całkowicie słusznie. To byłoby szaleństwo, gdyby pan próbował go zatrzymać. Ale widział pan jakąś ranę, z której mogłaby wypływać krew?

– Ja... – Cichnie. Patrzy na Juliette, a potem z powrotem na Stinę. Potrząsa głową.

Stina odwraca się do Davida.

– Krew. Jeśli nie była Didrika, to...?

Rozdział 68

Dzwonek chyba nie działa, więc Lovisa unosi rękę i puka do drzwi, tak intensywnie, że aż knykcie ją szczypią. Przyciąga dłoń do siebie, chucha i czeka. Kiedy nadal jest głucho, podchodzi do okna, zgina dłoń w daszek nad oczami i zagląda do środka. Marszczy czoło i wzdryga się, kiedy widzi ruch w ciemnym pomieszczeniu. Uspokaja się, a zaraz potem chręści zamek. Policjantka odsuwa się od szyby i robi krok do tyłu w tym samym momencie, w którym drzwi się uchylają. Już ma otworzyć usta, ale zanim zdąży zareagować, silna dłoń chwyta ją za nadgarstek. Próbuje się wyrwać, ale ktoś rzuca nią o drewnianą ścianę. Krzyczy z bólu i wykręca ramię, żeby wyzwolić się z żelaznego uścisku. Ale zamiast tego czuje tylko, że coś ją ciągnie przez próg, a drzwi się za nią zamykają.

Jest oszołomiona uderzeniem i trudno jej klarownie myśleć, kiedy mężczyzna ją puszcza. Zaczyna pełznąć do tyłu. Tylko po to, by poczuć ciężkie uderzenie w tył głowy, mocną rękę wokół kostki i ciągnięcie z powrotem. Ktoś łapie ją za ramię, stawia na nogi i rzuca w dół na krzesło. Słyszy dźwięk taśmy i czuje, jak jest nią obwiązywana.

Potem mdleje.

Rozdział 69

Stina wychodzi spod prysznic i ciasno owija się ręcznikiem. Po tym, jak skończyli u Simonssonów, zadzwoniła do Lovisy, ale po czwartej nieudanej próbie połączenia zdecydowała, że sama podjedzie do agenta nieruchomości. Wzięła ze sobą Davida, jak się okazało, tylko po to, by stwierdzić, że Melkera nie ma w domu. Nie może teraz nic więcej zrobić. Sprawą listu zajmą się jutro.

Stina robi sobie turban, siada na pokrywie muszli klozetowej i wyciąga nogi do przodu. Jej życie składa się teraz z wielkich kontrastów. Od zbiegłych morderców i ofiar pobić po shopping z córkami w Kungsmässan.

To ona wyszła z propozycją tego ostatniego. Potrzebowała tego. Tęskniła za chwilą przyziemnych problemów, kiedy nie musiała robić nic oprócz słuchania ich żywiołowo ćwierkających głosów. Zrobiły zwyczajową rundkę i zakończyły w Lodge Living, gdzie każda z nich znalazła coś dla siebie. Ucieszyło je to. I ją ucieszyło to, że się cieszyły. Po kupieniu ubrań zatrzymały się w barze kawowym w Lodge, a tam otrzymała krótki wgląd w życie córek i zaliczyła kilka bardzo potrzebnych salw śmiechu. Godzinę później podrzuciła je do koleżanek i pojechała do domu w towarzystwie toreb z zakupami, smaku kawy i wspomnienia ich śmiechu, który był jak balsam dla duszy.

Luzuje ręcznik i wyciera włosy do sucha. Nie powiedziała im o mamie. Jeszcze nie. Patrzyła na nie, jak się przechadzały po sklepach, podnosiły ubrania i dotykały ich. Na ich długie jasne włosy. Proste u Annie i kręcone u Lilly. Ich różne style. Nie potrafiła. Najpierw sama musiała to sobie przepracować. Ale jak miałyby to zrobić?

SLA jest straszne. Pogoogłowała i zrozumiała, czego oszczędzili jej rodzice, mówiąc o chorobie. Jest zarówno nieuleczalna, jak i niemiłosierna. Zazwyczaj zaczyna się w jednym ramieniu lub nodze i po kolei dotyka następne części ciała aż do całkowitego paraliżu. Często kończy się tak, że mięśnie odpowiadające za oddychanie poddają się i chory dusi się na śmierć.

W przebiegu choroby jest się cały czas zupełnie sprawnym umysłowo i nie można zrobić nic, żeby przeszkodzić śmierci w powolnym przeżeraniu się przez

ciało. Istnieją leki hamujące, ale nie przedłużają znacząco życia. Najwyżej o kilka miesięcy.

Każdego roku choroba dotyka około dwustu osób w Szwecji, a połowa z nich umiera w ciągu osiemnastu miesięcy od postawienia diagnozy. Są jednak tacy, którzy żyją dłużej, i tych przypadków trzyma się Stina. Jej mama ma żyć długo, i to na dobrym poziomie.

Wstaje, przeciera parę na lustrze i obserwuje opuchniętą od płaczu twarz, kiedy dzwoni telefon.

Mama – to pierwsza myśl, która przychodzi jej do głowy, kiedy szybko wyciąga rękę po smartfon na blacie.

Ale to nie ona. To Hampus Källgren.

– Przykro mi, że dzwonię tak późno, ale właśnie dostałem sygnał, że Kinde jest na pogotowiu w Östra po ciężkim pobiciu – mówi szybko Hampus. – Widziałem, że go poszukiwałaś, więc pomyślałem, że najlepiej zadzwonić.

– Kinde jest na pogotowiu? – Stina odwraca się od lustra i gapi w białe kafelki. – Kiedy to się stało? Byliśmy u niego po południu i dzwoniłiśmy do drzwi.

– Byliście tam?

– Tak. – Stina idzie do sypialni. Staje na miękkim dywanie przed szafą i otwiera ją. – Gdzie go pobili?

– Znaleziono go na Opaltorget.

Stinie przychodzi do głowy, że przecież przejeżdżali przez ten plac. Minęli Kindego? Czy leżał tam na ulicy, nie mogąc się odezwać? A może właśnie wtedy go bito, a oni tego nie zauważyli?

– Ci, którzy go znaleźli, widzieli, jak się chwiał – ciągnie Hampus. – Założyli, że był nietrzeźwy, ale kiedy się przed nimi przewrócił i zobaczyli mnóstwo krwi, zrozumieli, że coś się stało, i zadzwonili po karetkę. Miał szczęście, że go zauważyli. W przeciwnym razie raczej by się nie wylizał...

– Czyli naprawdę z nim kiepsko?

– Zdaje się, że tak.

– A kto jest sprawcą? – pyta Stina i przesuwając wzrokiem po półkach z ubraniami.
– Wiemy?

– Nie. Mówi, że nie wie, kto to był.

Stina wyszarpuje sobie dzinsy z koszulką i rzuca je na łóżko.

– To był napad?

– Nie znaleziono przy nim portfela ani komórki, więc mogło tak być.

– Dobrze, dzięki, że zadzwoniłeś – mówi powoli Stina, wyciąga parę białych majtek z szuflady i zaczyna je na siebie wciągać wolną ręką. – Jadę do Östrej. Możesz zadzwonić do Davida Saliby-Sandberga i powiedzieć, żeby się tam ze mną spotkał.

Rozłącza się. Siada na krawędzi łóżka, chowa twarz w ręczniku i znów pozwala łzom płynąć.

Rozdział 70

Lovisa nie wie, jak długo była nieprzytomna, ale w głowie jej pulsuje, a szyja zeszywniała. Oddycha płytko i szybko, kiedy wędruje wzrokiem po pokoju. Wysłużony brązowy narożnik obity skórą, czarny stolik z chromowaną podstawą. Podłoga pełna rozdeptanych żelek wymieszanych z odłamkami rozbitej miski. W oknie samotna doniczka z przykurzoną rośliną. Na ścianie... Wzrok się zatrzymuje. Plamy na ścianie? Nerwowo przełyka ślinę. Co jest, kurwa? Czy to rozbryzgana krew? Czyja? Jeszcze raz ciężko przełyka, oczy błędzą po pokoju i zauważa więcej kropli na podłodze. I kałużę na dywanie. Co tu się właściwie, do diabła, stało?

Próbuje się poruszyć, ale ręce i stopy ma unieruchomione. Pada na nią cień. Podnosi głowę i patrzy do góry. Didrik Mörck się na nią gapi. Spotyka jego wzrok. Oczy ma niezdrowo przekrwione. Patrzy to na nią, to na drzwi. Skurcze na twarzy. Jabłko Adama porusza się w górę i w dół w nieregularnym rytmie. Szybko zerka na plamy i rozumie. To się dzieje naprawdę. Jest uwięziona przez Didrika Mörcka i nikt nie wie, że tu jest.

Widzi przed sobą zdjęcia Cherie i gryzie się w dolną wargę. Mężczyzna stojący przed nią mógłby z nią zrobić wszystko. Jak, do chuja, mogła być tak głupia i przyjechać tu sama?

Nie chce umierać. Nie tu i nie teraz. Nie tak.

– Kto cię zabił? – Jego głos jest wysoki i skrzeczący. Skurcze wokół mocno spiętych ust są coraz silniejsze.

O co mu chodzi? Potrząsa głową.

– Nie rozumiem.

Mężczyzna pochyla się do niej i przyciska twarz blisko jej twarzy. Kobieta wstrzymuje oddech. Śmierdzi mu z ust śmiercią i zgnilizną.

– Jesteś martwa – syczy i trafia w nią śliną.

Kropla pada na jej dolną wargę. Chce podnieść ręce i ją zetrzeć, ale nie może.

– Kto to zrobił? – syczy ponownie Didrik.

Lovisa nie rozumie. O co mu chodzi? Myśli się kotłują. Nie chcą się zatrzymać. Nie ma w sobie zwyczajowej logiki. Wszystko, o czym może teraz myśleć, to że tu się to skończy. W podniszczonym salonie małego niebieskiego szeregowca we Frölundzie.

Rozdział 71

– Chcę go przesłuchać – mówi Stina do doktor Elviry Ekholm na oddziale ratunkowym szpitala Östra. – To ważne, żebym mogła z nim porozmawiać.

Lekarka przebiera palcami po przewieszonym na szyi stetoskopie, patrząc na pacjenta, który leży nieruchomo pod żółtym kocem. Potem wzdycha i podnosi wzrok.

– Musi pani zobaczyć, na ile może rozmawiać i czy starczy mu sił. Dostał morfinę i szczerze mówiąc, nie wiem, jak konkretny będzie mógł być w tej sytuacji.

– Rozumiem. Co z nim?

Lekarka kręci głową.

– Sytuacja jest teraz stabilna, ale ten lub ci, którzy go pobili, podeszli do tego bardzo rzetelnie. Ma wielokrotne pęknięcia na ramionach po tym, jak próbował się chronić. Silne uderzenia w głowę naruszyły tkankę mózgową i podejrzewam uszkodzenia komórek nerwowych i glejowych, które, obawiam się, spowodują trwałe zmiany.

– Mimo wszystko sądzi pani, że da radę ze mną porozmawiać?

Kobieta wzdycha zmęczona i gładzi ręką włosy.

– Jak mówiłam, dostał dużą dawkę morfiny, więc powinien móc sobie poradzić z bólem. Problemem może się okazać dotarcie do niego i sprawienie, żeby zrozumiał pytania i na nie odpowiedział. – Podchodzi do łóżka, pochyla się nad stolikiem i poprawia przewód kroplówki, a potem odwraca się do Stiny. – Po prostu musi to pani wyczuć. Jeśli się nie uda, to trzeba będzie odczekać kilka godzin. Może nawet noc.

– Okej.

Kiedy lekarka zniknęła, Stina przysuwa krzesło do łóżka i siada. Widzi, jak jego klatka piersiowa regularnie się unosi i opada.

Przynajmniej żyje i oddycha. Stina wyciąga rękę i kładzie ją ponad barierką na kocu. W pokoju jest ciemno, nie licząc światła lampki nocnej i zimnej niebieskiej poświaty aparatury nad głową Kindeggo. Cisza jest gęsta. Jedyne, co ją zagłusza, to pulsujący dźwięk jednej z maszyn, do których jest podłączony i które, jak domyśla się Stina, pomagają mu utrzymać się przy życiu.

– Dzień dobry – wita się cicho Stina i pochyla się nad łóżkiem.

Kinde leżał tak nieruchomo, że sądziła, że spał. Dlatego dziwi się, kiedy powoli odwraca głowę i patrzy na nią jednym opuchniętym okiem, które nie jest ukryte pod opatrunkiem.

– Jestem z policji. Nazywam się Stina Seger. Muszę z panem porozmawiać. Ma pan siłę?

Bierze jego szybki wydech za „tak”.

– Chce pan wody?

Mężczyzna potwierdza skinieniem.

Stina wyciąga rękę po szklanekę, przykłada mu słomkę do ust i czeka, kiedy mężczyzna powoli ssie kilka kropli. Stina przygląda mu się, kiedy pije. Gra cieni w pokoju tworzy wrażenie dużej wyrwy pod jego odsłoniętym okiem. Ciemny kilkudniowy zarost, widoczne żyły u nasady nosa i ślady po trądziku.

– Czy zna pan mężczyznę, który nazywa się Didrik Mörck? – pyta Stina i odstawia szklanekę.

– Tak.

– Wie pan, gdzie on teraz jest?

Mężczyzna przeciąga głowę od jednej strony do drugiej.

– Na pewno?

– Tak – odpowiada zachrypniętym głosem.

– Czyli to nie on to panu zrobił?

– Nie.

– Rozumiem. – Stina milknie. – Decyduje się zostawić Didrika i iść dalej. – Był pan lokatorem przy Daltorpsgatan sześć w dzielnicy Örgryte pomiędzy tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym a osiemdziesiątym trzecim. Zgadza się?

Mężczyzna robi ruch głową.

– Zna pan mężczyznę, który nazywa się Viggo Hansen?

Jego ciało zastyga. To może być ból, ale nie wydaje się jej. Bardziej prawdopodobne, że imię Vigga wywołało ten ruch.

– Zna pan?

– Tak.

– Skąd?

– Pracowaliśmy razem. Kiedyś. W Lillhagen. – Przystaje mówić i ciężko oddycha. – Po prostu się wprowadził. – Ściska mu gardło. – Do mnie.

– Czyli mieszkał u pana?

– Powinienem być powiedzieć. – Mruga jednym okiem. – Simonssonom. Ale nie mogłem. – Ból wykrzywia mu twarz w grymasie.

– Ale nie rozumiem. – Stina marszczy czoło. – Dlaczego nie mógł pan tego powiedzieć?

– Pracowałem u nich. Pomagałem przy domu. Oni nie wiedzą.

– Kim pan jest, znaczy się?

On znów kiwa głową i zamyka oczy. Milczy.

– Ma pan siłę?

– Tak. Chcę to powiedzieć.

– Mieszkał pan w domu, kiedy Viggo znikł?

Mężczyzna znów powoli potwierdza głową. Niecierpliwość ją podburza. Chce nim potrząsnąć. Potargać. Kurde, chce wiedzieć. Teraz, kiedy jest tak blisko. Decyduje się jeszcze trochę ponaciskać.

– Co się stało, kiedy znikł?

– Nie wiem – szepcze mężczyzna.

– Czy Didrik Mörck miał coś wspólnego ze zniknięciem Vigga?

Mężczyzna przełyka ślinę.

– Nie wiem.

– Ale przecież mieszkał u pana. Nie zgłosił pan jego zaginięcia?

– Nie. – Wzdycha głęboko. – Cieszyłem się. Że zniknął.

– Dlaczego pan się z tego cieszył? Przecież dzieliliście mieszkanie. Nie zachowywał się dobrze?

– Okropny człowiek. Zły.

Stina słyszy, że ktoś wchodzi do pokoju, odwraca się i widzi, że David oparł się o ścianę. Gestem pokazuje jej, żeby kontynuowała.

– W jaki sposób? Co on takiego robił, co było straszne?

Odwraca oko w jej stronę.

– Pracowałem z nim. Niszczył ludzi.

Stina marszczy czoło. Pamięta, co o opiekunach powiedziała mama Cherie. Że byli demonami.

– Co on takiego robił? Bił pacjentów? Zmuszał ich do czegoś, czego nie chcieli?

Mężczyzna powoli kiwa głową.

– Tak. Wszystkich. W najgorszy sposób, na jaki mógł wpaść.

– A Didrik? Czy był jednym z tych ludzi?

– Tak. Piekło. Młody. Wrażliwy. Piekło.

– Czy Viggo Hansen zmienił życie Didrika Mörcka w piekło?

– Taki młody. – Młaszczę. – Viggo wbił w niego szpony. Próbowaliśmy pomóc... Biedny Didrik. Nie dało się.

Stina widzi, jak łąza szuka drogi z widocznego oka, bierze serwetkę ze stolika nocnego i delikatnie przykłada ją do niej.

– Mój przyjaciel.

– Didrik był pana przyjacielem?

Mężczyzna potakuje.

– Czyli dlatego nie zgłosił pan zaginięcia Viggę Hansena. Viggo zmienił życie Didrika w piekło i chciał się pan go pozbyć – mówi Stina, a potem milczy, patrzy na Davida, a potem znów na pacjenta. – Myśli pan, że Didrik zrobił mu coś złego, prawda?

On ponownie wzdycha, a potem kiwa głową.

– Spaliłem jego rzeczy. Powiedziałem, że się wyprowadził.

– Sądził pan, że Didrik coś zrobił Viggowi i chciał pan go chronić? Tak było?

Znów potakuje.

– Ale dlaczego?

– Wszystko. Moja wina.

– Jak to pana wina? Co pan zrobił?

– Mieszkał u mnie. Wiedziałem, co zrobił Didrikowi i innym. Powinienem był go powstrzymać.

– Dlaczego pan tego nie zrobił?

– Ja... – Wzdycha ciężko. – Byłem za słaby.

– Hm. – Policjantka drapie się po szyi. – Możliwe, że Didrik był ofiarą w tym wszystkim i może było tak, że Viggo był wrednym sukinsynem, ale to, co Didrik zrobił Cherie... – Kręci głową. – Didrik też jest złym człowiekiem i musimy go znaleźć.

– Nie.

– Nie? – pyta zdziwiona i zerka na Davida.

– Kochał ją.

Stina oddycha ciężko i śmieje się pusto.

– To cholernie dziwne, ale już w kilku sytuacjach słyszałam, że Didrik bardzo kochał tę dziewczynę. Jeśli tak było, to jak mógł jej zrobić to, co zrobił?

Kinde patrzy na nią, nic nie mówiąc, i zamyka oczy.

Rozdział 72

Komórka znów wibruje w kieszeni. Lovisa zamyka oczy. Śmiertelnie przerażona, że może ją słyszeć. Jednocześnie to daje jej nadzieję, że ktoś próbuje się z nią skontaktować, mimo że nie może odpowiedzieć. Przypływają myśli, przygryza sobie poranioną dolną wargę. Przy każdym sygnale czuje, jakby cała wibrowała. Jeśli tylko mogłaby sięgnąć w dół i nacisnąć przycisk „odbierz”.

Nie. Nie odważy się spróbować. Najmniejszy ruch mógłby spowodować, że wyjedzie na nią z pyskiem. Jest przecież zupełnie szalony. Jeśli tylko mógłby wyjść z pokoju. Gdyby tylko wyszedł do kuchni albo toalety, albo gdziekolwiek.

Jeszcze raz rzuca szybkie spojrzenie na zniszczoną lampę i kabel, który wije się jak wąż przez czarną kałużę krwi na parkiecie. Część krwi wpłynęła na dywan i została przez niego wchłonięta, a część jest rozsmarowana na podłodze, tak jakby coś lub kogoś po niej ciągnięto.

Dlaczego tu przyjechała, do nikogo nie dzwoniąc? To było bardzo głupie z jej strony. Jeśli tylko wyjdzie z tego żywa, nigdy więcej nie będzie tak nieostrożna. Są powody, dla których nigdy nie powinno się takich rzeczy robić samemu.

Powinna była stawiać większy opór, kiedy drzwi się otworzyły. Ale wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zdążyła pomyśleć. Nerwowo przełyka ślinę. Może to była jej jedyna szansa, żeby przed nim uciec. I jej nie wykorzystała. Patrzy w dół na jego nogi. Stopa i podudzie wystają z nieudolnie zrobionej szyny usztywniającej. Wszystko jest nieforemną niebieską grudą. Kurde, dlaczego nie biegła? Nie chce skończyć jak Cherie.

– Kto? – krzyczy znów tak głośno, że Lovisa aż drży.

Znów musi się opanowywać. Walczyć, żeby powstrzymać płacz. Okazywanie słabości nie jest dobrą techniką negocjacyjną. Zestresowana, mruga, żeby utrzymać łązy na miejscu.

– Nie rozumiem, co...

– Cherie – mówi cicho, pochyla głowę i huśta nią do przodu i do tyłu. – Cherie, Cherie.

Lovisa otwiera usta i patrzy na kiwającą się głowę. Słyszy, że on wymawia imię dziewczyny. Rozumie. Myśli, że Cherie to ona. Myśli, że jest martwa.

Ale dlaczego pyta, kto ją zabił?

Zerka na niego.

– Przecież to ty – mówi cicho, niepewna, czy wybuchnie. – To ty ją zabiłeś. Eee, mnie zabiłeś – poprawia się szybko i czuje, jak smartfon w kieszeni znów zaczyna wibrować.

– Nie, nie, nie! – wyje mężczyzna i gwałtownie potrząsa głową. – To nie ja. To on.

– Tak, to ty – mówi cicho i w tym samym momencie tego żałuje, widząc, jak on wbija w nią wzrok i rusza w jej stronę. Ogarnia ją panika, kiedy czuje, jak jego twarde ręce poruszają się po jej ciele. Zaciska powieki i dopiero wtedy, kiedy wsuwa dłoń do jej przedniej kieszeni i wyjmuje wibrującą komórkę, czuje ulgę. To tego szukał.

Ale kiedy on rzuca smartfonem o ścianę, a potem podchodzi do niego i rozbija go srebrną laską, już nie chce. To była jej jedyna nadzieja. Nikt jej nie znajdzie. Umrze tu.

Rozdział 73

– Pozwolę mu przez pięć minut odpocząć. Potem spróbuję jeszcze raz – mówi cicho Stina, zamykając drzwi za plecami. Patrzy na Davida, który chodzi przed nią tam i z powrotem. Zatrzymuje się i przejeżdża kilka razy dłonią po brodzie.

– Zastanawiałam się nad jedną rzeczą, kiedy słuchałam Kindeggo. Didrik nigdy nie przyznał się do zabicia Cherie. Może rzeczywiście tego nie zrobił?

– Myślisz, że to był ktoś inny?

– Tak.

– Ale dlaczego dostaje się tyle lat w zamknięciu za coś, czego się nie zrobiło?

– Może dlatego, że samemu się w to wierzy?

Stina powoli porusza głową, nie spuszczać z niego wzroku. Luki w pamięci. Albo raczej jej fragmenty. Plus to, co według wszystkich zrobił, stworzyło obraz, który w końcu stał się dla niego prawdą. A może jest tak, że teraz zaczyna sobie przypominać, co się naprawdę stało, i chce to naprawić?

– Ale jeśli to nie Didrik, to kto?

– Viggo Hansen?

– A co byłoby motywem?

Policjant kręci głową.

– Nawet jeśli nie miał żadnego motywu, to Viggo wydaje się prawdopodobny – mówi dalej Stina. – Obrażenia, które miała Cherie, zgadzają się z profilem, który reprezentował Viggo, jak się zdaje. Nazywali go złem wcielonym.

– Dokładnie.

– Mamy też agenta nieruchomości. Tak naprawdę to on napisał list.

– Tak.

Stina milczy.

– Ale nie wydaje się, żeby on miał właściwy profil. – Wzdycha. – Zakładam, że jedyną osobą, która może odpowiedzieć na to, jak wszystko się ze sobą wiąże, jest Didrik. Jedyne problem polega na tym, że on nie pamięta.

– Ale Sten Dalbo myślał, że coś zaczynało mu świtać – przypomina David. – Może ma rację?

– Musimy go znaleźć. – Stina patrzy w stronę pokoju. – Myślę, że Kinde wie, gdzie on jest. Wydaje mi się, że Didrik szukał u niego pomocy, i stało się coś, co spowodowało, że mu odbiło. Przycisnę go trochę.

Odwraca się, otwiera drzwi i podchodzi do łóżka.

– Panie Bengtcie Fredriku – zaczyna ostro. – Chcę, żeby teraz zeznał pan prawdę. Wie pan, gdzie on jest, prawda? Pora powiedzieć.

Owinięty bandażami człowiek odwraca twarz w jej stronę. Jedyne oko wygląda na cierpiące. Mężczyzna budzi współczucie. Ale to niczego nie zmienia.

– On ci to zrobił, prawda?

Nic nie odpowiada. Tylko na nią patrzy.

– Musi pan powiedzieć. Nie rozumie pan? On musi wrócić. Trzeba mu pomóc. Zanim stanie się coś gorszego. Nie ma sensu, żeby pan próbował go chronić.

Mężczyzna dalej nic nie mówi.

– Co on robił w domu Simonssonów?

Kinde odwraca głowę.

– Noga – szepcze.

Stina pochyla się do niego.

– Co pan powiedział? Noga?

– Ból.

– Bolała go noga i chciał, żeby Simonssonowie mu pomogli?

Kiwa głową.

– Ale dlaczego to panu zrobił?

Kinde lekko porusza głową na boki i kurczowo zaciska powiekę.

– Aha, no dobrze, niech pan nic nie mówi. Ale proszę wskazać, gdzie on jest. Musi otrzymać pomoc. Nie tylko ze sobą, ale też ze względu na nogę. Arvid Simonsson twierdzi, że Didrik dostał zakażenia krwi. Może od tego umrzeć, nie rozumie pan tego?

Mężczyzna powoli kiwa głową.

– Pomogą mu?

Stina przytakuje.

– Obiecuje pani?

– Tak, obiecuje.

Rozdział 74

To obrzydliwe. Patrzy w dół na ciemne krocze. Przeklina te dwa wielkie kubki herbaty, które wypila i z powodu których się posikała. To uwłaczające, ale popuszczenie przynosi ulgę. Teraz Lovisa siedzi w mokrym i śmierdzi. Ale Mörck zdaje się niczego nie zauważać. Nadal kulejąc, chodzi tam i z powrotem i mruczy sobie coś pod nosem. Beładnie i niewyraźnie. Szaleńczo.

Nie spuszczając z niego wzroku, Lovisa próbuje się poruszyć. Zapiera się o podłogę i przechyla na dwie strony. Zaciska i poluzowuje dłonie, próbując przywrócić w nich krążenie. Nogi ją bolą, a stopy zdrętwiały. Straciła poczucie czasu. Wydaje się jej, że minęło wiele godzin, ale w rzeczywistości nie ma pojęcia ile.

Dźwięk cichnie. Lovisa pozwala myślom przepływać i patrzy w górę. Didrik się zatrzymał. Stoi teraz przy kanapie i tylko się lampi. To chyba jest nawet gorsze od tego wariackiego chodzenia i mamrotania. Cisza i bezruch są zapowiedzią czegoś, co nadejdzie.

Lovisa patrzy na jego sztywne plecy przekrzywione w prawo w stronę laski, a on nagle się odwraca i na nią spogląda.

– Masz list?

Policjantka kręci głową.

– Kłamiesz. Masz go. Przyznaj się – krzyczy mężczyzna i macha laską tak, że ta ciężko uderza o krawędź kanapy.

– Nie, to prawda. Przysięgam. Nie mam listu. – Lovisa brzmi jak mały marudny dzieciak.

Didrik robi kilka chybotliwych kroków w jej stronę, kiedy obydwójce wzdrygają się na pukanie do drzwi. Didrik się zatrzymuje. Szarpie głową i gapi się na nie. Skurcze powodują, że wygląda, jakby węszył.

– Didriku Mörcku! – to głos Stiny.

Na ten dźwięk żołądek zwija się Lovisie w kłębek. Nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa na dźwięk czyjegoś głosu. Zaciska usta. Zmusza się, żeby jej nie zawołać. Już nie jest sama. Stina tu jest. Wspaniała, kochana Stina.

– Wiemy, że tu jesteś. Otwórz drzwi! – woła ponownie Stina.

– Zabrałaś ich tu ze sobą? – syczy do niej Didrik i podchodzi bliżej. – Co narobiłaś? Zdradziłaś mnie? Ty też.

Odwraca się. Kulejąc, wychodzi do kuchni. Wraca i w tym samym momencie, w którym drzwi z hukiem wylatują w powietrze, przykłada Lovisie nóż do szyi.

Lovisa spotyka się wzrokiem ze Stiną. Jej niebieskie oczy pytają, czy wszystko w porządku. Lovisa mocno przełyka ślinę i czuje, że nacisk ostrza na skórę rośnie, kiedy mięśnie się napinają. To wszystko. Czy to się dzieje naprawdę? Czy tylko w jej umyśle?

Ale uczucie na szyi jest prawdziwe. Zimna, twarda i ostra stal.

Lovisa nie chce umierać. Dopiero co skończyła dwadzieścia pięć lat. Ma przed sobą całe życie. Będzie miała rodzinę i dzieci. Kurde, przecież ma zostać ministrami sprawiedliwości. Przygryza dolną wargę, kiedy łzy zaczynają napływać jej do oczu.

Wzrok Stiny ją opuszcza.

– Czekaj – mówi policjantka i wyciąga ręce przed siebie. – Nie musisz tego robić. Mężczyzna dyszy tak ciężko, że Lovisa czuje na włosach jego oddech.

Stina robi krok do przodu, dalej z rękami w górze.

– Wiem, co się stało. Kochałeś Cherie, ale nie było ci wolno z powodu Vigga.

– Nie – odpowiada, a Lovisa wypuszcza powietrze z płuc, kiedy nacisk maleje. – Nie było mi wolno z powodu Vigga, ale i tak ją kochałem.

– To nie ty ją zabiłeś, prawda?

– Nie, nie.

Lovisa czuje, jak on potrząsa głową.

– Nie zabiłem jej. Kochałem ją.

Mężczyzna przestaje mówić. Lovisa patrzy na rękę, którą trzyma ponad jej piersią. Wygląda na sztuczną. Potem to pojmuje. Co Stina powiedziała? To nie Didrik zabił Cherie?

– Wiedział, że ją znajdę. Czy tego chciał?

Czuje jego rękę na głowie. Gładzi ją po włosach. Powoli, nie mocno, tylko lekko i czule. Ręka się zatrzymuje.

– Jej włosy. – Didrik szlocha krótko. – Czerwone. Zakrwawione. Co on jej zrobił? Co ja miałem zrobić? Co ja mogłem poradzić?

– Byłeś zmuszony pomścić Cherie?

Lovisa domyśla się, że skinął nad nią głową.

– Pomścić?

Żołądek znów podchodzi Lovisie do gardła.

– Chciałeś pomścić Cherie i zabiłeś Vigga?

– Ja... – Głos cichnie. – Ja... Tak, to zrobiłem.

– To nieprawda – odzywa się nowy głos, który dochodzi od strony drzwi do kuchni. Lovisa widzi, że Stina i David odwracają się w tę stronę, i czuje, że Didrik też to robi. Sama już prawie też się przekręca, kiedy napierająca na szyję stał ją powstrzymuje.

– Nie zabiłeś Vigga – kontynuuje głos. – To byłem ja. Ja i Eddy. – Mężczyzna robi krok do przodu. – No, powiedziałem to. Teraz to wyszło. To my to zrobiliśmy. Nie mogliśmy pozwolić mu żyć. Nie po tym, co zrobił. Nie po tym, co zrobił Didrikowi i wielu innym. I co zrobił Cherie.

Lovisa rozpoznaje głos. To Melker Fagerlind.

– Obiecał, że dostanę list. Ale nigdy mi go nie dał. Wiedziałem, że dalej będzie mnie szantażował. Jasno to powiedział. Było tylko jedno wyjście. Upiliśmy go, zabiliśmy, a ciało położyliśmy w ziemiance. Didrik przyszedł tam tamtego wieczoru, żeby się zemścić, ale nic nie zrobił. Tylko pomógł nam go przenieść. Didrik! – Melker zwraca się do niego. – Jesteś niewinny. Nic nie zrobiłeś.

– Ależ tak. To moja wina. Żyłaby, gdybym zrobił to, co mi kazał. Jeśli dałbym mu to, czego chciał, pozwoliby Cherie żyć. Ostrzegał mnie. Powiedział, że jeśli nie przestanę, to żywcem obedrze ją ze skóry. Miał...

Lovisa czuje, jak napiera na nią coraz większa siła.

– Powiedziałem jej, że musi zniknąć. Ale się nie zgodziła. Nakrzyczałem na nią. Powiedziałem, że już nigdy nie chcę jej widzieć.

Teraz wisi na niej.

– Ale ona wciąż wracała. I dlatego musiała umrzeć.

Czuje inny nacisk na ramieniu. Kości dłoni, która trzyma nóż, bieleją, kiedy się zaciska. Słyszysz, jak on zaczyna szybciej oddychać. Włoski na karku stają jej dęba od jego oddechów.

O kurwa, o kurwa, o kurwa, to jedyne, co przychodzi jej do głowy. Umrę. Nie chcę umierać.

– On był złem – syczy Didrik.

– A teraz puścisz Lovisę – rozkazuje pewnym głosem Stina. – Już wystarczająco wielu ludzi ucierpiało. Już wystarczy. Nie potrzeba nam następnego niewinnego.

Kobieta robi krok do przodu.

– Stop! – krzyczy Didrik. – Nie podchodź.

Nóż błyskawicznie przyciska się do skóry. Lovisa czuje szczypanie i coś innego. Patrzy w dół i widzi, że jej biała bluzka zaczęła się robić czerwona na piersiach. Krew. Zaczyna płakać.

– Stina – szepcze cicho.

– Didriku – mówi Stina. – Czy już nie wystarczy? Czy nie dostałeś tego, po co przyszedłeś? Już teraz wiesz, prawda?

Mężczyzna potwierdza gestem, a ona chlipie, kiedy czuje, że nacisk nieco zelżał.

– Przecież wiesz, że to nie ty to zrobiłeś. Cherie była ofiarą złego człowieka, dokładnie tak jak ty.

Stina zbliża się o krok.

– To dlatego przyszedłeś? Już pora, żeby sobie przypomnieć. Dowiedzieć się, że to nie ty zrobiłeś te straszne rzeczy. Dowiedzieć się, że to nie ty skrzywdziłeś Cherie. Przeciwnie, próbowałeś jej pomóc.

Robi jeszcze jeden krok.

– Didriku, nie jesteś złym człowiekiem. Nie jesteś jak Viggo Hansen. Nie chcesz zrobić Lovisie krzywdy, prawda?

Jeszcze jeden krok. Och, Stina – myśli Lovisa. – Bądź ostrożna. Na Boga, bądź ostrożna. Chcę jeszcze żyć. Nie chcę umrzeć.

– Daj mi nóż, Didriku – prosi Stina i wysuwa dłoń przed siebie. – Już po wszystkim. Pojedziesz do domu. Będziesz miał ciszę i spokój. Teraz, kiedy wiesz, że to nie ty skrzywdziłeś Cherie.

Lovisa czuje, że uścisk znów się zwiększa, i jęczy. Zamyka oczy. Przygotowuje się. Czuje, jak nacisk na szyję robi się coraz większy.

Nie, myśli.

Nie.

Rozdział 75

Stina podnosi wzrok, kiedy otwierają się drzwi do pokoju konferencyjnego. David wygląda poważnie, wkraczając do pomieszczenia. Zza niego wygląda mała blond główka.

– Pozwoliłem Lotcie przyjść dzisiaj ze mną. – Wsuwa krzesło. Chwyta za lekkie ciało małej, podnosi ją i sadza. – Nie zostanę zbyt długo.

– Cześć, Lotta! – wita się Stina i przygląda się dziewczynce, która bierze kolorowanek z księżniczkami i okrągłe pudełko z pisakami we wszelkich możliwych odcieniach, które David wyjmuje z jej torby. – Dostaniesz dzieci na urlop?

– Dwa tygodnie. Potem przejmie je Karin.

– Czyli dalej jesteście w separacji?

David potwierdza, a ona ponownie patrzy na małą dziewczynkę, która wypełnia rysunek ust czerwonym pisakiem. Dokładnie tak jak ona i jej córki, kiedy były małe. Ścisza ją w gardle. Łzy przychodzą często, ale to nie jest odpowiednia chwila. Nikomu tego nie powiedziała. Jeszcze nie. Potrzebuje czasu. Czasu, żeby nauczyć się nad tym panować. Czasu, żeby umieć mówić o tym bez płaczu. Mama ma do przejścia piekło. Jest wiele okropnych chorób, ale SLA jest najgorsze. Czeka ją powolna, rozciągnięta w czasie śmierć w męczarniach.

Tego lata Stina spędzi z nią tyle czasu, ile to tylko możliwe. Spróbuje cieszyć się tymi chwilami, które jeszcze im zostały. Będą musiały zaplanować, jak sobie dać radę z codziennymi sprawami, kiedy mama już nie da rady się sama poruszać.

– Słyszeliście o Danie Kowalskim? – Lovisa przerywa jej myśli.

Wygląda na zdrową, myśli Stina. Wypoczęte oczy i kilka nowych piegów na nosie. Tylko opatrunek na szyi zdradza, co przeżyła.

Mogła umrzeć. Dokładnie tak samo jak Stina tamtej nocy dwadzieścia pięć lat temu. Kiedy zobaczyła Lovisę przywiązaną taśmą gaffa, naszły ją wspomnienia z nocy, kiedy była sama w knajpie w Gamlestan i podliczała wieczorny utarg z gry w blackjacka. Pamięta uczucie strachu, kiedy nagle drzwi otworzyły się na oścież

i trzech ubranych na czarno mężczyzn ruszyło w jej stronę i powaliło ją na ziemię. Jak potem związali jej ręce i nogi, zakleili usta mocną srebrną taśmą i wrzucili do schowka na szczotki w starej skrzyni emigracyjnej. Noc była okropna. Stina leżała w ciasnej czarnej przestrzeni bez możliwości poruszenia się, a taśma na ustach i ściśnięta pozycja utrudniały oddychanie. Była pewna, że tam umrze. Miała dwadzieścia lat, kiedy to się stało, i od tamtego czasu ma problemy z małymi przestrzeniami. Mogła nie przeżyć. Dokładnie tak jak Lovisa trzy dni temu z powodu swojej głupoty.

Wyruszenie tam w pojedynkę było z jej strony kurewsko idiotyczne. Stina nakrzyczała na nią i wytłumaczyła, że nigdy nie wolno tak działać. Nie ma się wtedy przed sobą długiej kariery policjantki.

– Ma dziewczynę – kontynuuje Lovisa.

– Co? To prawda? – dziwi się Stina.

– Tak. – Lovisa się śmieje. – Poczekaj tylko, aż ją zobaczysz.

– I co wtedy?

Lovisa przewraca oczami.

– Nie uwierzysz własnym oczom. To nie jest ktoś, kogo byś się spodziewała po Danie, że tak powiem. Ale, no. – Chichocze. – Zobaczymy, jak im pójdzie.

– Co masz na myśli?

– Ujmę to tak. Wysokie obcasy, krótkie spódniczki, ostry niebieski cień na powiekach i tlenione włosy z czarnym odrostem. Może dostał nieco więcej, niż sobie wyobrażał?

Jest zdziwiona. To pasowało do Dana, którego znała.

– Widziałam ją na własne oczy – mówi dalej Lovisa. – I ty też ją zobaczysz. Dan ma ją zabrać ze sobą na imprezę pożegnalną Göranssona. Widziałam listę gości.

– Tak, tak. – Stina wzdycha. – Właśnie, czy ty na pewno powinnaś tu być?

– A czemu nie?

Patrzy na plaster w poprzek szyi Lovisy. Z otwartej rany poleciała krew, ale wyglądała na poważniejszą, niż faktycznie była. Wystarczyło ją opatrzyć i spróbować wytłumaczyć Lovisie, że szok może przyjść później.

– Bo przeżyłaś dość straszne rzeczy. I dlatego, że naprawdę nie musi cię tu być.

– Ech. – Lovisa bagatelizuje koleżankę. – Wypoczęłam. Poza tym jest sezon urlopowy i nie muszę się niczym przejmować. I chcę się wszystkiego dowiedzieć, chyba to rozumiesz?

– Między nami mówiąc, uważam, że dobrze zrobili, wykańczając Vigga – odzywa się David i wyjmując z kieszeni iPoda. – Po urazie głowy stał się książkowym przykładem socjopaty – dodaje, zakładając córeczce słuchawki na uszy. – Nic, co nie zaspokajało jego potrzeb, nie miało dla niego wartości. Tacy ludzie nie mogą chodzić na wolności.

– Zwłaszcza nie w miejscu, w którym mogą się wyżywać tak jak on. Lillhagen musiało być dla niego rajem. Jedyne, co interesowało lekarzy, to żeby męczący pacjenci się uspokoiли. To totalnie chore, że nikt się nie wysilił, by przypatrzeć się jego metodom.

– I w sam środek tego trafił Didrik – wtrąca Lovisa.

– I Kinde, który też stał się ofiarą. I w sumie Melker też.

Lovisa patrzy na Stinę i kręci głową.

– A ja tam nie wiem. Melker tak. Ale Kinde? On mógł po prostu się zwolnić i odejść. Proste jak drut.

– Mógł. Ale sądzę, że miał poczucie odpowiedzialności. Wiedział, że tak długo, jak tam pracował, istniała przynajmniej mała bariera.

– A tego Viggo nie lubił. – Lovisa podnosi kubek z kawą. – Ale dlaczego uwziął się na Didrika? I dlaczego Cherie? Nie była nawet jego podopieczną.

David sprawdza, czy słuchawki dobrze osłaniają małe uszka.

– Możemy tylko spekulować, ale myślę, że to się wiąże. Nie mógł się dorwać do Didrika i to się stało jego obsesją. W końcu zrozumiał, że jedynym sposobem, żeby go zupełnie złamać, było dotarcie do Cherie.

Stina wyjmując z rulonika ciasteczko ballerina, a dziewczynka patrzy na nią wielkimi oczami. Stina mruga i uśmiecha się. Bez odpowiedzi.

– Viggo ostrzegł Didrika. Powiedział, że się za nią weźmie, jeśli nie przestanie przychodzić do niego w odwiedziny. Didrik wiedział, do czego Viggo był zdolny. Widział to wcześniej i przede wszystkim ileś razy odczuł to na własnej skórze. Więc poprosił Cherie, żeby już się nie pojawiała. Ale to jej nie powstrzymało.

Wtedy na nią krzyknął i powiedział, że jej nienawidzi i że nigdy więcej nie chce jej widzieć. To było to, co usłyszał Oscar Berenrot.

– Ale dlaczego? – Lovisa kręci głową. – To znaczy, jeśli ktoś powiedziałby mi, żebym spierdalała, to już bym nie przyszła.

– Prawdopodobnie wiedziała, że nie o to mu chodziło. Poza tym Didrik tak dużo dla niej zrobił. Zajął się nią, kiedy nie miała domu ani nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. I była lojalna.

– A list?

– Viggo włożył go Didrikowi pod poduszkę. Wiedział, że go tam znajdzie. Obliczył, że będzie go czytał mniej więcej wtedy, kiedy on złapie Cherie i nie będzie mógł nic z tym zrobić. To był naprawdę szczwany plan.

– Ale przecież mógł. Mógł zadzwonić na policję albo dać list personelowi.

– Tak, mógłby to zrobić, gdyby nie to, że tego wieczoru koledzy Vigga pracowali i dostali rozkaz zatrzymania go, gdyby próbował. – Stina bierze łyk kawy i mówi dalej: – Mieli go wypuścić dopiero na sygnał Vigga.

David kręci głową.

– Ja pierdolę, biedny Didrik.

– Mhm, znaleźć ją w takim stanie. W drodze do domu obiecał jej, że się zemści, więc zostawił ją u ojca i poszedł szukać Vigga. Wiedział, że mieszkał u Kindeggo, ale kiedy tam dotarł, Viggo już nie żył.

– Przypuszczalnie na szczęście dla Didrika. W starciu z Viggiem nie miałyby szans.

– Nie. – Stina kiwa głową. – Ale wszyscy trzej pomogli sobie przy ukrywaniu ciała w ziemiance. To stamtąd przychodziły jego obrazy z pamięci i na ich podstawie udało mu się odnaleźć Simonssonów.

– Ale że pomyślał o tym, żeby nie używać prawdziwego imienia i nazwiska? To wskazuje na działanie z premedytacją.

– Tak, nie był przecież głupi. To znaczy, oprócz luk w pamięci, funkcjonował dobrze. Można powiedzieć, że wiedział, co robił, choć nie do końca.

– A Melker i Kinde. Wiedzieli, że Didrik nie zabił Vigga, ale milczeli na ten temat, żeby chronić siebie.

– Tak. A Kinde pilnował. Chciał przenieść szczątki Vigga, ale się nie odważył. Sprawdzał, czy nic nie było widać, i wiecie, papierek. Po Marabou. Ustaliliśmy, że był z lat osiemdziesiątych. To było przeoczenie, szczególnie, którego nie powinien był zostawić.

– Okej, okej. Rozumiem, że chcieli się chronić, ale że wiedzieli, że Didrik nie zabił Cherie, i nigdy nic nie powiedzieli, tego nie łapię.

– Nie mogli – mówi Stina. – Sami wpadliby za zabójstwo Vigga. Kinde wytłumaczył to tak, że dla Didrika lepiej było nie wiedzieć o tych wszystkich strasznych sprawach, które stały się udziałem Cherie. Lepiej było zupełnie o tym zapomnieć.

– Przez chwilę myślał nawet, że ja jestem Cherie. – Lovisa kręci głową i kładzie dłoń na ramię. – Ale co teraz?

– Z powodu pobicia Kindeggo i porwania ciebie Didrik jeszcze przez jakiś czas będzie poddany przymusowemu leczeniu.

– A Kinde? – David wyjmując komórkę, która brzęczy od przychodzącego esemesa, i patrzy na ekran. Drży mu kącik ust, szybko zamyka wiadomość i spogląda w górę. – Przeżyje?

– Prawdopodobnie. Ale nie bez „ale”.

– Poetycka sprawiedliwość.

Stina wzdycha.

– Tak, może.

Sprawiedliwość, myśli. Co to jest? Na pewno nie to, że jej mama ma SLA i umrze. Nie to, że te pierdolone typy, które ją okradły i zostawiły na pewną śmierć, były na wolności. Została policjantką, żeby się zemścić, ale jeszcze się do tego nie zabrała. Kto wie, jak długo będzie żyć? Wzdycha. Jeśli będzie za długo czekać, to może zrobi się za późno. Koniec z czekaniem. Od teraz będzie czerpać z każdego dnia, tak jakby był jej ostatnim.

Deszcz zaczyna uderzać o szyby. Stina podnosi wzrok i wygląda przez okno. Niebo jest czarne, a chmury wiszą nisko. Pogoda znów się zmieniła i pada, intensywnie i gwałtownie. Nadszedł urlop. Przed nią cztery długie tygodnie bez pracy. Wzdycha i patrzy na zegarek. W tym roku wolne będzie inne.

Rozdział 76

Sten Dalbo jest wykończony po stresie, który przyniosło ze sobą to zdarzenie. Zajrzał do Didrika, potem poszedł do gabinetu i wziął dwie tabletki na ból głowy. Teraz siedzi za biurkiem z wielką filiżanką kawy i ciasteczkiem waniliowe serduszko o łagodnie żółtym kolorze spoczywającym na białym spodku. Odgryza kawałek, odchyła się na krześle i przeżuwa powoli, przypatrując się dyplomom na ścianie.

Leki zaczynają dawać kopa i mężczyzna głęboko wzdycha. Przywrócono porządek. Didrik jest z powrotem w swoim pokoju w Brinkåsen, gdzie znajduje się jego dom, a na dworze długimi popołudniowymi promieniami świeci słońce.

Była taka chwila, kiedy czuł pewne wahanie przed trzymaniem tu Didrika w charakterze pacjenta. Przecież on, mimo wszystko, nie był winny morderstwa na Cherie. Sten wiedział to od dawna. Didrik zdradził, co się tak właściwie stało, tego wieczoru podczas hipnozy i Sten zastanawiał się, co miał z tą informacją zrobić. Naturalną rzeczą byłoby powiedzieć policji, ale co tak w zasadzie Didrik by na tym zyskał? Co prawda jego dobre imię zostałoby przywrócone, ale czy to coś zmieniało? Przecież on i tak nic nie pamięta. I nawet jeśli nie popełnił przestępstwa, mimo wszystko był chory i potrzebował opieki. A gdzie mógł dostać lepszą niż tu, w Brinkåsen, u niego? Sten doszedł zatem do wniosku, że lepiej było pozwolić wszystkiemu iść dawnymi torami.

Odczuwał pewien lęk po ucieczce i na myśl o tym, co by to tak naprawdę oznaczało, gdyby Didrik odzyskał pamięć, ale jeśli chodzi o niego samego, wydaje się mimo wszystko spokojny. Nikt nigdy nie będzie mógł udowodnić, że znał prawdę o zamordowaniu Cherie i ją ukrywał.

Jest bezpieczny. Nigdy nie będą mogli się za niego wziąć.

Bierze kolejny kęs serduszka, zlizuje cukier, który został na wardze, i unosi filiżankę z kawą do ust.

– Sten Dalbo?

Sten przełyka kawę i odwraca się, słysząc stanowczy głos.

– Tak. – Odpowiada z uśmiechem mężczyźni w czarnych spodniach i beżowej koszulce, który stoi w jego drzwiach. – W czym mogę pomóc?

Mężczyzna nie odwzajemnia uśmiechu, tylko robi krok do środka. Za nim podąża dwóch wyrosniętych policjantów w mundurach. Sten marszczy czoło i gdzieś tam zaczyna odczuwać lekki niepokój.

– Czy są tu panowie po Didrika Mörcka? – pyta i odstawia filiżankę z brzękiem porcelany.

– Nie – odpowiada mężczyzna. – Po pana. Chcemy, żeby pan z nami pojechał na komisariat.

– Dlaczego?

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem gwałtu.

Sten czuje, jak krew odpływa mu z głowy, a serce zaczyna mocno bić.

– Nie – mówi słabo i kątem oka widzi dyplomy. – Jak to możliwe? – Głos zamiera.

Rozdział 77

Didrik otwiera oczy. Coś się zmieniło, potem rozumie co. Ból ustąpił. Opuściło go kłucie w nodze i plecach, a zamiast domowej roboty szyny usztywniającej kończynę szczelnie otacza biały gips. Patrzy w górę. Zielone firanki są zasłonięte. W pokoju panuje półmrok, ale ciało czuje, że długo spał. Jest w domu. W domu, w Brinkåsen.

Odwraca głowę. Widzi ruch i zastyga na widok ciemnej postaci, która idzie w jego stronę. Wstrzymuje oddech i przygląda się mężczyźnie wyłaniającemu się z cienia. W wysokim chudym ciele widzi samego siebie. Najpierw nie rozumie, ale kiedy pojmuje, kto to jest, bierze głęboki oddech. To ojciec. Tu. U niego.

– Didrik – mówi ojciec i staje przy łóżku. Stoi tam i kołysze się do przodu i do tyłu. Cicho. – Jak... – odzywa się w końcu. Potem odchrząkuje. – Jak się czujesz?

Didrik odwraca głowę i patrzy na stolik nocny. Na zdjęcie. Uśmiecha się do niego i wyciąga rękę.

Potem przytomnieje. Nie zrobił tego. Nie odebrał jej życia. Powinien czuć ulgę, ale jest tylko smutek.

Szybko nachodzą go wspomnienia. List. Strach, kiedy rozumie, co się stanie. Znalazł ją dokładnie tam, gdzie Viggo napisał, że zostawi ją na śmierć. Leżała tam jak zniszczona i zakrwawiona lalka.

Kręci się w łóżku i przyjmuje pozę embrionalną. Prześcieradło pod nim się marszczy.

Ogrom bólu. Była zakrwawioną masą, kiedy do niej podszedł. Zgwałcona i pobita. Ale żyła. Wziął ją w ramiona. Niósł ją całą drogę do gospodarstwa. Do domu, do...

Podnosi wzrok. Ojciec dalej tam stoi. Nie poruszył się.

– Powiedziała coś? – pyta.

Ojciec potrząsa głową.

– Nic?

– Nie. Nie umiała. Za dużo... wycierpiała.

Didrik przykłada ręce do twarzy. Ciepłe łzy pieką, a on płacze, myśląc o ostatnich godzinach jej życia. Tak strasznych. Tak okropnych. Nie chce o tym myśleć. Nie chce pamiętać. Gdyby tylko potrafił ją uratować.

– To nie ja – oznajmia w końcu. Coś go opuściło. Okienka się pootwierały i teraz nareszcie złożył je w całość. Wszystkie obrazy, które przeblyskiwały w małych nieuchwytnych sekwencjach, stały się całością.

– Wiem – odpowiada ojciec i siada na brzegu łóżka. Mebel ugina się pod jego ciężarem, a Didrik czuje ciepłą dłoń na ramieniu. – Przykro mi, Didrik. Że nie zrobiłem więcej. Że cię zostawiłem. Ale myślałem, że... Przeczytałem list, uwierzyłem, że to ty.

Didrik patrzy w dal na drzwi. Co się teraz miało stać? Nie chce wychodzić z powrotem do świata. Chce tu zostać. W bezpieczeństwie.

Chce zasnąć i znów zapomnieć.

Zamyka oczy i cicho nuci.

Czuje dłoń ojca na barku.

Ich piosenka. Hansa i Cherie. To jedyna rzecz, którą ze sobą zabierze.

*Stars shining bright above you
Night breezes seem to whisper „I love you”
Birds singing in the sycamore tree
Dream a little dream of me.*

Posłowie

Uśpione wspomnienia to fikcja, a wszystkie postaci występujące w książce są wymyślone. W trakcie poszukiwania informacji do powieści natrafiłam jednak na wiele prawdziwych osób, miejsc, wydarzeń i środowisk, którymi pozwoliłam sobie się zainspirować i z których czerpałam. Coś dołożyłam, coś ujęłam i dałam sobie artystyczną wolność, zmieniając coś, jeśli uważałam to za pasujące do historii. Jeśli sądzisz, że rezultat jest straszny, musisz wiedzieć, że rzeczywistość w wielu przypadkach była gorsza od fikcji. Ogromne podziękowania kieruję do Was, którzy hojnie podzieliliście się ze mną wiedzą na temat opieki psychiatrycznej i policji.

Uśpione wspomnienia ukazały się po raz pierwszy w wydaniu oryginalnym w wydawnictwie Hoi i chcę podziękować wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób byli zaangażowani w proces wydawniczy. Teraz, kiedy książka wychodzi w wersji kieszonkowej w Bokfabriken, poczyniono trochę zmian, żeby podnieść jakość lektury.

Są osoby, którym chciałabym szczególnie podziękować. Przede wszystkim każdemu w Bokfabriken, zwłaszcza Lassemu Brahmemu, Therese Karlsson i Björnowi Gaddowi. Praca z Wami była naprawdę prawdziwą przyjemnością. Chcę też zwrócić się z gorącym i szczerym podziękowaniem do wszystkich moich przyjaciół, którzy każdego dnia wspierają mnie i motywują. Szczególne słowa wdzięczności kieruję do mojej przyjaciółki i koleżanki po piórze Anny Ihrén, z którą dzielimy się radościami i dylematami zawodu pisarki i która zawsze dokładnie rozumie, o co mi chodzi. Jestem tak szczęśliwa, że Cię mam, moja mądra przyjaciółko!

Na końcu dziękuję moim rodzicom Ingemarowi i Gunilli († 2013 i na zawsze w moim sercu), Svantemu i moim córkom Patricii i Jessice. Jestem nieskończenie z Was dumna i wdzięczna za to, że jesteście.

Kamilla Oresvärd

sierpień 2017

www.kamillaoresvard.se